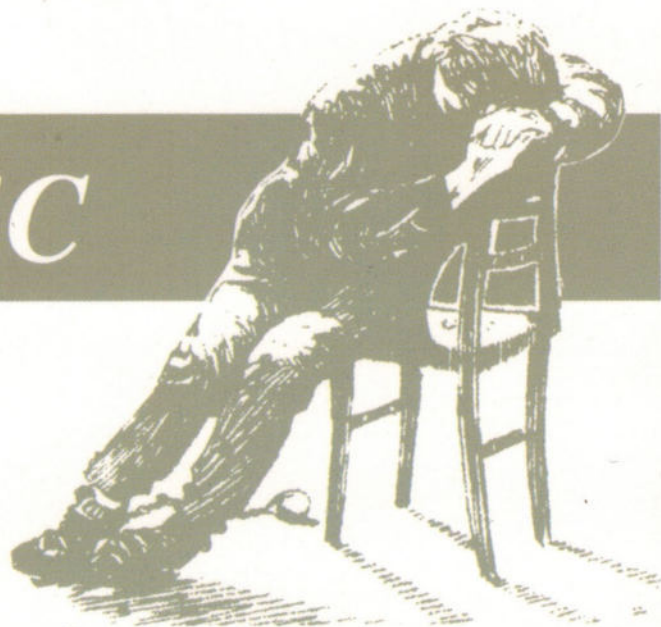


ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
PL ISSN 1426-2126



64 2015



Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO
NR 64 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2015

Spis treści	Od redakcji
<ul style="list-style-type: none">• Maria Magdalena Blombergowa <i>Słońce dzieciństwa gaśnie przed świtem. Losy dzieci wywiezionych z Kresów Wschodnich w głąb ZSRR</i> 3	<p>Ponad trzystuletnie związki polsko-syberyjskie dostarczają badaczom różnych refleksji ukazujących ten zauralski świat pełen tajemnic. Syberia to bez wątpienia rozległa kraina różnorodnych kulturowo grup etnicznych, świat zaskoczeń, sentymentów i zesłańczej niewoli. W postrzeganiu jej pojawiają się powtarzane po wielokroć określenia: „więzienie bez krat”, „lodowe piekło”, „biała kraina zesłania i cierpień” oraz inne, często dzisiaj powtarzane takie jak: „niehumanitarna ziemia” Józefa Czapskiego, „dom niewoli” Beaty Ober-tyńskiej, „inny świat” Zygmunta Grudzińskiego, czy „Archipelag Gułag” Aleksandra Sołżenicyna. Wszystkie one obciążone znamionami martyrologicznymi są tworzywem rozmaitych doznań tworzących wielość odmian tych określeń, umacniają je i popularyzują. Jawi się to także w hymnie Związku Sybiraków autorstwa Mariana Jonkajty- sa zesańca, poety i artysty.</p>
<ul style="list-style-type: none">• Maria Bożena Kuczyńska <i>„Nazywano Ojca Szaleńcem Bożym”. Bp. Władysław Rafał Kiernicki OFM-Conv. Duszpasterz i zesłaniec (1912-1995)</i> 25	<p>Syberia to faktycznie miejsce zdarzeń rozmaitych w naszej narodowej historii, różnych sensów i niedoli, odmienności kulturowej, olbrzymia przestrzeń, w której żyją różne grupy ludzkie odmienne kulturowo, językowo i wyznaniowo. Spotykają się na tej ziemi odmienności społeczno-kulturowe, a życie toczy się normalnie, ludzie pracują a dzieci chodzą do szkoły.</p>
<ul style="list-style-type: none">• Antoni Kuczyński, Zbigniew Wójcik <i>Karol Lubicz Chojecki – konfederat barski na zesłaniu</i> 37	<p>W wywiadzie werybisty o. Włodzimierza Sieka, pracującego na Syberii od 2004 roku, proboszcza parafii w Irkucku znajdujemy potwierdzenia tego zesłańczego charakteru Syberii, która dla Polaków była miejscem carskich represji w XIX stuleciu, a w wieku XX stała się obszarem stalinowskiego terroru, będąc faktycznie dla zesłańców „niehumanitarną ziemią”. Ale jest też w tej wypowiedzi informacja o pewnym</p>
<ul style="list-style-type: none">• Anna Milewska-Młynik <i>Seweryn Gross w Semipalatyńsku</i> 47	
RELACJE Z ZESŁANIA	
<ul style="list-style-type: none">• Józef Pysz <i>W szponach NKWD</i> 55	
<ul style="list-style-type: none">• Edward Wierzbicki <i>Obrazki z dzieciństwa w syberyjskiej tajdze</i> 84	
KRONIKA	
<ul style="list-style-type: none">• Piotr Hlebowicz <i>80 rocznica deportacji Polaków do Kazachstanu</i> 93	
REGAŁ Z KSIĄŻKAMI	
<ul style="list-style-type: none">• Karina Gaibulina, <i>Adolf Januszkiewicz. 24 lata na zesłaniu na Syberii. Pomiędzy „cywilizacją” a „światem półdzikim”, Warszawa 2014</i> (Anna Milewska-Młynik) 95	

- *Wywózka. Deportacja mieszkańców Górnego Śląska do obozów pracy przymusowej w Związku Sowieckim w 1945 roku. Faktografia – konteksty – pamięć*, pod red. S. Rosenbauma i D. Węgrzyna, Katowice 2014
(Wojciech Franciszek Marciniak) 98
- Anna Rudawcowa,
Spadające gwiazdy, Gliwice 2015
(Ewelina Zawielak) 100

Na okładce: Polskie dzieci na zesłaniu w Aktiubińsku w Kazachstanie odziane w łachmany (s.1); Tablica pamiątkowa polskiej szkoły młodszych ochotniczek w Nazarecie (s. 4). Ilustracje pochodzą z książki: A. Kubajak, *Kresy i Sybir. Losy polskich dzieci*, Krzeszowice 2009.

Zeszyt opublikowany dzięki dotacji Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa
Wydawca: Zarząd Główny Związku Sybiraków,
 ul. Mazowiecka 12
 00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71
Redakcja: A. Cz. Dobroński,
 A. Dzienkiewicz, W. Krawczyński,
 A. Kuczyński (red. nac.), A. Milewska-Młynik, P. Zworski
 Sekretarz redakcji: M. B. Kuczyńska
Wykonawca: Skład, druk i oprawa – QUAESTIO Przemysław Włodarczyk,
 ul. Paczkowska 26; 50-503 Wrocław
Copyright nazwy „Zesłaniec”
 by A. Kuczyński
Adres redakcji: ul. Bystrzycka 61/3
 54-215 Wrocław, tel. 71/351 10 94

zdarzeniu dotyczącym postrzegania tej „niehumanitarnej ziemi”, o której o. W. Siek mówił: „W listopadzie w katedrze w Irkucku codziennie odprawiamy Msze za ofiary zesań. Z tej okazji otrzymujemy wiele listów z Polski z prośbą o modlitwę „za tych, którzy zginęli na niehumanitarnej ziemi”. Po jednej z Mszy podszedł do mnie młody mężczyzna: „Proszę księdza – powiedział, patrząc mi w oczy – ja się na tej ziemi urodziłem, tu dorastałem, teraz tu pracuję i wychowuję dzieci. Nie życzę sobie, żebyście nazywali ją »niehumanitarną ziemią«. Zrobiło mi się wstyd. On miał rację. Bo z jednej strony nie wolno nam zapominać o cierpieniu rodaków, o tym, że w ogóle historia katolicyzmu w Irkucku związana jest z zesłanymi tu Polakami. Z drugiej strony musimy pamiętać, że dziś ludzie tej ziemi nie są odpowiedzialni za to, co wydarzyło się dawniej. Część z nich, urodzona na Syberii i głęboko z nią związana, to zresztą potomkowie zesańców. I proszę mi wierzyć: każdy chce tam żyć normalnie”. („Tygodnik Powszechny”, nr 9/2012).

Związane z tym konteksty znalazły różnorodne przenikające się odbicie w artykułach publikowanych na łamach tego „Zesłańca”. Pozostaje zatem Syberia ciągłym martyrologicznym kodem funkcjonującym wśród byłych zesańców oraz w naszej narodowej tradycji, a wychodzenie poza ten krąg jest utrudnione i wydaje się coraz mniej realne w najbliższych latach. Jest ona ważnym działem naszej narodowej historii i dlatego niemożliwym jest by została zapomniana. Owe zesańcze konteksty wypełniają strony naszego pisma, chociaż wielokrotnie też publikujemy artykuły ukazujące faktografię potwierdzającą, że polscy zesańcy dali tej „niehumanitarnej ziemi” swój trud, wiedzę i umiejętności, przyczyniając się do jej zagospodarowania oraz kulturowego poznania.

Wiesław Krawczyński
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

MARIA MAGDALENA BLOMBERGOWA

**SŁOŃCE DZIECIŃSTWA GAŚNIE PRZED ŚWITEM.
LOSY DZIECI WYWIEZIONYCH
Z KRESÓW WSCHODNICH W GŁĄB ZSRR**

Choć w morzu nieszczęść,
w jakich utonęła ludzkość,
ta historia garstki tułaczycy dzieci jest kroplą,
nie mniej może jednak trafić do serc tych wszystkich,
którym troska o lepsze jutro bliźniego jest celem,
którzy walczą o sprawiedliwy, miłosierny, ludzki świat.
Weronika Hort (Hanka Ordonówna), *Tułacze dzieci*

Wrzesień 1939 r. – dla dzieci z kresów wschodnich nie był końcem wakacji, nie było radości spotkania szkoły i przyjaciół. Zaczęła się wojna, strach, głód i poniewierka. Od zachodu, z hukiem samolotów i szczękiem broni nadciągnęła brunatna nawałnica hitlerowskich żołdaków. Dwa tygodnie później – 17 września wschodnią granicę Rzeczypospolitej przekroczyły wojska Armii Czerwonej. Bez wypowiedzenia wojny oddziały radzieckie zaatakowały polskie placówki pograniczne i walczące z Niemcami polskie jednostki wojskowe. Napad ten, który miał bezpośredni wpływ na losy Polski był wynikiem traktatu podpisanego 23 VIII 1939 r. przez Radę Najwyższą ZSRR i rząd Trzeciej Rzeszy.

Jak dziś wiemy, rozpoczęcie działań wojennych ZSRR, uzgodnione z Niemcami, było okazją dla osiągnięcia celu niezrealizowanego w 1920 roku – odzyskanie „zachodnich guberni” utraconych na skutek ustaleń „traktatu wersalskiego”. Na mocy tych porozumień Armia Czerwona przekroczyła wschodnią granicę Rzeczypospolitej na całej długości. Napotkane grupy Wojska Polskiego zagarniając do niewoli. W czasie wizyty Ribbentropa w Moskwie 28 IX 1939 r. został podpisany „układ o przyjaźni i granicy między ZSRR a Niemcami”, który zawierał określenie granic ziem włączonych do ZSRR. Linia graniczna przebiegała wzdłuż rzek: Pisa-Narew-Bug-San. Wymieniony układ zawierał też następujące postanowienia:

Art. I – Rząd Rzeszy Niemieckiej i Rząd ZSRR ustalają jako granicę obustronnych interesów państwowych na obszarze byłego Państwa Polskiego linię wyrysowaną na dołączonej mapie, która ma być bliżej opisana w protokole uzupełniającym.

Art. II – Obie strony ustalają w artykule I granicę obustronnych interesów państwowych za ostateczną i odrzucają wszelkie mieszanie się państw trzecich w sprawę tego uregulowania.

Art. III – Potrzebną reorganizację państwową na obszarach położonych na zachód od podanej w artykule I linii przeprowadza Rząd Rzeszy Niemieckiej, na obszarach na wschód od tej linii Rząd ZSRR.

Art. IV – Rząd Rzeszy Niemieckiej i Rząd ZSRR uważają powyższe uregulowanie za trwałe podwaliny dla postępującego naprzód rozwoju przyjaźielskich stosunków pomiędzy swoimi narodami¹.

Układ z 28 września 1939 r. uzupełniony o tajne protokoły przypieczętował podział terytorium Rzeczypospolitej. Obaj sojusznicy zaczęli podejmować daleko idące działania, zmierzające do zniszczenia podstaw polskiej państwowości i unicestwienia inteligencji.

Działania bojowe Armii Czerwonej na terytorium Polski trwały ogółem 12 dni. W tym czasie wprowadziła ona swoje wojska na odległość 250-350 kilometrów w głąb terytorium Państwa Polskiego. W rezultacie zajęto obszary o ogólnej powierzchni 190 tysięcy kilometrów kwadratowych z ludnością liczącą ponad 12 milionów. Wkroczenie na te obszary Armii Czerwonej miało następujące uzasadnienie:

Rząd Radziecki polecił naczelnemu dowództwu Armii Czerwonej, by jej oddziały przekroczyły granice i wzięły pod ochronę życie i mienie ludności zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi².

Na zajętych obszarach II Rzeczypospolitej władze ZSRR podjęły działania zmierzające do ich aneksji. Do realizacji tych zamierzeń administracja radziecka przystąpiła, niemal natychmiast. 26-28 października 1939 r. we Lwowie oraz 28-30 tegoż miesiąca w Białymstoku Zgromadzenie Ludowe odpowiednio dla Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi podjęły uchwały m.in. o zaprowadzeniu władzy radzieckiej, nacjonalizacji banków i przemysłu, zagarnięciu ziemi obszarników, klasztornej, gruntów prywatnych należących do urzędników państwowych. Wystosowano również prośbę do władz ZSRR o włączeniu tych obszarów w skład republik związkowych. 4 grudnia 1939 r. na zagarniętych obszarach wprowadzono radziecki podział administracyjny. 29 listopada 1939 r. Prezydium RN ZSRR uchwaliło dekret na mocy którego zmuszono wszystkich mieszkańców tych ziem do zmiany dokumentów tożsamości – tak zwanej paszportyzacji. Oznaczało to narzucenie całej ludności tych obszarów, obywatelstwa radzieckiego. Osoby odmawiające przyjęcia radzieckich „paszportów” poddawane były represjom, co oznaczało aresztowanie oraz deportację.

Władza radziecka postanowiła usunąć z omawianych terenów tych, których uważała za przeciwników nowych porządków, za potencjalnych wrogów ZSRR. Za szczególnie niebezpiecznych uznano działaczy politycznych i społecznych, oficerów Wojska Polskiego, funkcjonariuszy służb mundurowych, pracowników administracji państwowej, inteligencję, właścicieli ziemskich, przemysłowców a także osoby biorące udział w wojnie 1920 roku.

Po 17 września 1939 r. Armia Czerwona wzięła do niewoli około 240-250 tysięcy, wszystkich zatrzymanych w czasie działań wojennych zarówno z bronią a także nieuzbrojonych. Aresztowano też bardzo wiele osób wskutek rejestracji prowadzonych przez NKWD – wszystkich uznano jako jeńców wojennych.

¹ A. K. Kunert, *Katyń. Ocalona pamięć*, Warszawa 2010, s. 56, 65-70; N. Lebediewa, *Katyń zbrodnia przeciwko ludzkości*, Warszawa 1997, s. 40-58.

² N. Lebediewa, op. cit., s. 38.

Dokładną liczbę osób wziętych do niewoli trudno ustalić. Pod koniec września, według danych radzieckich 125.400 tysięcy polskich żołnierzy – jeńców przekazano pod władzę NKWD. Polaków przewieziono na wschód – poza przedwojenną granicę z ZSRR. Na początku października 1939 r. postanowiono – by zmniejszyć „przeludnienie” obozów i zwolnić szeregowców do domu ale tylko pochodzących z Ukrainy lub Białorusi. Jeńców pochodzących z terenów okupowanych przez III Rzeszę, przekazano Niemcom. Dla wszystkich, osób, które zostały uznane za szczególnie niebezpieczne dla władzy radzieckiej zorganizowano trzy specjalne obozy w: Kozielsku i Ostaszkowie w Socjalistycznej Republice Rosyjskiej oraz Starobielsku na Ukrainie. Umieszczono w nich oficerów i podchorążych, policjantów, funkcjonariuszy Ochrony Pogranicza i służby więziennej, lekarzy, weterynarzy, prawników, oraz ziemian i duchownych. Wśród oficerów niemal 80 procent stanowili rezerwiści, w cywilu – reprezentanci różnych zawodów: nauczycieli, pracowników naukowych wyższych uczelni, prawników, lekarzy, pisarzy, poetów. Było wielu sportowców, wśród nich olimpijczycy.

Wiosną 1940 r. Ławrientij Beria stojący na czele NKWD ZSRR skierował do Józefa Stalina notatkę w sprawie 14736 jeńców przebywających w obozach specjalnych oraz więźniów w liczbie 11 tysięcy przetrzymywanych w więzieniach na zachodnich terenach Białorusi i Ukrainy. Określił ich jako „zawziętych”, „pełnych nienawiści do ustroju radzieckiego”, „nie rokujących poprawy wrogów władzy radzieckiej” i wnioskował by zastosować wobec nich najwyższy wymiar kary – rozstrzelanie. Biuro Polityczne Komitetu Centralnego WKP (b) 5 marca 1940 r. zatwierdziło wniosek i podjęło oczekiwaną decyzję a dokument ten, na którym znajdują się podpisy: Stalina, Woroszyłowa, Mołotowa i Mikojana oraz w dopisku nazwiska Kalinina i Kaganowicza, był wyrokiem śmierci³. Skutkiem tej decyzji było rozstrzelanie i ukrycie zwłok 14.857 osób w Lesie Katyńskim, w VI kwartale leśnym pod Charkowem i w Miednoje pod Twerem (Kalininem). Pewną część ofiar zbrodni – określanej mianem katyńskiej oraz jeńców z więzień ukraińskich – zakopano w Bykowni pod Kijowem. O miejscu rozstrzelania i ukryciu zwłok wielu innych jeńców z więzień ukraińskich i białoruskich – do dziś nie mamy informacji.

Likwidacja polskiego wojska i wyniszczenie polskiej inteligencji – podstaw polskiej państwowości ten cel był w planie realizowanym przez obydwu agresorów. Władze najwyższe ZSRR podejmując decyzje o rozstrzelaniu jeńców z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa oraz osób przetrzymywanych w więzieniach zachodniej Białorusi i Ukrainy, jednocześnie czyniły przygotowania do deportacji z zaanektowanych obszarów rodzin tych represjonowanych. Masowe wywózki z Białorusi i Ukrainy poprzedziła akcja rejestracji rodzin, osoby uznane za najgroźniejsze aresztowano niezwłocznie⁴.

Przy sporządzaniu spisów rodzin przewidzianych do deportacji wykorzystano korespondencję uwięzionych oficerów z rodzinami. Zezwolenia na pisanie listów miały cel praktyczny. Listy szczególnie kierowane do osób mieszkających pod okupacją sowiecką posłużyły do identyfikacji rodzin ze wskazaniem

³ *Katyń. Dokumenty ludobójstwa. Dokumenty i materiały archiwalne przekazane Polsce 14 października 1992 r.*, Warszawa 1992, s. 29, 35-41.

⁴ A. Głowacki, *Sowieci wobec Polaków na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej 1939-1941*, Łódź 1997, 41-84, 320-328; W. F. Marciniak, *Powroty z Sybiru. Repatriacja obywateli polskich z głębi ZSRR w latach 1945-1947*, Łódź 2014, s. 24-26.

miejsca ich zamieszkania. Tym celom służyły również indywidualne przesłuchania jeńców przez funkcjonariuszy NKWD. Na początku stycznia 1940 r. kierownictwa obozów zostały zobowiązane do niezwłocznego uzupełnienia kwestionariuszy o szczegółowe informacje o listę krewnych i znajomych mieszkających w ZSRR. Dyrektywa komisarza ludowego spraw wewnętrznych ZSRR Ł. Berii w sprawie deportacji członków rodzin jeńców wojennych i więźniów jest datowana na 7 marca 1940 r. Adresowana jest do komisarzy ludowych spraw wewnętrznych USRR I. Sierowa i BSRR Ł. Canawy. Fragmenty omawianej dyrektywy cytuję:

NKWD ZSRR poleca do 15 kwietnia br. deportować do rejonów Kazachskiej SRR na okres 10 lat wszystkich członków rodzin byłych oficerów armii polskiej, policjantów, strażników więziennych, żandarmów, wywiadowców, byłych obszarników, fabrykantów i wysokich urzędników państwowych byłego polskiego aparatu państwowego, przetrzymywanych w obozach dla jeńców wojennych i więźniach zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi.

W celu wykonania tej decyzji ROZKAZUJĘ:

1. Niezwłocznie przystąpić do 30 marca br. sporządzania według załączonego wzoru ścisłej ewidencji członków rodzin wszystkich wyżej wymienionych kategorii jeńców wojennych i osób aresztowanych.

Uwaga: Za członków rodziny uważa się żonę, dzieci, a także rodziców, braci i siostry, w przypadku jeśli zamieszkują razem z rodziną aresztowanego lub jeńca wojennego.

2. W celu przygotowania i przeprowadzenia operacji zorganizować przy UNKWD zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi trójki operacyjne w składzie: szef właściwego UNKWD, przedstawiciel NKWD ZSRR, przedstawiciel NKWD USRR lub BSRR.

5 c. we wszystkich zachodnich obwodach Ukrainy i Białorusi operację przeprowadza się jednego dnia i rozpoczyna z nastaniem świtu. O dniu operacji nastąpi dodatkowe powiadomienie.

5 d. Po przybyciu do mieszkania deportowanych rodzin, grupa operacyjna przeprowadza rewizję na okoliczność posiadania broni, wydawnictw kontrrewolucyjnych i walut obcych, a następnie informuje członków rodzin o mającej nastąpić deportacji oraz wyjaśnia tryb deportacji.

W kolejnych punktach Dyrektywa określa tryb postępowania w trakcie przygotowania rodziny do wywózki, rozporządzenia dotyczące mienia i przewożenia do stacji kolejowej w celu załadowania do wagonów. Szczegółowe instrukcje wyjaśniały, że majątek nieruchomy deportowanych podlegał konfiskacie. Pozostałe mienie mogą sprzedać lub zabrać na miejsce zsyłki. Teoretycznie można było zabrać po 100 kg na osobę, w praktyce norma nie była dotrzymywana, często przy dużym pośpiechu i pod ostrą kontrolą aresztujących rodzinie deportowanej udawało się zabrać trochę odzieży, naczyń i artykułów spożywczych.

Rozporządzenie opracowane przez NKWD ZSRR regulowało techniczną stronę tej akcji i przewidywało, że wywózki będą przeprowadzone równocześnie w obu republikach w dniu wyznaczonym przez NKWD. Instrukcja przewidywała skład ilościowy wagonów, ilość osób lokowanych w wagonach oraz miejsca docelowe transportowanych zesłańców. Do wykonania tego rozkazu

zostały powołane trójki operacyjne przy obwodowych urządzeniach NKWD w zachodnich obwodach Ukrainy i Białorusi.

Zwracam uwagę na końcowe punkty Dyrektywy:

6. Osoby spośród członków rodzin podlegających deportacji szczególnie groźne w stosunku, do których organy NKWD posiadają materiały dotyczące ich przeszłej lub obecnej działalności antyradzieckiej, podlegają aresztowaniu, a następnie [procedurze] przygotowania aktu do rozpatrzenia przez Kolegium Specjalne przy NKWD ZSRR.

8. Bezpośredni plan przeprowadzenia operacji dokładnie opracować, przewidując niezbędne kroki w celu niedopuszczeniu do jakichkolwiek ekscesów, kontrrewolucyjnych wystąpień i opóźnień podczas przeprowadzania deportacji zarówno ze strony deportowanych rodzin, jak i pewnej, wrogo do nas nastawionej części ludności⁵.

Masowe wysiedlenia rozpoczęły się 10 lutego 1940 r. – objęły one około 140 tysięcy osadników i leśników⁶. Druga akcja wysiedleń rozpoczęła się wczesnym rankiem 13 kwietnia i jak wyżej wspomniano, objęła wszystkie rodziny osób znajdujących się w obozach jenieckich i więzieniach (22-25 tys. rodzin). A. Głowacki o tej akcji zanotował, że miała charakter „odpowiedzialności zbiorowej: za rzekome przestępstwa ojców, synów lub braci cierpieć miały całe ich rodziny”⁷. Deportowane rodziny jeńców z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa traktowano w sposób szczególny – określono je jako „specjalnych przesiedleńców” i takie o nich informacje przesłano do obwodów, do których ich wywożono: ałmackiego, akmolińskiego, kustanajskiego, pawłodarskiego, północnokazachskiego, semipałatyńskiego. W sumie około 61 tysięcy obywateli polskich. W większości były to kobiety, dzieci i osoby w podeszłym wieku. Skierowano ich do prac w kołchozach, sowchozach, w przedsiębiorstwach przemysłowych.

W kolejnych transportach, organizowanych od kwietnia do czerwca 1940 r. w ramach „oczyszczania z wrogiego, antyradzieckiego elementu” na terenach zachodnich Ukrainy i Białorusi organy NKWD aresztowały około 407 tysięcy ludzi. Większość została wywieziona do Kazachstanu i północnych obwodów ZSRR.

We Lwowie w okresie masowych deportacji powstał raport spisany przez delegatów Związku Walki Zbrojnej, którym udało się dotrzeć do miejsc deportacji polskich rodzin w Kazachstanie. Z tego raportu cytuję fragmenty dotyczące omawianego problemu:

Zesłania naszych rodaków z terenu okupacji sowieckiej w 1940 r. Brutalność akcji wywozowej, szykany stosowane w czasie dokonywania deportacji i transportu oraz potworne warunki, w jakie zrzucano zesłańców świadczą, że rządowi ZSRR zależało na zniszczeniu elementu polskiego na ziemiach „Zachodniej Ukrainy i Białorusi”, że było „karą” dla narodu polskiego. Za cenę zgnębienia polskiego społeczeństwa władza sowiecka pragnęła kupić nastroje Ukraińców i Białorusinów, zapominając, że nastroje ukraińskie Małopolski Wschodniej dawno już są sprzedane Berlinowi. Ten piąty w dziejach narodu polskiego etap syberyjskiego szlaku jest może najtragiczniejszy, przede wszystkim

⁵ *Katyń. Dokumenty zbrodni*. t. 2. *Zagłada. Marzec-czerwiec 1940*, Warszawa 1998, s. 43-46.

⁶ A. Głowacki, op. cit., s. 320, 328, 330.

⁷ *Ibidem*, s. 350.

kim, dlatego, że na Sybir po raz piąty szedł cały naród, a nie czynni bojownicy o niepodległość, że 90 % zesłańców stanowiły kobiety, że po raz pierwszy wreszcie na znany nam sybirski szlak wstąpiły masowo polskie dzieci. W tym względzie okrucieństwo carów błędnie w bloku czynów „ojca narodów.”

Deportacje masowe odbyły się w trzech terminach: 10 lutego 1940 r., 13 kwietnia 1940 r., 20-30 czerwca 1940 r. Każdy z tych terminów obejmował inną kategorię obywateli. Razem według dość skrupulatnych obliczeń około 250000 ludzi, w tym około 100.000 dzieci. Na zesłanie poszły całe rodziny, przy czym w razie nieobecności rodziców w domu w dniu tragicznej branki porywano dzieci. Wypadków takich, gdzie zesłano na Sybir same dzieci, często poniżej 10 lat znamy bardzo dużo.

Drugie uderzenie wypada na noc z 13 na 14 kwietnia 1940 r. Na zesłanie przeznaczeni zostali nie tyle „wrogowie ludu ukraińskiego” ile „wrogowie ustroju”. A więc rodziny wojskowych, rodziny urzędników i policji, rodziny przebywających poza granicami ZSRR, rodziny aresztowanych przez władze sowieckie (bez względu na to czy aresztowanym jest mąż, żona, syn, brat czy zięć), działacze społeczni, nauczyciele i nauczycielki pracujące społecznie, działacze życia gospodarczego, bogatsi kupcy, przemysłowcy, właściciele nieruchomości. Razem około 3000000 ludzi, w tym 90 % kobiet i dzieci⁸.

Zesłańcy drugiej tury – to znaczy z 13 kwietnia 1940 r., jak wspomniałam byli członkami rodzin, ofiar Zbrodni Katyńskiej. Traktowano ich jako szczególnie niebezpiecznych i zalecano administracji różnych szczebli, na miejscach zesłania, by zachowali w stosunku do nich „szczególną ostrożność”. O decyzji w sprawie skierowania do Kazachstanu tej grupy deportowanych tamtejsze władze zostały poinformowane odpowiednio wcześniej i przesłano im stosowne instrukcje w sprawie postępowania z nimi. Poinformowano, że będą to rodziny represjonowanych „byłych wojskowych Armii Polskiej, policji, obszarników i kapitalistów, działaczy partii burżuazyjno-nacjonalistycznych itp. Zapowiedziano również, że nie przewiduje się żadnej pomocy państwa w ich zatrudnieniu i że lokalne władze nie biorą na siebie żadnych zobowiązań materialnych. W sprawach zakwaterowania informowano władze miejscowe, że zesłańców należy rozmieścić w zamieszkałych punktach, w sowchozach, w spółdzielniach rzemieślniczo-przemysłowych – na koszt przybyłych, to jest na koszt własny, nie licząc na pomoc miejscowej administracji⁹.

Przywiezione do Kazachstanu rodziny miały status „wolnych osadników”, jednak nie mieli prawa wyjazdu poza miejsce osadzenia. Na wsiach sprawa zatrudnienia była traktowana różnie. Były miejsca, że nikogo nie zmuszano do pracy, w innych – zaganiano do uciążliwych czy nawet niebezpiecznych zajęć. Wszędzie warunki były bardzo trudne, panował głód, brakowało wody i żywności. Praca na roli i różne zajęcia gospodarcze były ponad siły dla dorosłych, a tym bardziej dla dzieci, które wcześniej nie miały do czynienia z tego typu pracą. Kontynentalny klimat (upalne lato, mroźna zima), wyczerpująca praca fizyczna, brak opieki lekarskiej zwiększały zachorowalność wśród zesłańców i była duża śmiertelność. Ludzie

⁸ Z. Frydlewicz-Ciesielska, S. Mrówczyński, *Losy jeńców wojennych oraz uwięzionych i zesłanych w 1940 roku w świetle raportu Związku Walki Zbrojnej przesłanego do Polskiego Rządu na Emigracji*, „Rodowód II” Biuletyn Informacyjny. Stowarzyszenie „Katyń” w Szczecinie - nr 19, lipiec-wrzesień 2009, s. 28-38.

⁹ A. Głowacki, op. cit., s. 356.

chorowali na dyzenterię, dur brzuszny, odrę, dyfteryt, szkorbut, zamarziali z chłodu i ginęli w czasie burz piaskowych. Do szpitali przyjmowano nie często i tylko z najgroźniejszymi przypadkami. Ze względu na duże odległości problem był też z dowiezieniem tam chorego.

Skrajnie trudne były również warunki mieszkalne. Przyjezdnych lokowano w pomieszczeniach dla zwierząt – w starych cielętnikach, w pomieszczeniach gospodarczych. Często zesłańcy sami budowali schronienia w głębokich dołach z osłoną z gałęzi. Część zesłańców lokowano w mieszkaniach kołchozników. Były to często chaty – lepianki, brudne, ciasne i pełne insektów. Za to byli zmuszeni płacić wysokie komorne z pieniędzy, jeśli udało się zabrać z domu lub wyprzedając, co się dało z odzieży i innych rzeczy przywiezionych z kraju albo w naturze, odrabiając na działkach przyzagrodowych gospodarzy¹⁰. Zesłańcy kierowani byli do prac w polu, przy wyrębie w lasach a często do obróbki odchodów bydłęcych (kiziak), z których wyrabiano „cegły” na budulec i na opał. Do prac polowych i gospodarczych angażowano również starsze dzieci. Bo w tamtych warunkach panowało przekonanie: „kto nie pracuje – ten nie kuszajet”¹¹.

O losach deportowanych dowiadujemy się z licznych wspomnień osób, które przeżyły i powróciły do Polski lub znalazły życiową przystań w różnych krajach świata. O tych trudnych przeżyciach pisały też polskie dzieci, które z czasem, w zmienionej sytuacji politycznej znalazły się w Iranie, Izraelu, Indiach, Afryce czy też Nowej Zelandii i w Ameryce. W zbiorach archiwum Instytutu Hoovera w Kalifornii zgromadzono około 2300 wypracowań i listów napisanych przez dzieci. Wybór tych wspomnień został opublikowany przez J. Grudzińską-Gross i J. T. Grossa w książce pt. *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali*. Z publikacji tej cytuję kilka fragmentów relacji:

Tadeusz, T. ur. 1926 Lwów

Z początkiem grudnia przychodzi pierwsza wiadomość od ojca, który jako major rezerwy W.P. został w sierpniu 39 r. zmobilizowany i 18 września dostał się do niewoli sowieckiej. Jest w obozie w Starobielsku... Dnia 28 XII. zaczyna się „nacjonalizacja kamienic”. My jesteśmy tym bezpośrednio zainteresowani. Padamy na pierwszy ogień... przeprowadzają szczegółową rewizję. Wszystko srebro i złoto znalezione zabierają, przy okazji ginie złoty zegarek matki... W nocy z 13 na 14 IV o godz. 2-giej przyszli po nas. Kazali wszystko spakować, na pytanie matki, gdzie mamy jechać odpowiedzieli, że 100-150 km od Lwowa. Po godzinie byliśmy gotowi do odjazdu. Załadowano nas na samochód i zawieziono na dworzec. Zastaliśmy już cały pociąg załadowany ludźmi... Do wagonu wsadzono nas 32. Brudne bydłce wagony, smród straszliwy, bo nikogo nie wypuszczano na stronę, brak wody... Cała podróż trwała 17 dni... przewieziono nas na cegielnię, położoną o 12 km od Siemipałatyńska. Tam zaczęła się właściwa męka. Kazano nam wykonywać najgorsze prace. Było to czyszczenie pieców z popiołu, wywożenie na taczkach wypalonych gorących jeszcze cegieł. Zapłata była bardzo niska 1-3 rubli dziennie...

Aleksander, ur. 1931 r. Lwów

Tatuz został aresztowany 9 XII 1939 r. Nas wywieziono do Rosji 13 IV 1940. Wywieziono nas dlatego, że tatuz był oficerem rezerwy. Przywieziono nas

¹⁰ Ibidem, s. 358.

¹¹ Ibidem, s. 356-360.

do Krasnegoskatowodu do toczki Akpostał. Było tam dwie stajnie i gliniana lepianka brigadira na pustym stepie. Mieszkaliśmy w cieletnikach na ziemi. Nie dali się modlić, nie dali nam chleba i kazali czyścić stajnie. Po wodę trzeba było chodzić pół kilometra. Mamusia po chleb musiała chodzić 30 km. Mamusia pracowała pięć miesięcy na sianokosach, deptała kiziak, czyściła i mazała stajnie i dostała za wszystko 3 ruble a bochenek chleba kosztował 45 i 50 rubli¹².

O przeżyciach rodziny i trudnych latach pobytu na zesłaniu piszą dzieci „Katyńczyków” w księgach zatytułowanych *Pisane miłością* poświęconych Matkom, które w czasie wojny w kraju i pobytu na zesłaniu dźwigały ciężar opieki nad swymi dziećmi. Wiele z nich, wraz z dziećmi, rodzicami i krewnymi było deportowane w dalekie rejony „nie ludzkiej ziemi”. Jako przykład cytuję fragmenty wspomnień córki kapitana Stanisława Malickiego Marii Wysoczańskiej¹³, która wraz z matką została wywieziona do północnego Kazachstanu:

13 kwietnia 1940 r. o trzeciej w nocy przyszli po nas. Wcale nie przerażone byliśmy spakowane. Zabrałyśmy dużo potrzebnych rzeczy. Po rewizji załadowano nas do ciężarówki, a na stacji Różanka do wagonu bydłowego... Którejś nocy minęłyśmy Ural. 1000 km za nim wysadzono nas na stacji Mamlutka... Na drugi dzień zawieźli nas ciężarówkami do wsi Krywoszczokowo kołchozu Smyczka w północnym Kazachstanie... Zakwaterowano nas w domu (lepianka) kołchoźnika Kieryczenki... Tutaj byliśmy zesłańcami, a miejscowi przyjęli nas do swojej społeczności życzliwie, nigdy nie czyniąc nam nic złego...

Mamusia pracowała w lesie w charakterze drwala, a ja wyciągałam gałęzie na wolną przestrzeń. Czasami przychodziła do domu z rozrąbaną nogą lub palcem. Pamiętam, jak pieliliśmy proso na Tajpaku, odległym 8 km od wsi. Miałam wtedy 11 lat. Był upał ponad 40 stopni (latem najczęściej). Gdy nie wytrzymałam spiekoty, robiłam w zbożu namiocik z piołunu. Siedziałam przez nikogo nie zauważona, ale Mamusia musiała wykonać dwie normy – za siebie i za mnie. W czasie żniw między innymi robotami woziliśmy ziarno do zabudowań kołchozowych. Powozić bykami nie umiałyśmy, a że nie można było dopuścić do wywrócenia wozu, prowadziliśmy po obu stronach byki za rogi.

Zimą chodziłam do miejscowej szkoły, z owczej wełny robiłam skarpety i rękawice dla wojska... Zimą całe zabudowanie zawiane było śniegiem. Po przejściu burjanu, czyli zamieci, wychodziło się przez otwór w dachu i robiło tunel do drzwi i okienek...

Tej zimy zmarła pani Skawińska, 90-letnia staruszka. Parę miesięcy wcześniej Pani Lisowska. Były ze sobą spokrewnione. Wzięto je bez żadnych środków do życia. Wszystko, co zbierała pani Lisowska, oddawała pani Skiwskiej, sama głodowała. Umarła z wycieńczenia...

Późną jesienią, wycieńczona pracą i niedożywiona Mamusia zachorowała na „różę”. W tamtych latach choroba była nieuleczalna... brakowało lekarstw, matce groziła amputacja, na szczęście lekarzowi udało się zdobyć trochę lekarstw z przydziałów amerykańskich, córka, mając 12 lat cudem niemal docierała do szpitala dostarczając pożywienie aż matka powróciła do zdrowia.

Pamiętać również należy o rodzinach, które zostały w kraju. Cały ciężar utrzymania i opieki nad rodziną, nad dziećmi spadł na matki. Nie zawsze miały

¹² W czterdziestym nas Matko na Sibir zesłali. Polska a Rosja 1939-42, wybór i opracowanie J. T. Gross, I. Grudzińska-Gross, Warszawa 1989, s. 100-103.

¹³ M. Wysoczańska, *Wierna do końca*, [w:] A. Spanily, *Pisane miłością. Losy wdów katyńskich*, t. I, Gdynia 1999, s. 283-294.

oparcie w rodzinie, często nie miały pracy. Ich los i sytuacja dzieci, również były trudne, a tęsknota za mężem, ojcem, obawy o jego życie doprowadzały do rozpacz. Wyrażały to w listach, z których wiele docierało do jeńców przetrzymywanych w sowieckich obozach i w łagrach. Z utęsknieniem i nadzieją oczekiwały na powrót ojca dzieci, często maleńkie, niektóre urodzone po wymarszu ojca na wojnę, nigdy go nie poznały. Tu znów zacytuję dwa krótkie liściki napisane przez synów porucznika Józefa Kominka, jeńca Starobielska – listy te wróciły do nadawców:

14.03.1941

Drogi Tatuniu, chodzę do szkoły do I kl. Modłę się Żebyś jak najprędzej wrócił. Całuję Cię mocno – Twój Zdzicho

Drogi Tatuniu. Ja też chodzę do szkoły do II kl. I też codziennie za Ciebie się modłę abyś był zdrow i prędko do nas wrócił. Mocno Cię całuję – Twój kochający Wojtuś¹⁴.

Sytuacja zesłańców w ZSRR zmieniła się, gdy Niemcy napadli na ten kraj. 30 lipca 1941 r. w Londynie został podpisany układ między ZSRR i Polską, zostały przywrócone stosunki dyplomatyczne i zaistniała nadzieja poprawy życia. Ale nie do wszystkich rozsianych po odległych miejscach Polaków dotarła ta informacja jak też o tworzeniu Wojska Polskiego. Nie wszyscy też mieli możliwości przedostać się do rejonu formowania wojsk polskich pod dowództwem gen. Władysława. Andersa. Liczne kobiety i dzieci do Polski powróciły dopiero po zakończeniu wojny. Oto losy żony i córki jeńca z Ostaszkowa:

Anna Krakowska z domu Aleksandrowska wspominając swoją matkę, opisuje pierwsze miesiące swego życia w Kazachstanie. Ojciec policjant aresztowany we wrześniu został, osadzony w Ostaszkowie, został zamordowany w Twerze. Jej matka oczekując na urodzenie dziecka udała się do rodziny do Grodna i tu 31 marca 1940 roku przyszła na świat autorka cytowanych wspomnień. Matka ledwie wyszła ze szpitala i powróciła do domu 10 kwietnia została aresztowana i z maleńkim dzieckiem załadowana do towarowego pociągu. W zaryglowanym wagonie było bardzo zimno i brakowało jedzenia, wody, nie było żadnej opieki lekarskiej, wszyscy myśleli, że dziecko nie przeżyje i współtowarzyszkę podróży zaproponowali aby dziecko ochrzcić. Szczęśliwie dziecko, któremu nadano imię Anna – przetrwało trudy dwumiesięcznej podróży do Kazachstanu. Dowieziono matkę i córkę do małej osady w okolicach Karagandy. Dostały pomieszczenie w lepiance, w której mieszkali Rosjanie i u nich, płacąc za wszystko – matka zarabiała dziergając różne rzeczy na drutach. Pracowała też w kołchozie przy zwózce zbóż i kopaniu ziemniaków. Żywiły się tym, co zdobyły: ziarna lub ziemniaki i to pozwoliło przetrwać jej i dziecku. Gdy mała podrosła, chodziła w pole z matką. Gdy miała kilka lat, matka dostała pracę w przedszkolu, do którego mogła zabierać dziecko i mogła je mieć cały czas przy sobie i dostać talerz zupy. Kiedy matka pracowała na kołchozowych polach, dziecko zawsze zabierała ze sobą, bo nie miała z kim ja zostawić. Bliscy krewni, czy też znajomi przebywali w oddaleniu o 100 km,

¹⁴ E. Gruner-Żarnoch, M. D. Wołągiewicz, *Słowa Tęsknoty. Zachowane listy jeńców Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska. Listy synów: Zdzicha i Wojtusia do ojca.* Szczecin 1996, s. 183.

ale nie mieli ze sobą kontaktów bezpośrednich. Do Polski wróciły dopiero 13 kwietnia 1946 r. Dojechały do Bielska Podlaskiego, gdzie na wieść o powrotach z zesłania co dzień na dworzec wychodził dziadek, ojciec matki, oczekujący na powrót swoich dwóch córek¹⁵. Jeszcze jeden fragment wspomnień zacytuje, ponieważ wstrząsająca jest jego treść:

24 września 1939 roku, pod groźbą użycia broni, prowadzili Ojca do obozu w Ostaszku, a w kwietniu 1940 zamordowali.

Jednak sowieckim najeźdźcom było tego mało i 10 lutego 1940 roku o trzeciej nad ranem aresztowali i nas: Mamusię z dwuletnią Alicją Zdzisławą i siedmioletnią Marię Teresę w dniu jej urodzin. Zrozpaczona Matka i płaczące dzieci zostały skazane na nieludzkie życie i ciężką pracę w Kazachstanie. Pozbawieni praw i ludzkiego traktowania, w głodzie i mrozie przeżyliśmy sześć lat i dwa miesiące. Dzisiaj mogę stwierdzić, że głód jest bardzo bolesnym przeżyciem, doprowadzającym człowieka do całkowitego upodlenia. Kiedy ból rozdziera wnętrze człowieka, a umrzeć jest tak trudno, to prosi się o śmierć dla własnych dzieci, bo matka nie może przeżyć cierpienia dziecka i patrzeć na powolne, bolesne konanie...

– napisały córki: Maria Teresa Surmacz i Alicja Zdzisława Marosz, Antonina Banach¹⁶.

Problemem deportacji z terenów zajętych przez ZSRR i losami ludności polskiej zajmowała się Karolina Lanckorońska, która od maja 1941 r., za zgodą Polskiego Czerwonego Krzyża podjęła się opieki nad aresztowanymi i przetrzymywanymi w więzieniach rosyjskich i niemieckich. Na początku we Lwowie zaczęła rejestrację osób wywiezionych w głąb Rosji i o tych sprawach napisała w swoich wspomnieniach:

Tłumy gromadziły się co rano przed moim biurem. Były to duże grupy ludzi, rodzin oficerów znajdujących się w Kozielsku i w Starobielsku, którzy wówczas dawali jeszcze znać o sobie, oraz rodziny wywiezionych, które otrzymywały wiadomości z głębi Azji i przynosiły kartki z przekonaniem, że osoby objęte rejestracją zostaną natychmiast wywiezione z Rosji do Ameryki, Indii czy Kanady i prosiły mnie, abym się jak najprędzej wywiązała z poleconego mi przez Amerykę zadania. Większość wiadomości o wywiezionych pochodziła z Kazachstanu, z ferm kirgiskich, skąd polskie rodziny oficerskie i ziemiańskie donosiły, że mieszkają w stajenkach po owcach. Pisali, że rano chodzą po wodę, aby ją nieść wiadrem 3 km przez step. Potem trzeba za pomocą lassa polować na byki, które przez noc pasły się na stepie, aby je zaprząć do pługa i orać. Te wszystkie czynności wykonywały kobiety, oczywiście często przez kobiety nietrenowane do pracy fizycznej... jedna z nich pisała... a druga wyrażała już tylko obawę, aby nie umarła przed dziećmi – „Módlcie się o mądrą kolejność śmierci...”¹⁷

Te bolesne, wręcz tragiczne słowa zatroskanej matki o los dzieci pozbawionych opieki matczynej miał swoje uzasadnienie. Nie rzadkie były przypadki, że dzieci pozostawały same po zgonie matki czy innej starszej opiekunki. Kolejny raz odwołam się do wspomnień: Krystyna Tomaszuk obecnie mieszka-

¹⁵ A. Świrkula, *Moje dzieciństwo w Kazachstanie*, [w:] A. Spanily, op. cit., s.195-201.

¹⁶ A. M. T. Surmacz, A. Z. Marosz, *Wspomnienia o ukochanych rodzicach*, [w:] Spanily, op. cit., t. III, 2003, s.20-23.

¹⁷ K. Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne 22 IX 1939-5 IV 1945*, Kraków 2011, s. 67.

jąca w Nowej Zelandii, do której dotarła po pobycie w Kazachstanie, następnie przez Iran, wraz z matką i młodszym bratem została gościnnie przyjęta w tym dalekim kraju. Tam poznała i nawiązała przyjaźń z Jasią, równolatką, która z matką i młodszą siostrzyczką była deportowana w głąb ZSRR. Autorka opisała tragiczne chwile swej przyjaciółki:

Jednego dnia, w drodze do domu z pracy w polu, Jasia usłyszała głośny płacz. Nie zwracając uwagi na ostre kamienie raniące jej bosa stopy, Jasia biegła cały dystans dzielący ją od chaty. Zaledwie stanęła w drzwiach, zobaczyła swoją mamę leżącą na podłodze i Stasię siedzącą przy mamie, targającą za rękaw jej bluzki i wołającą, „obudź się Mamo! obudź” Widząc bladą twarz matki, Jasia chwyciła jej rękę, ale ręka, ciepła jeszcze tego ranka, teraz wydawała się zimna i obca. Po pierwszej chwili osłupienia, zdawało się Jasi, że przepaść się przed nią otworzyła.

Jak ja dam radę? –myślała – Mamy nie będzie. Nie tylko, że ja będę osamotniona w tym olbrzymim kraju, ale jeszcze do tego będę miała maleńkie dziecko pod swoją opieką. Następnego dnia Jasia poszła poprosić komendanta kołchozu o wypożyczenie łopaty, żeby mogła pochować matkę. Komendant roześmiał się.

– Łopaty są potrzebne do pracy w polu – powiedział.

Gołymi rękami Jasia wykopała grób, w którym pochowała matkę¹⁸.

Dzieci, zgodnie z zarządzeniami władz sowieckich, były deportowane do odległych rejonów ZSRR wraz z rodziną. Wśród zesłańców najrzadsze były przypadki kiedy dzieci pozostawały pod opieką obojga rodziców. Najlicniejszą grupę stanowiły pólsieroty, znajdujące się pod opieką starszego rodzeństwa. Szacunkowo przyjmuje się, że na zesłaniu w 1941 r. było około 25 tysięcy sierot. Często dzieci były zmuszane do ciężkich prac i za najmniejsze przewinienie ponosiły dotkliwe kary – osadzone w obozach i więzieniach. Często sieroty przymusowo lub dobrowolnie lokowano w radzieckich sierocińcach ze względu na brak jakiegokolwiek opieki albo by chronić je przed śmiercią głodową.

Zgodnie z prawem dzieci miały obowiązek chodzić do szkoły w miejscu swego pobytu. Oznaczało to naukę w szkołach rosyjskich i ten obowiązek starano się egzekwować. Problemem był brak odzieży i obuwia, w których, przy dużych mrozach, można było dotrzeć do szkoły. W szkołach rosyjscy nauczyciele często szykanowali polskie dzieci i młodzież. Dużym utrudnieniem był brak znajomości języka rosyjskiego. W tak trudnej sytuacji edukacją dzieci zajmowały się matki lub babcie. Wśród deportowanych było sporo nauczycielek, które również podejmowały potajemne nauczanie dzieci. Uczono języka polskiego, historii Polski i geografii. Szczęśliwie przywieziono książki z Polski – często były to szkolne podręczniki, lektury szkolne czy też czasopisma dla dzieci. Brakowało natomiast zeszytów, ale wykorzystywano każdy skrawek papieru. Uczono dzieci nie tylko czytać, pisać, ale też polskich wierszy i piosenek.

Po 30 lipca 1941 r., jak już pisałam, zostały przywrócone stosunki dyplomatyczne a rząd radziecki raczył „udzielić” wszystkim obywatelom polskim przebywającym na terytorium ZSRR „amnestii” – zarówno osobom cywilnym deportowanym w 1940 i 1941 r. jak też aresztowanym i osadzonym w więzieniach. We wrześniu tegoż roku przystąpiono do tworzenia Armii Polskiej, której dowództwo powierzono generałowi W. Andersowi. Była ona

¹⁸ K. Tomaszuk, *Droga i pamięć. Przez Syberię na antypody*, Warszawa 2009, s. 146.

częścią Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i podlegała gen. Władysławowi Sikorskiemu. Wyposażenie i utrzymanie miały zapewnić władze sowieckie. Pomoc, w dużej mierze pochodziła ze środków dostarczanych przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone¹⁹. Strona sowiecka, nie w pełni realizowała swoje zobowiązania, powstającemu wojsku nie dostarczano uzgodnionych ilości sprzętu wojskowego ani żywności.

Wkrótce zaczęła działać ambasada RP w Moskwie a następnie w Kujbyszewie. Opiekę nad polskimi zesłańcami sprawowała Ambasada i powstałe w różnych rejonach jej delegatury, m.in. w Archangielsku, Kirowie, Saratowie, Czelabińsku, Baranaule, Pawłodarze, Semipałatyńsku, Władywostoku, Samarkandzie, Aschabadzie. Ich zadaniem było wyszukiwanie polskich zesłańców, informowanie o tworzeniu Polskiej Armii a przede wszystkim udzielanie wsparcia materialnego, żywności, odzieży i lekarstw. Zamierzeniem ambasady było tworzenie sieci domów dziecka, przedszkoli, ochronek i świetlic. W grudniu 1941 r. Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych wypowiedział się, że nie sprzeciwia się organizowaniu przedszkoli i pomocy dla sierot w miejscach pobytu ludności polskiej. Największe skupiska polskie i najwięcej dzieci w tym czasie przebywało w republikach: Uzbeckiej, Kazachskiej, Tadżyckiej, Turkmęńskiej i Kirgiskiej.

Na początku 1942 r. ambasada rozpoczęła organizować w tych regionach instytucje opiekuńczo-wychowawcze i do połowy tegoż roku utworzono 175 przedszkoli dla 5865 dzieci, 43 szkoły dla prawie 3000 dzieci oraz 68 kursów dla około 1500 słuchaczy. Powstało też 139 sierocińców i ochronek dla prawie 9000 dzieci. Było to niezmiernie ważne, bowiem wiele dzieci pozostawało bez jakiejkolwiek opieki i nadzoru. Były to dzieci osierocone już na zesłaniu, pogubione w czasie transportu, wążsające się po kołchozach i żebrzące. W delegaturach ambasad znalazły się fundusze i dary m.in. od Polonii Amerykańskiej. W domach dziecka i przedszkolach zapewniono dzieciom opiekę, posiłki, odzież i prowadzono naukę języka polskiego. O opiece nad polskimi dziećmi przebywającymi na zesłaniu, dobrze udokumentowany artykuł napisała T. Mielnik, i do tej publikacji kieruję czytelnika²⁰.

Uwolnieni zesłańcy starali się, różnymi drogami dostać do miejsc, gdzie formowano Armię Polską. Do Buzułuku, Tatiszczewa nad Wołgą, Tockoje k/Orenburga napływały liczne grupy chętnych wstąpienia do służby wojskowej, ale też rzesze cywilów, kobiet i dzieci. Masowa, żywiołowa migracja pociągnęła za sobą wzrost ofiar śmiertelnych wśród przede wszystkim najmłodszych²¹. Władze sowieckie niechętnie pozbywaniu się ludzi do pracy utrudniały więc zwalnianie obywateli polskich z łagrów jak też sprzeciwiały się napływowi ludności cywilnej, w tym kobiet i dzieci, w rejony tworzenia wojska.

W styczniu 1942 r. podjęto decyzję o przemieszczeniu wojska do Kazachstanu, Uzbekistanu i Kirgistanu – w rejony o cieplejszym klimacie. W no-

¹⁹ *Ocaleni z „Nieludzkiej ziemi”*. Historia, opracowanie P. Kowalski, A. Ossowski, A. Sitarek, Łódź 2014, s. 42-48. Wyd. Instytut Pamięci Narodowej Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Oddział w Łodzi.

²⁰ T. Mielnik, *Opieka socjalna nad polskimi dziećmi w miejscach zesłania*, „Wrocławskie Studia Wschodnie”, nr 16 /2012, s. 137-178.

²¹ M. Ney-Krwawicz, *Na pięciu kontynentach. Polskie dzieci, młodzież i szkoły na tułaczyczych szlakach 1939-1950*, Warszawa 2014, s. 60-61.

wym miejscu atakowały ludzi liczne choroby, czemu sprzyjały złe warunki, klimatyczne i higieniczne oraz brak bieżącej wody.

Z powodu licznych trudności z wyposażeniem i aprowizacją wojska, niedogodnych warunków bytowania ludności cywilnej rozważano wyprowadzenie wojska z granic ZSRR. Dodatkowym problemem było domaganie się od gen. Andersa by skierował część dywizji na front, podczas gdy polscy żołnierze nie odzyskali zdrowia i sił po trudach niewolniczej pracy w łagrach, nędznej egzystencji, walce z upałem i mrozem i głodem. Do wojska przybywali poranieni i schorowani, zatruci malarią, pokryci ranami i zniekształceni od nadmiernego wysiłku, od pracy ponad siły. W odmowie gen. Andersa sowieci upatrywali niechęć Polaków do podjęcia walki z Niemcami.

W trakcie wielokrotnych rozmów gen. W. Andersa z gen. W. Sikorskim oraz rozmów polsko-brytyjskich gen. Sikorskiego z premierem Winstonem Churchillem a także ze Stalinem zapadła decyzja o wyprowadzeniu z ZSRR Polaków do Iranu pozostającego pod kontrolą Wielkiej Brytanii. Gen. Anders w drodze pertraktacji z sowietami ustalił, że oprócz jednostek wojskowych wyprowadzi też 10 tys. ludzi cywilnej. We wspomnieniach zanotował:

Władze sowieckie przystąpiły niezwykle energicznie do urzeczywistnienia postanowień uzgodnionych ze Stalinem.. na usilne moje żądanie zgodzono się na dołączenie części kobiet i dzieci tak, że ogólna liczba ewakuowanych miała wynosić 40.000 ludzi. Transporty miały odchodzić koleją do Krasnowodzka, a stamtąd statkami do Pahlevi.

Wobec sprzeciwu władz sowieckich i oporu przedstawicieli polskiego rządu w Londynie W. Anders był zdecydowany wywieźć z ZSRR tak dużo rodaków, jak tylko się uda. We wspomnieniach wyjaśniał swoje postanowienie:

Z największym trudem udało mi się przekonać władze sowieckie o potrzebie włączenia do transportów ewakuacyjnych także ludności cywilnej, kobiet i dzieci. Wiedziałem, że jest to dla nich jedyny ratunek przed śmiercią głodową. Żołnierze nie dojadali, dzieląc się swoimi marnymi porcjami z ludnością polską, która masowo garnęła pod opiekuńcze skrzydła wojska, widząc tam jedyny dla siebie ratunek...Wydałem zarządzenie dołączenia do transportów wojskowych każdego Polaka, który się zgłosi. Poleciłem dołączyć sierocińce i ochronki dla dzieci²².

Ze strony Wielkiej Brytanii za przebieg ewakuacji odpowiadał płk Aleksander Ross, który stanął na czele utworzonego w Teheranie Sztabu do Spraw Ewakuacji Polaków. Szlak ewakuacji przebiegał drogą lądową do portu w Krasnowodzku nad Morzem Kaspijskim, stąd statkami do irańskiego portu Pahlevi. Pierwszy statek z grupą ewakuowanych odpłynął 24 marca 1942 r. Na pokładzie starych zdezelowanych statków panował tłok i bardzo niesprzyjające warunki, podróżni jednak okazywali radość, że udało się im wyrwać spod sowieckiej opieki. Kolejne grupy do Iranu ewakuowano do 3 kwietnia 1942 r. W sumie ze Związku Sowieckiego do Iranu ewakuowano drogą morską 3070 dzieci i 1880 junaków. W ostatniej ewakuacji drogą morską do portu w Pahlevi ZSRR opuściło 9633 dzieci oraz 2738 junaków i junaczek.²³

²² W. Anders, *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946*, Lublin MCMXCII, s. 159,161.

²³ M. Ney-Krwawicz, op. cit., s. 62.

Rząd Polski podejmował próby aby w oddzielnej ewakuacji wyprowadzić z ZSRR dzieci i w tej sprawie starano się zdobyć wsparcie rządów państw sprzymierzonych. Już w maju 1942 r. przedstawiono rządowi Wielkiej Brytanii plan ewakuacji 50 tysięcy dzieci. Tej propozycji sprzeciwił się A. J. Wyszyński – wiceprzewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, oceniając projekt jako całkowicie nierealny i potwierdził jedynie zgodę na wyjazd 500 dzieci do Indii. Kolejny raz w sprawie ewakuacji 19 tysięcy dzieci zwracał się w listopadzie 1942 r. ambasador Tadeusz Romer.

Ostatecznie, już po zamknięciu Ambasady RP w ZSRR w lecie 1943 r. wydano zgodę na wyjazd do Indii 500 dzieci z sierocińca w Aschabadzie. W wyniku rozmów strony polskiej, brytyjskiej i indyjskiej w 1943 r. uzgodniono, że do Indii przybędzie 4500 polskich uchodźców z ZSRR. W listopadzie w 1944 r. w różnych ośrodkach było 5630 Polaków, w tym 2229 dzieci. W sumie w wyniku usilnych starań, że Związku Sowieckiego wyprowadzono około 20 tysięcy dzieci i młodzieży. Niestety, w wyniku pogorszenia stosunków między Rządem RP i ZSRR jeszcze bardzo dużo ludności, w tym dzieci polskich pozostało „na nieludzkiej ziemi”. W lipcu 1942 r. zamknięte zostały terenowe Delegatury Ambasady RP. a władze radzieckie wydały polecenie zamknięcia i przejęcia polskich magazynów w miastach w okolicach których przebywało najwięcej ludności polskiej. Tragicznie na losach zesłańców zaważyła decyzja władz ZSRR z 16 stycznia 1943 r., która mówiła, że wszystkie osoby przebywające w nocy z 1 na 2 listopada 1939 r. na terenach wcielonych do ZSRR są odtąd ponownie uważane za obywateli radzieckich. Z tym postanowieniem polskie placówki pozbawione zostały możliwości niesienia pomocy polskiej ludności. Kolejne postanowienie wydane przez Radę Komisarzy Ludowych ZSRR z 15 stycznia 1943 r. dotyczyło przejęcia wszystkich zakładów opiekuńczych zorganizowanych i prowadzonych przez stronę polską i oddanie ich pod administrację radziecką. W przejętych zakładach opiekuńczych zwolniono polski personel, zakazano używania języka polskiego, obowiązywał język rosyjski, a zdarzały się przypadki przekazywania dzieci do rodzin radzieckich.²⁴

W styczniu 1943 r. utworzony został w ZSRR Związek Patriotów Polskich, w którego władzach była Wanda Wasilewska oraz płk Zygmunt Berling. Związek ten pełnił też kierownictwo polityczne w Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Miał też odtąd sprawować opiekę nad ludnością polską, w tym nad młodzieżą i dziećmi, którzy pozostali w ZSRR²⁵. Kolejna zmiana w sytuacji polskich dzieci nastąpiła po zakończeniu wojny, lecz nie wszystkim dano możliwość powrotu do Polski. Władze piętrzyły trudności, nie wszyscy mieli możliwość udowodnienia polskiego pochodzenia, nie mogli wracać w rodzinne strony, bo te znajdowały się w granicach ZSRR. Do chwili obecnej nie można ustalić liczby pozostałych w ZSRR polskich dzieci i młodzieży. Część zatraciła świadomość narodową, wtopiła się w tamto społeczeństwo, duża część na zawsze spoczęła w „syberyjskiej tajdze” lub na „stepach Kazachstanu”, część zachowując pamięć o polskiej ojczyźnie mieszka tam do dziś.

²⁴ W. F. Marciniak, op. cit. s. 50-52.

²⁵ Ibidem, s. 54-55.

O dzieciach, którym udało się opuścić ZSRR

Pierwszym krajem wolnego świata, o którym już pisałam, był Iran. Drogą morską przez Morze Kaspijskie z bazy ewakuacyjnej w Krasnowodzku do Pahlevi przybyło około 75 tysięcy wojska i 40 tysięcy cywilnej ludności. Drogą lądową do Mszhedu dotarło około 70 tysięcy wojskowych i ponad 2500 cywilów – łącznie 116.131 Polaków, wśród nich blisko 20 tysięcy dzieci i młodzieży²⁶.

Po pobycie w ZSRR byli wszyscy skrajnie wycieńczeni fizycznie i psychicznie, trawieni przez liczne choroby, w tym zakaźne. Pierwszą zasadniczą sprawą było zorganizowanie nad nimi opieki, dezynfekcja, odżywienie i pomoc lekarska. Opiekę nad polską ludnością sprawowało Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej Rządu RP. W wyniku pierwszej ewakuacji w kwietniu 1942 r. znalazło się w Iranie około 3 tysiące dzieci i młodzieży w wieku szkolnym. W krótkim czasie zostały zorganizowane szkoły. Inicjatorami byli nauczyciele, którzy przybyli razem z dziećmi z ZSRR. W Teheranie zaczęła działalność Delegatura Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych. Zorganizowano tu pierwsze szkoły powszechne i średnie. Powstały również kursy oświatowe dla dorosłych. W pierwszym okresie warunki do nauki były trudne, brak pomieszczeń, ławek, pomocy naukowych, w tym zeszytów i podręczników. Poprawa nastąpiła po kilku tygodniach: wygospodarowano lokale, w których można było prowadzić nauczanie, uczniowie zostali zaopatrzeni w niezbędne przybory i papier. Kadre nauczycielską stanowili przedwojenni nauczyciele szkół powszechnych i średnich, którzy w latach 1939-1941 byli deportowani w głąb ZSRR. Do pracy w szkołach zostały odkomenderowane z wojska ochotniczki Pomocniczej Służby Kobiet. Z pierwszej grupy uchodźców z ZSRR we wrześniu 1942 r. z Teheranu na nowe miejsca osiedlenia do Afryki przeniesiono ok. 2500 dzieci i młodzieży. Przed wyjazdem rozdano im świadectwa szkolne.

Druga ewakuacja z ZSRR spowodowała napływ do Teheranu ok. 10 tys. młodych uchodźców. Uruchomiono dla nich 6 szkół powszechnych i 3 gimnazja. Do tych szkół uczęszczało 2384 uczniów. W związku z ciągłym napływem nowych uchodźców nauczanie miało charakter przygotowawczy do właściwego procesu nauczania. Z powodu braku podręczników rozpoczęto wydawanie specjalnego dodatku do czasopisma *Polak w Iranie*.

W lutym i marcu 1943 r. nastąpiła kolejna akcja przesiedlenia dzieci – ponad 3000 w tym większość dzieci, z tego transportu sierot skierowano do Indii i Afryki. Od 1 września 1944 r. w Teheranie było tylko 370 dzieci i pracowały tylko 2 szkoły powszechne oraz gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące. W 1945 r. ewakuowano z Teheranu większość uchodźców polskich i w związku z tym przestało tu działać szkolnictwo polskie.

Skupiska polskie istniały w Teheranie, Isfahanie oraz Ahwazie i Mszhedzie. Miejscem szczególnym dla najmłodszych uchodźców stał się Isfahan, dawna stolica Persji. W literaturze historycznej został on określony jako „miasto polskich dzieci”. W tym ośrodku w latach 1942-1945 przebywało ponad 2.000 dzieci. W 1942 r. przy pomocy konsula brytyjskiego polskie ministerstwo wystarało się o ulokowanie w tym mieście grupy polskich dzieci ze względu

²⁶ M. Ney-Krwawicz, op. cit., s.72.

na szczególnie dobre warunki klimatyczne i możliwość zapewnienia najmłodszym lepszych warunków życia i rekonwalescencji. Pierwsza grupa dzieci przybyła tu 10 kwietnia 1942 r. do 3 zakładów tu otworzonych. Z czasem ośrodek został rozbudowany i powstało 21 zakładów opiekuńczo-wychowawczych dysponujących własnym zapleczem gospodarczym i sanitarnym. Że Isfahan był prawdziwym miastem polskich dzieci świadczy fakt, że tu w styczniu 1945 r. odbyła się pierwsza w dziejach Isfahanu mała matura dla 19 uczniów, w lutym i marcu – duża matura, do której przystąpiło 12 arbiturientek. O jednym należy wiedzieć, że w tym mieście zgrupowano głównie dzieci podlegające nauce w szkole powszechnej i początkowych klas gimnazjalnych, z tego względu pracowało tu 10 szkół powszechnych, powstało też gimnazjum i liceum, a w drugiej połowie września 1943 r. utworzono Państwowe Żeńskie Gimnazjum Krawiecki. Tu w Isfahanie wydawano jedyne w Iranie czasopismo redagowane przez uczniów i nauczycieli. Tu Zrzeszenie Nauczycieli Polaków w Iranie wydawało miesięcznik „Szkoła na Obczyźnie”. W Iranie działał Związek Harcerstwa Polskiego. Wielkim przeżyciem dla młodych Polaków było przystąpienie do Pierwszej Komunii Świętej i inne uroczystości religijne.

Jakkolwiek Isfahan miał charakter stałego polskiego ośrodka, to i stąd przewożono dzieci do innych miejsc osiedlenia. W lutym 1943 r. do Afryki odszedł transport ponad 400 dzieci. W marcu tegoż roku 80 dziewcząt wyjechał do Palestyny gdzie zostały przyjęte do Szkoły Młodszych Ochotniczek. W grudniu 1943 r. przybył do Isfahanu transport sierot z Turkmenii – była to ostatnia grupa wywieziona z ZSRR²⁷.

Iran nie był planowany na docelowe miejsce pobytu polskich uchodźców, z powodu skomplikowanej sytuacji politycznej tego regionu. Od sierpnia 1941 r. kraj ten znajdował się pod okupacją brytyjsko-sowiecką. Ponieważ stosunki polsko-sowieckie stawały się coraz bardziej napięte, a nieprzyjazna postawa sowieckiego dowództwa wojsk okupacyjnych w Iranie podczas ewakuacji polskich uchodźców zapowiadała kłopoty na przyszłość, uznano, że dla uchodźców polskich pobyt w irańskich miastach jest niewskazany. Brytyjczycy zaproponowali polskiemu rządowi przeniesienie ludności cywilnej do kolonii i krajów afrykańskich pozostających w zależności od Wielkiej Brytanii oraz do Indii. Mocno liczone na pomoc Stanów Zjednoczonych. Amerykanie odmówili przyjęcia do siebie uchodźców, powołując się na obowiązujące przepisy emigracyjne. Natomiast chęć przyjęcia Polaków deklarowały Gwatemala i Meksyk. Ostatecznie większość uchodźców po opuszczeniu Iranu trafiło do wielu obozów ulokowanych w różnych regionach Afryki, do Indii i Nowej Zelandii²⁸.

W 1942 r. kolejny kraj, który przyjął dużą grupę uchodźców polskich, głównie dzieci i młodzież były Indie. W kwietniu drogą lądową z Aszhabadu przez Irański Mesched lądowym transportem Polskiego Czerwonego Krzyża przywieziono dzieci, w większości sierot wraz z opiekunami i umieszczono ich w Banderze. Władze Indii deklarowały początkowo przyjęcie 500 a potem 1000 dzieci. Po rozmowach stron brytyjskiej, polskiej i indyjskiej w 1943 r. uzgodniono, że przybędzie 4500 polskich uchodźców z ZSRR a w listopadzie

²⁷ Ibidem, s. 72-90.

²⁸ *Ocaleni z „Nieludzkiej ziemi...”, op. cit., s.56.*

1944 r., w różnych ośrodkach przebywało 5630 Polaków, w tym 2229 dzieci. W przyjęciu w Indiach tak dużej liczby polskich dzieci ważną rolę odegrał maharadża Jam Sahab Digvijaysinhij – w tym czasie przewodniczący Rady Książąt Indyjskich oraz jeden z przedstawicieli indyjskich w Radzie Wojennej w Londynie.

Opiekę nad przybywającymi do Indii uchodźcami polskimi sprawował Konsulat RP w Bombaju. W 1943 r. powołano samodzielną Delegaturę MWR i OP, do której obowiązków należały wszelki sprawy związane z organizacją różnych typów szkół, zdobywanie pomocy naukowych oraz wynagrodzenie dla nauczycieli i wychowawców²⁹.

Część dzieci, które przybyły do Indii do Bandry w pierwszej turze wymagały szczególnej opieki lekarskiej ze względu na gruźlicę. Zostały odesłane do sanatorium przeciwgruźliczego w Panchgani. W sierpniu utworzono tam Ośrodek Opieki Społecznej podległy Delegaturze Ministerstwa Pomocy i Opieki Społecznej. W 1944 r. przebywało w nim od 50 do 70 dzieci. Dla nich zorganizowano normalną szkołę powszechną. Organizacja nauki była utrudniona przez chorobę, jednak starano się realizować podstawowe nauczanie. Z czasem powstał kurs gimnazjalny. W 1946 r. na kursie szkoły powszechnej było 45 dzieci a w gimnazjum 11. Ośrodek a z nim szkolnictwo zakończyło działalność w 1947 r. Dzieci przeniesiono do Valivade, gdzie w miarę możliwości zdrowotnych kontynuowano naukę³⁰.

Dla przybyłych w 1942 r. maharadża Jam Sahab zaproponował utworzenie w Balachadi pod Jamnagarem specjalnego osiedla dla polskich dzieci. Na budowę tego osiedla fundusze pochodziły od Rady Książąt Indyjskich i od maharadżego Jam Sahaba oraz pieniądze zebrane przez Polski Czerwony Krzyż. Osiedle składało się z 60 budynków mieszkalnych i 4 kąpielowe wyposażone w prysznice. Do osiedla podciągnięto linię telefoniczną. W lipcu 1942 r. przewieziono tu wszystkie dzieci z obozu w Bandrze. Jednocześnie w tym osiedlu przebywało do 700 uchodźców, przy czym 80-90 % stanowiły dzieci. Przez 4 lata jego działalności przez osiedle przeszło około tysiąca dzieci w wieku od 5 do 14 lat. Stan zdrowia w czasie przybycia dzieci do Indii był tragiczny, były wychudzone, w złym stanie fizycznym i psychicznym i były trapiące chorobami. Tu również zorganizowano nauczanie na poziomie szkoły powszechnej. W 1944 r. szkoła otrzymała nazwę „Publiczna Szkoła Powszechna III stopnia im św. Andrzeja Boboli przy zakładzie Wychowawczym w osiedlu Dzieci Polskich w Balachadi – Jamnager w Indiach”. Zorganizowano również placówkę pracy pozaszkolnej, służącą dzieciom i dorosłym jako świetlica. W 1946 r. zakończyła się działalność osiedla w Balachadi – jeszcze jednej Polski poza Polską. Mieszkańcy tego osiedla przeniesieni zostali do Valivade. Było to największe osiedle polskie w Indiach, położone w księstwie Kolhapur ulokowane w pobliżu miasta o tej samej nazwie. Tę miejscowość wybrano ze względów zdrowotnych. Panowały tu dobre warunki klimatyczne, dobre zaopatrzenie w wodę i żywność. W marcu 1943 r. zaczęto budowę osiedla od podstaw. Było ono bardzo funkcjonalnie rozplanowane. Powstały bloki składające się przeważnie z 10 mieszkań, każde mieszkanie posiadało dwie izby i kuchnię. Poza

²⁹ M. Ney- Krwawicz, op. cit., s. 130-131.

³⁰ Ibidem, s. 136-137.

budynkami mieszkalnymi 9 budynków przeznaczono dla szkół każda miała 6 sal lekcyjnych. Osiedle posiadało własną administrację, szkoły i szpital. W okresie działalności w osiedlu w różnych okresach od 1943 do 1946 przebywało od 1234 do 3732 uchodźców, w tym dzieci od około 500 do ponad 1400.

W Valivade oprócz samotnych dzieci mieszkaly też pełne rodziny i rodziły się nowe dzieci. Dla nich powstała specjalna Stacja Opieki nad Matką i Dzieckiem. W osiedlu funkcjonował Inspektorat Szkolny, który zajmował się wszystkimi sprawami szkolnymi w osiedlu. Powstały też przedszkola, w których przebywało około 150 dzieci. Szkół powszechnych było 5, a w 1943 r. w osiedlu zaczęło działać gimnazjum i liceum ogólnokształcące. W okresie 1943-1947 przeprowadzono 5 egzaminów maturalnych i wydano 98 świadectw dojrzałości. W czerwcu 1945 r. zostało utworzone liceum pedagogiczne, przeprowadzono w nim dwa egzaminy maturalne dające 29 uczennicom dyplom nauczyciela szkół powszechnych. W roku szkolnym 1945/1946 przy gimnazjum ogólnokształcącym uruchomiono pierwszą klasę gimnazjum kupieckiego. Ponadto w tym osiedlu funkcjonowały szkoły i kursy zawodowe, które przygotowywały wykwalifikowane instruktorki, które po powrocie do ojczyzny mogły podejmować dowolne prace. Prowadzono też dla uczennic zajęcia praktyczne z różnych dziedzin: uczono gotowania, kroju i szycia, tkactwa, ogrodnictwa, kwieciarstwa, miernictwa i melioracji oraz gleboznawstwa. Szkoła dysponowała doświadczalną farmą rolną. W 1946 r. zaczęła działać 2-letnia szkoła rzemieślników metalowców warsztatowych, do której uczęszczali chłopcy, którzy nie wybierali się do gimnazjum. Była też czeladniczo-mistrzowska szkoła krawiecka. We wszystkich szkołach prowadzono zajęcia poza lekcyjne, takie jak chór szkolny, kółka literackie, które przygotowywały wieczory dyskusyjne, spektakle teatralne, było kółko geograficzne, funkcjonowało harcerstwo. Po zakończeniu wojny niemal wszyscy uchodźcy opuścili Indie wracając do Polski, część wyjechała do Wielkiej Brytanii³¹. W drodze z sowieckiego piekła do Indii towarzyszyła polskim dzieciom aktorka znana pod nazwiskiem Hanka Ordonówna z mężem Michałem Tyszkiewiczem. Spisała swoje wspomnienia pt. *Tulacze dzieci*, opublikowane w Bejrucie w 1948 r.³².

W 1942 r. Rząd Meksyku zgodził się na przyjęcie Polaków na czas do ukończenia wojny, pod warunkiem, że strona polska pokryje koszty utrzymania osiedla. W czerwcu 1943 roku, po krótkotrwałym pobycie tranzytowym w porcie San Pedro pod Los Angeles w USA skierowano Polaków do Meksyku. W sierpniu 1943 r. 706 osób, w tym 166 dzieci ulokowano Polaków w osiedlu w Santa Rosa. Drugi transport 726 osób, w tym 408 dzieci przybył do tej miejscowości w listopadzie tegoż roku. W sumie w Meksyku znalazło się 1432 Polaków (większość kobiet i dziewcząt) w tym 574 dzieci, w większości sieroty. Opieka nad polską społecznością spoczywała w rękach władz polskich. Kierownictwo osiedla pełnił Delegat Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Fundusze na finansowanie pochodziły, w dużej części od Rady Polonii Amerykańskiej, rząd Stanów Zjednoczonych również przydzielał część funduszy na utrzymanie mieszkańców polskiego osiedla. Dla dzieci i młodzieży zorganizowano przedszkola, szkołę powszechną, gimna-

³¹ Ibidem, s. 139-149.

³² W. Hort (Hanka Ordonówna), *Tulacze dzieci...*

zjum i szkołę zawodową ze specjalnością: technika dentystyczna, krawiectwo i zdobnictwo. W osiedlu Santa Rosa powstała biblioteka z największymi zbiorami poloników w Ameryce Łacińskiej³³.

Po cofnięciu uznania Rządowi RP przez mocarstwa zachodnie w 1945 r. zapowiedziano likwidację polskiego osiedla na czerwiec 1946 r., lecz przesunięto termin na koniec tegoż roku. Dzieci, które były pod opieką rodziców, lub jednego choćby dorosłego członka rodziny wyjeżdżały do Stanów Zjednoczonych, do Kanady. Część osób zdecydowała się na powrót do Polski. Najtrudniejszy był problem sierot. W tym przypadku w rozwiązaniu problemu dużej pomocy udzielił Związek Narodowy Polski i Rada Polonii Amerykańskiej. Z ich inicjatywy i pomocy 25 chłopców w 1946 r. wyjechało do kolegium w Cambridge Springs by kontynuować naukę, ponad 100 sierot skierowano do sierocińca pod Chicago, inne grupy do sierocińca w Pensylwanii, do zakładów opiekuńczych w Milwaukee, Detroit i Buffalo. W przypadkach odnalezienia rodzin 250 osób wyjechało do Stanów Zjednoczonych. Niewielka część uchodźców pozostała w Meksyku.

Najliczniejsza grupa polskich uchodźców została skierowana do Afryki. Organizację transportów i rozlokowanie ludności ze strony polskiej koordynowało Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej, ze strony brytyjskiej East Africa Refugee Administration. Opiekę nad Polakami miały też sprawować utworzone w tym celu przedstawicielstwa dyplomatyczne.

Konsulaty powstały we wszystkich państwach, do których kierowano ludność polską. Ogólnie w Afryce Wschodniej znalazło się ponad 13 tysięcy polskich uchodźców. Do Unii Południowej Afryki przesłano ogółem ponad 18 tys., w tym ponad 7280 dzieci i młodzieży. W tej liczbie – wymienić należy 500 sierot, które przybyły z irańskiego Isfahanu i umieszczono je w sierocińcu zorganizowanym w budynkach obozu wojskowego pod Oudtshoorn w Unii Południowej Afryki³⁴. Sprawy i dzieje Polaków skierowanych na czasowe osiedlenie do Afryki jest to temat wielowątkowy i tak obszerny, że wymaga odrębnego opracowania, po uprzednim zebraniu stosownej dokumentacji i opracowań.

Szczęśliwy los i życzliwość społeczeństwa Nowej Zelandii spowodowały, że duża grupa uchodźców ze Związku Radzieckiego została przyjęta przez rząd a przede wszystkim jego premiera Petera Frasera. Była to grupa około 800 osób, w tym ponad 600 dzieci, które musiały opuścić Isfahan w Iranie³⁵.

O tym fakcie we wspomnieniach swoich napisała Krystyna Tomaszuk, która wraz z matką była wywieziona do Kazachstanu, następnie trafiły do Iranu i tu spotkały się z ojcem będącym w Wojsku Polskim. Z jej wspomnień cytuję stosowny fragment:

Tego właśnie ranka Mama rozmawiała z przedstawicielem Polskiego Biura Administracyjnego, który powiedział, że pan Peter Freser, premier Nowej Zelandii, zaprosił 700 polskich dzieci do swojego kraju na okres wojny, po czym mieliśmy wrócić do wolnej i niepodległej Polski. Mama wiedziała, że polskie dzieci były wysyłane z Isfahanu do innych krajów, takich jak Meksyk i Indie. Ale do Nowej Zelandii?³⁶

³³ Ocaleni z „Nie ludzkiej ziemi...”, 58-59.

³⁴ Ibidem, 56-57.

³⁵ Ibidem, 59-60.

³⁶ K. Tomaszuk, op. cit., s. 93.

Pomysł przyjęcia polskich uchodźców wyszedł od żołnierzy z Nowej Zelandii walczących w Afryce razem z Samodzielną Brygadą Karpacką oraz Marii Wodzickiej żony konsula RP w Nowej Zelandii.

Z Isfahanu do nowego miejsca pobytu wyruszyło 838 osób, w tym 733 dzieci. Podróż rozpoczęli we wrześniu 1944 r. drogą lądową do portu Basra. Stamtąd zabrał ich brytyjski statek, którym dopłynęli do Bombaju. Następnie amerykańskim transportowcem „Generał Randal” 1 listopada dopłynęli do portu w Wellington. Mieszkańcy wraz z premierem powitali przybyszów bardzo uroczystie. Wszyscy zostali zakwaterowani w nowoczesnie urządzonej obozie w Pahiatua, który wcześniej służył internowanym obywatelom niemieckim, japońskim i włoskim. Dla pomieszczenia większej grupy przybyszów ośrodek rozbudowano i dostosowano do potrzeb dzieci. Znajdowały się tam zabudowania mieszczące sypialnie, administrację osiedla, bibliotekę, salę gimnastyczną, kaplicę, szpital, jadalnię.

Przygotowano również budynki do potrzeb szkolnych. Ośrodek otrzymał nazwę Polish Children's Camp in Pahiatua. W osiedlu działały: przedszkole, dwie szkoły powszechne i gimnazjum ogólnokształcące. Nauczanie przebiegało sprawnie, ponieważ dzieci i młodzież przygotowane były już w Iranie, ale też przyjechała z nimi kadra nauczycielska skompletowana w Isfahanie. Do współpracy zaproszono również dwóch nauczycieli polskich mieszkających na stałe w Wellington. W tutejszych szkołach nauki pobierało 709 dzieci. Szkoły pracowały według polskich programów nauczania. Lekcje, z wyjątkiem języka angielskiego odbywały się po polsku. W 1945 r., gdy okazało się, że powrót do Polski staje pod znakiem zapytania, zwiększono liczbę godzin z języka angielskiego. W gimnazjum w 1945 i 1946 przeprowadzono małe matury wydając 30 świadectw ukończenia gimnazjum. Kończący nauk w polskich szkołach w Pahiatua wysyłani byli na dalszą naukę do nowozelandzkich konwentów. W 1946 r. gimnazjum zakończyło swoją działalność, natomiast szkoła powszechna pracowała do 1949 r. to jest do zamknięcia obozu w Pahiatua. Nowozelandzki kościół katolicki włączył się do pomocy dla polskiej młodzieży. W porozumieniu z premierem P. Fraserem kupował domy, które były przekształcane w bursy. Pierwsza burska dla chłopców powstała w 1946 r. w Wellington.

W Pahiatua kwitło życie kulturalne, działało kino i chór, obchodzono uroczystości święta państwowe i religijne, organizowano występy artystyczne, działała Sodaliczka Mariańska i Harcerstwo.

W 1945 r. w przewidywaniu zakończenia wojny, by zabezpieczyć uregulowania prawne sytuacji sierot Sąd Najwyższy Nowej Zelandii zatwierdził Komitet Opiekunów, który miał decydować o losach polskich sierot. Gdy mocarstwa zachodnie cofnęły uznanie dla Rządu RP, uczynił to również rząd Nowej Zelandii, cofnięto finansowanie polskiego ośrodka i zalecono działalność „samowystarczalną”. Władze Nowej Zelandii, chcąc zabezpieczyć funkcjonowanie obozu, podjęły wcześniej z konta Delegatury Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej fundusze na pokrycie najważniejszych kosztów.

Po zakończeniu wojny zdecydowana większość uchodźców polskich postanowiła nie wracać do Polski. W sumie z Nowej Zelandii do Polski wyjechało 12 nauczycielek i 37 dzieci. Kilkadziesiąt osób przeniosło się do Australii,

Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Około 650 osób pozostało na stałe w tym gościnnym kraju³⁷.

Podsumowując ten szkic poświęcony losom polskich obywateli przemocą wyrwanych ze stron ojczystych, podkreślam, że starałam się zwrócić uwagę przede wszystkim na tragiczne losy dzieci. Cierpiały one tak samo jak dorośli. Doznały poniewierki, głodu, chorób także prac ponad siły. Ile z tych młodych istnień poniosło śmierć i na zawsze pozostało w mroźnej syberyjskiej ziemi, w piaskach Kazachstanu, Turkiestanu, – na szlaku ucieczki z „ziemi niewoli” a także w gorących krainach: Iranie, Palestynie, Afryce. Cyfry, które powtarzam za autorami cytowanych opracowań, tylko w przybliżeniu określają straty osobowe społeczeństwa polskiego. Jednocześnie jest to uświadomienie wszystkim Polakom, że mówiąc o Zbrodni Katyńskiej pamiętać należy, że pod tym pojęciem kryje się nie tylko unicestwienie polskich oficerów i wszystkich – aresztowanych i więzionych na podstawie w decyzji naczelnych władz ZSRR z 5 marca 1940 r. ale też o wielu tysiącach umęczonych zesłańców, przesiedleńców, wygnańców z ziemi ojczystej.

Przypominam, że w społeczeństwie polskim i w sejmie toczyła się dyskusja na temat kwalifikacji prawnej „Zbrodni Katyńskiej”. Rozważano określenia: „Zbrodnia wojenna”; „Ludobójstwo”; „Zbrodnia przeciwko ludzkości”. Na posiedzeniu 15 września 2009 r. posłowie uznali, że „Sowiecki mord na polskich oficerach był zbrodnią wojenną o znamionach ludobójstwa ” („Rzeczpospolita” 16 IX 2009 r.). Oczywiście wszyscy myśleli tylko o jeńcach Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. Ale zapomnieli lub nie chcieli przyjąć do wiadomości, że w tym czasie, gdy Komitet Centralny WKP (b) podejmował decyzję o wymordowaniu oficerów jednocześnie decydował o deportacji ich rodzin. Przypominam, że likwidacja polskiego wojska i wyniszczenie polskiej inteligencji – podstaw polskiej państwowości był celem obydwu sąsiadów Polski: ZSRR i Niemiec. Określił ten cel Hitler następująco:

to co teraz uznaliśmy za kierowniczą warstwę w Polsce, należy zlikwidować, to co wyrośnie jej na zmianę, trzeba unieszkodliwić i w odpowiednim czasie ponownie usunąć³⁸.

Tak więc pisząc o losach dzieci, o ich martyrologii uświadomić chcę jak dalece nierzeczywista jest, wyżej cytowana, kwalifikacja Zbrodni Katyńskiej. Potwierdzają to słowa Andrzeja Przewoźnika: „Następstwem Zbrodni Katyńskiej są też rozproszone po całym świecie osierocone i rozbite polskie rodziny, tułacze, z których wielu już nigdy nie ujrzało swoich domów i ojczyzny”³⁹.

³⁷ M. Ney-Krwawicz, op. cit., s.185-190.

³⁸ N. Lebediewa, *Katyń...*, s. 140

³⁹ A. Przewoźnik, J. Adamska, *Katyń. Zbrodnia Prawda Pamięć*, Warszawa 2010, s. 177.

MARIA BOŻENA KUCZYŃSKA

**„NAZYWANO OJCA SZALEŃCEM BOŻYM”.
Bp. WŁADYSŁAW RAFAŁ KIERNICKI OFMConv.
DUSZPASTERZ I ZESŁANIEC (1912-1995)**

Na początku maja 2012 r. serwis informacyjny portalu internetowego Fundacji „Opoka” podał wiadomość:

Rozpoczął się Proces Beatyfikacyjny bp. Rafała Kiernickiego OFMConv., legendy powojennej historii Kościoła we Lwowie. Uroczystość odbyła się w miejscowej katedrze łacińskiej 4 maja, dzień po setnej rocznicy urodzin tego nieustraszonego obrońcy wiary, który pozostając po wojnie we Lwowie zabezpieczył ciągłość Kościoła na Kresach.¹

„Kurier Galicyjski” w dnia 24 kwietnia 2012 r, poinformował także:

4 maja br. abp Mieczysław Mokrzycki metropolita lwowski i o. Sławomir Zieliński OFMConv. mają zaszczyt zaprosić wiernych obrządku rzymskokatolickiego i greckokatolickiego na Uroczystą Sesję Rozpoczęcia Procesu Beatyfikacyjnego o. bpa Rafała Kiernickiego OFMConv.

Sesja odbędzie się w Katedrze p.w. Wniebowzięcia NMP we Lwowie, Plac Katedralny 1.

Porządek Sesji: 16:00 Procesja do ołtarza; Prelekcja ks. dra hab. Józefa Wołczańskiego z Uniwersytetu Jana Pawła II z Krakowa; Prelekcja o. dra hab. Zdzisława Gogoli OFMConv. z Uniwersytetu Jana Pawła II z Krakowa; Odczytanie dekretu otwierającego proces; Zaprzysiężenie Trybunału. **18:00** Uroczysta Msza św. w intencji rychłej beatyfikacji Sługi Bożego o. bpa Rafała Kiernickiego OFMConv. Mszy św. przewodniczy abp Mieczysław Mokrzycki metropolita lwowski.²

W Archiwum Państwowe Obwodu Lwowskiego zachował się życiorys Władysława Rafała Kiernickiego napisany własnoręcznie. Oto jego treść:

Urodziłem się 3 maja 1912 roku w Kułaczkowcach, pow. Kołomyja. Do szkoły powszechnej uczęszczałem od roku 1920-1927 przez 4 lata w Kułaczkowcach, przez 3 następne w Gwoźdźcu powiat Kołomyja. Średnie wykształce-

¹ Lwów: inauguracja procesu beatyfikacyjnego bp. Rafała Kiernickiego, Serwis informacyjny Konferencji Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich w Polsce „Życie Zakonne” z dnia 6 maja 2012 r., <http://www.zycie.zakonne.pl/lwow-inauguracja-procesu-beatyfikacyjnego-bp-rafała-kiernickiego-15910/>; <http://www.opoka.org.pl/aktualnosci/news.php?s=opoka&id=42667>

² <http://www.kuriergalicyjski.com/index.php/cogdziekiedy/488-beatyfikacja-obpa-rafała-kiernickiego>

nie, od klasy trzeciej gimnazjalnej włącznie, pobierałem w prywatnym gimnazjum oo. Franciszkanów we Lwowie w latach od 1927-1934 z przerwą w studiach po klasie piątej dla odbycia rocznego nowicjatu, po ukończeniu którego złożyłem profesję w zakonie oo. Franciszkanów. Egzamin dojrzałości złożyłem jako prywatysta³ w 1934 r. w X Gimnazjum Państwowym im. H. Sienkiewicza we Lwowie. Trzy lata studiów filozoficzno-teologicznych ukończyłem w seminarium oo. franciszkanów: pierwszy rok (1934-1935) we Lwowie, dwa następne (1935-1937) w Krakowie. Podpis: Kiernicki Władysław Rafał⁴.

W. Kiernicki w 1930 r. wstąpił do zakonu franciszkanów i rozpoczął nowicjat w Łagiewnikach koło Łodzi, otrzymując imię Rafał. Po studiach filozoficznych w franciszkańskim seminarium duchownym – we Lwowie i w Studium Domesticum w Krakowie, 4 października 1934 r. złożył śluby wieczyste⁵. Janusz M. Paluch podaje:

W „*Liber Scholaris Collegii in Conventu Cracoviensi Ordinis Minorum S.P.Fr. Conventualium instituti per Decretum Capituli Provincialis*” Vol. I ab a 1892 ad a 1946, pod numerem 55, znalazłem studiującego w latach 1935/36 i 1936/37: *Raphael (Ladislaus) Kiernicki – filius* [zamazane imię ojca Antoni – przyp. JMP] *et Michalinae Swiatłowska...* Dominują oceny optime i bene. W roku szkolnym 1937/38 odnotowany jest już jako student na Uniwersytecie Lwowskim im. Jana Kazimierza⁶.

Ojciec Rafał podjął dalsze działania umożliwiające mu kontynuację nauki. W tym celu w dniu 8 października 1937 roku złożył podanie do Rady Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie następującej treści:

Upraszam o przyjęcie na IV rok studiów Wydziału Teologicznego oraz o zaliczenie na podstawie świadectw trzech lat studiów teologicznych, odbytych w Seminarium oo. Franciszkanów⁷.

Rada Wydziału Teologicznego pod przewodnictwem dziekana, ks. prof. dr. Jana Stepy na posiedzeniu w dniu 28 października wydała następującą decyzję:

Rada Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie na posiedzeniu w dniu 28 października 1937 roku uchwaliła zaliczyć petentowi odbyte studia w Seminarium Duchownym oo. Franciszkanów w Krakowie i przyjąć na IV rok studiów teologicznych UJK pod warunkiem złożenia egzaminu z patrologii. X. prof. dr Jan Stepa t.cz. Dziekan, 4.XI.1937 r.⁸.

³ Prywatysta – prawdopodobnie jako wolny słuchacz.

⁴ J. Smirnow, *Ojciec Rafał Kiernicki. Materiały archiwalne dotyczące studiów uniwersyteckich ojca Rafała Kiernickiego*, Archiwum Państwowe Obwodu Lwowskiego (DAŁO), zespół 26, opis 3, teczka 1367, s. 1; [w:] „Gazeta Lwowska”, 29 lutego 2004, s. 8.; <http://www.lwow.com.pl/kosciol/kiernicki.html>

⁵ J. M. Paluch, *Ojciec Rafał Kiernicki*, [w:] „Cracovia Leopoldis”, Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 2001, nr 27; <http://www.lwow.home.pl/kier.html>

⁶ Ibidem.

⁷ J. Smirnow, op. cit., s. 3.

⁸ J. Smirnow, op. cit., s. 1. Ks. prof. dr Jan Piotr Stepa (ur. 24 czerwca 1892 r. w Sasowie, zm. 28 maja 1959 r. w Tarnowie), biskup rzymskokatolicki diecezji tarnowskiej w latach 1946-1959. Studiował we Lwowie i w Leuven. Był profesorem Uniwersytetu Lwowskiego. Był autorem publikacji filozoficznych i teologicznych;

Decyzja ta umożliwiła mu kontynuację nauki na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie 8 czerwca 1939 obronił pracę magisterską pisaną pod kierunkiem ks. dr prof. Adama Gerstmann⁹, której tytuł brzmiał „Nauka św. Bonawentury o żalu za grzechy”. Jurij Smirnow zauważa, że w teczce archiwum lwowskiego dot. o. Rafała nie ma jego świadectw, zaświadczeń i odpisów protokołów, które wcześniej dołączył do podania skierowanego do Rady Wydziału Teologicznego w 1937 roku. Natomiast znajduje się własnoręcznie napisane podanie z dnia 19 maja 1939 roku. Oto jego treść:

Do Rady Wydziału Teologicznego UJK we Lwowie. Na podstawie dwuletnich ćwiczeń seminaryjnych pod kierownictwem ks. dra prof. Adama Gerstmann a oraz rozprawy magisterskiej pt. „Nauka św. Bonawentury o żalu za grzechy” proszę o łaskawe przyznanie mi stopnia magistra św. Teologii¹⁰.

Uchwała Rady Wydziału Teologicznego była następująca:

Rada Wydziału Teologicznego UJK we Lwowie na posiedzeniu w dniu 8-go czerwca 1939 roku uchwaliła przyznać petentowi stopień magistra św. Teologii na podstawie wyżej podanej pracy magisterskiej. X. prof. dr Adam Gerstmann t. cz. Dziekan¹¹.

Dnia 29 czerwca 1939 r. o. Rafał przyjął we Lwowie święcenia kapłańskie z rąk arcybiskupa Bolesława Twardowskiego¹². W latach 1940-1941 był wikariuszem w parafii Chrystusa Króla we Lwowie. Wybuch II wojny światowej zastał go we Lwowie, gdzie – oprócz obowiązków duszpasterskich – prowadził szeroką działalność katechetyczną; był spowiednikiem sióstr zakonnych, kuratorem katolickiej organizacji młodzieżowej „Juventus Chrystiana”¹³. Wcześniej włączył się do pracy konspiracyjnej w Związku Walki Zbrojnej, potem w Armii Krajowej. Organizacyjnie działał w łączności Kedywu AK¹⁴. Pełnił

http://pl.wikipedia.org/wiki/Jan_Stepa. Zob. P. Nitecki, *Biskupi Kościoła w Polsce w latach 965-1999*, Warszawa 2000;

⁹ Adam Gerstmann (ur. w 1873, zm. w 1940 we Lwowie) – ksiądz katolicki, doktor teologii, profesor i rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Był erudyta o wszechstronnych zainteresowaniach; http://pl.wikipedia.org/wiki/Adam_Gerstmann. Zob. ks. J. Wołczański, *Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie 1918-1939*, Kraków 2002, s. 262.

¹⁰ J. Smirnow, op. cit., s. 2.

¹¹ Ibidem.

¹² J. Wołczański, *Arcybiskup metropolita lwowski Bolesław Twardowski (18.II.1864-22.XI.1944)*, „Semper Fidelis”, 1995 nr 5; <http://www.lwow.home.pl/semper/arcybiskup.html>

¹³ „Juventus Chrystiana” – katolickie stowarzyszenie młodzieżowe, działające w ramach duszpasterstwa akademickiego. Koła „Juventus chrystiana” były organizowane od 1921 r. z inicjatywy kardynała Aleksandra Kakowskiego zgodnie z pomysłem papieża Piusa XI. W ich ramach prowadzono prace metodą seminaryjną z głównym akcentem na czytanie i komentowanie Ewangelii. Jednym z istotniejszych elementów tej refleksji było wyciąganie konkretnych wskazówek dla codziennego życia. Poszczególne koła liczyły do 20 osób. Opiekował się nimi ksiądz-doradca. Istniały one także w okresie okupacji niemieckiej w formie konspiracyjnej, a po wyzwoleniu zostały legalnie reaktywowane, lecz wkrótce komunistyczne władze zakazały ich działalności; http://pl.wikipedia.org/wiki/Juventus_Christiana

¹⁴ W strukturach AK powstała nowa komórka Kedyw (Kierownictwo Dywersji) utworzona rozkazem nr 84: „Uporządkowanie odcinka walki czynnej” przez dowódcę gen. S. Roweckiego „Grota”; dowódcą na kraj był gen. Emil Fildorf „Nil”. Ta nowa

również funkcję skarbnika, a później szefa łączności oddziału V. Komendy Okręgu Lwowskiego AK, ps. „Dziunio”¹⁵; był też wykładowcą na tajnych kompletach gimnazjalnych.

Okres okupacji sowieckiej (1939-1941) a potem niemieckiej (czerwiec 1941-1944) był dla ludności polskiej na Wołyniu i Polesiu szczególnie tragiczny. Obaj okupanci wzniecali dążenia niepodległościowe Ukraińców, które łączyły się z tragicznym losem zamieszkałych na tych terenach Polaków. Efektem ich działań były liczne mordy ludności wiejskiej, nierzadko wszystkich mieszkańców danej wsi a szczególnym okrucieństwem poddawani byli księża katoliccy.

W hierarchii planów eksterminacyjnych na jednym z czołowych miejsc znajdowało się duchowieństwo rzymskokatolickie, jako ostoja życia religijno-narodowego polskiego społeczeństwa w zróżnicowanej etnicznie populacji ówczesnego Dystryktu Galicji. W przekonaniu – nie pozbawionym zresztą słuszności – ukraińskich nacjonalistów, likwidacja polskich kapłanów i zniszczenie świątyń obrządku łacińskiego obliczona była na złamanie ducha oporu Polaków, identyfikujących zwłaszcza na Kresach II Rzeczypospolitej wartości religijne z narodowo-patriotycznymi. Tak więc ofiarą masowych mordów padło w latach 1939-1945 łącznie 35 kapłanów archidiecezji lwowskiej, a 16 innych doświadczyło różnorodnych szykan i cierpień. Szacunki liczbowe strat ludności cywilnej z rąk ukraińskich nacjonalistów dla obszaru Distrikt Galizien nie zostały dotąd rzetelnie ustalone, ale wolno je sytuować w wysokości kilkudziesięciu tysięcy ofiar¹⁶.

Pod koniec okupacji sowieckiej w 1941 r. o. Rafał Kiernicki został przez NKWD¹⁷ aresztowany i osadzony w ciężkim więzieniu zwanym „Brygidkami”¹⁸. Przed wkroczeniem do Lwowa Niemców sowieci zamordowali więźniów i podpalili budynki więzienne (również na ul. Łąckiego). Przebieg wypadków dokładnie opisuje ks. Józef Krętosz:

21 VI 1941 r. wybuchła wojna niemiecko-radziecka. Ojciec Rafał zdążył wcześniej uciec [z więzienia – MBK] w czasie pożaru wzniesionego przez [...] sowieków. Jako więzień był on świadkiem tej rzezi. Cudem wydostawszy się

struktura organizacyjna miała na celu szkolenie dywersyjne przed Akcją „Burza” oraz usprawnienie łączności bezpośredniej z dowódcą okręgu. Zob. Jerzy Węgiński, *Lwów pod okupacją sowiecką 1939-1941*, Warszawa 1991; http://www.konflikty.pl/a,248,II_wojna_swiatowa,Kedyw.html

¹⁵ Imieniem „Dziunio” lub – gdy była to kobieta – „Dziunia” określano osobę towarzyską, wesołą, powabnej urody i mającą dużo wdzięku.

¹⁶ Ks. J. Wołczański, *Eksterminacja Narodu Polskiego i Kościoła Rzymskokatolickiego przez ukraińskich nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej w latach 1939-1945 Materiały źródłowe cz. I*. Kraków 2005; <http://www.lwow.com.pl/eksterminacja.html>

¹⁷ NKWD – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR (ros. НКВД – Народный комиссариат внутренних дел – [Narodnyj komissariat wnutriennich dieł]

¹⁸ Brygidki – potoczna nazwa więzienia we Lwowie przy ul. Kazimierzowskiej (obecnie Horodocka). Renesansowy gmach został zbudowany w 1614 r. dla żeńskiego zakonu św. Brygidy. Istniejąca przy budynku kaplica św. Piotra do dziś spełnia swoją pierwotną rolę, natomiast budynek klasztorny, po likwidacji zakonu w 1784 r., został zamieniony na więzienie. Przed wycofaniem się ze Lwowa w czerwcu 1941 r. NKWD wymordowało prawie wszystkich więźniów politycznych. Zob. Jerzy Węgiński, *Lwów pod okupacją sowiecką 1939-1941*, Warszawa 1991; http://pl.wikipedia.org/wiki/Masakrywi%C4%99zienne_NKWD_1941

w czasie pożaru z więzienia, jako ocalony powtarzał później: „Nie wiem, kto mnie wyprowadził, ale ktoś mnie prowadził”¹⁹.

Mimo słabego zdrowia nie mogąc czynnie walczyć z bronią w rękę, kierował grupą łączników Kedywu. Był kapłanem lwowskiego okręgu AK. Za działalność konspiracyjną w Armii Krajowej w 1944 roku o. Rafał Kiernicki odznaczony został Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami; odznaczenie to wręczono mu oficjalnie podczas konsekracji biskupiej w 1991 roku²⁰.



Ks. Władysław Rafał Kiernicki

¹⁹ Ks. J. Krętosz, *Katedra obrządku łacińskiego we Lwowie i jej proboszcz o. Rafał Kiernicki OFMConv. w latach 1948-1991*, „Studia i Materiały Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Katowice 2003, zeszyt 2, [w:] „Lwowskie spotkania”, społeczno-kulturalny miesięcznik na Ukrainie m. Lwów, wydanie specjalne w 60-tą rocznicę Akcji „Burza”, 2004; zob. <http://www.lwow.home.pl/spotkania/burza1.html#franciszka> 21 VI 1941 r, Wśród więźniów, którym udało się uciec z więzienia był m.in. prof. Roman Rencki (ur. 19. VII.1867 r.), kierownik Klinik Chorób Wewnętrznych Wydziału Lekarskiego UJK we Lwowie. Przeżył tylko 10 dni; w nocy z 3 na 4 lipca 1941 r. został przez hitlerowców aresztowany i bez sądu zamordowany wraz z grupą 25 polskich profesorów i członków ich rodzin na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie. Zob. *Każń profesorów lwowskich. Wzgórze Wuleckie*, IPN Wrocław 2011; Zygmunta Alberta *Każń profesorów lwowskich – lipiec 1941/ studia oraz relacje i dokumenty zebrane i oprac. przez Zygmunta Alberta*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1989; http://pl.wikipedia.org/wiki/Zygmunt_Albert

²⁰ Z. Sokolnicka-Izdebska *Historia Kościoła we Lwowie od 1939 roku Cz. 2 Rozdział Ojciec Rafał Kiernicki*, [w:] „Cracovia Leopoldis”, 1996, 7; <http://www.lwow.home.pl/cl1.html>

Po ponownym wkroczeniu Sowietów do Lwowa 1944 r. o. Rafał został po raz drugi aresztowany przez NKWD. Do 1948 r. był więziony w karnych obozach sowieckich w Charkowie (od września 1944 r), Riazaniu-Diagilewie (nieudana ucieczka z więzienia) oraz od 1947 r. w Czerepowcu i Griazowcu. Po zwolnieniu powrócił do Lwowa²¹. Wszędzie, gdzie był więziony prowadził konspiracyjną działalność duszpasterską: odprawiał Msze św., udzielał sakramentów, zorganizował Bractwo Różańcowe²², urządzał kursy wiedzy religijnej. Swoją głęboką wiarą podnosił kolegów na duchu i ratował od popełnienia samobójstwa. Jego parafianie z katedry lwowskiej tak opisują pobyt o. Rafała w obozach karnych:

Jego czynna natura nie pozwalała mu jednak siedzieć biernie. Oprócz posług kapłańskich nieraz zmiatał podwórze za któregoś z współwięźniów. Wreszcie o. Rafał postanowił uciec z obozu. Przygotował się do tego skrupulatnie, ale na nieszczęście przyłączył się do niego jeden z towarzyszy niedoli. Zdołali wydostać się z obozu, ale ten kompan obtarł sobie nogi i namówił o. Rafała, żeby wsiąść do pociągu. Niestety tam ich złapano, ale gdy strażnicy zdrzemnęli się, o. Rafał otworzył okno i wyskoczył. Na nieszczęście zgubił okulary, a że miał krótki wzrok, nie mógł szybko uciekać. Strażnicy zatrzymali pociąg, dogonili Ojca i zawieźli z powrotem do obozu. Tam zbity leżał dłuższy czas na betonie. Przeszedł w obozie skręt kiszek i operację²³.

Ks. Dziunio w nowym baraku mieszkał na górnej pryczy naprzeciw drzwi, aby być do dyspozycji w każdej chwili dla penitentów czy też poszukujących rad, pomocy duchowej, a nawet materialnej. W obozie panowała gorączka uczenia się, więc i wokół ks. Dziunia gromadziła się liczna grupa kolegów, rozważająca i roztrząsająca rozmaite kwestie teologiczne, filozoficzne²⁴.

Po powrocie do Lwowa w 1948 r. o. Rafał służył pomocą i wsparciem duchowym mieszkańcom miasta, a szczególnie osobom, które po akcji „Burza” w 1945 roku i później były aresztowane i wywożone na długoletnie karne zesłanie w głąb azjatyckiej tajgi. Było ich wielu, w tym m.in. Wiesław Krawczyński, żołnierz AK (obecnie Przewodniczący Rady Naukowej Zarządu Głównego Związku Sybiraków) aresztowany w jednym z kościołów we Lwowie. W liście tak pisze:

W czasach mojego pobytu w łagrach otrzymałem [...] kilka paczek, w tym również tekst przysięgi małżeńskiej, którą złożyliśmy z żoną Aldoną w obecności dwóch Polaków oraz dwie poświęcone obrączki ślubne. Był to dar od o. Rafała. [...] Przy pierwszym pobycie we Lwowie wraz z moim Synem

²¹ J. Krętosz, *Katedra obrządku łacińskiego we Lwowie* op. cit.

²² Bractwo Różańcowe jest wspólnotą osób, która modlitwą różańcową wspiera apostołską działalność Zakonu Kaznodziejskiego. Idea Bractwa Różańcowego wywodzi się od św. Dominika, a rozpowszechniona została przez bł. Alana de la Roche. Najstarsze wspólnoty w Polsce powstały: we Wrocławiu – w 1481 r., w Krakowie – 1484, w warszawskim konwencie św. Jacka – 1604, w Gidlach – 1616, w Poznaniu – 1630. Zob. <http://www.rozaniec.dominikanie.pl/002.html>

²³ Z. Sokolnicka-Izdebska, *Historia Kościoła we Lwowie od 1939 roku*, Cz. 2... op. cit.

²⁴ *Osobiste wspomnienie Stanisława Adamskiego o o. Rafale Kiernickim*, [w:] „Lwowskie Spotkania” Społeczno-kulturalny miesięcznik polski na Ukrainie m. Lwów. W 60-tą rocznicę Akcji „Burza” we Lwowie i na Kresach Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej; <http://www.lwow.home.pl/spotkania/burza1.html> #franciszk

Stanisławem [...] poznałem o. Rafała. On był inicjatorem polskich grup, które przesyłały paczki więźniom w łagrach²⁵.

O. Marian Skowyra z Rohatynia na Ukrainie w opracowaniu pt. *Rafał Władysław Kiernicki OFM (biskup pomocniczy 1991-1995)* podaje:

W kwietniu 1948 r. wrócił do Lwowa i zaraz poszedł w roboczym ubraniu do katedry. Tak o tym wspominał: „Kiedy przyszedłem do katedry, jeden z dwóch księży powiedział: *wkładaj sutannę i idź spowiadać!* I tak się zaczęło”. Odtąd do końca życia, a więc przez 47 lat, pełnych niezmordowanej pracy, wyrzeczenia i rozmaitych szykan ze strony władz sowieckich, katedra stała się dla niego najważniejszym miejscem, prawdziwym domem, bo tu spędzał cały swój czas, a niewielki pokoik obok zakrystii służył mu też za miejsce odpoczynku po całodziennej pracy; katedrę opuszczał tylko wtedy, gdy wyjeżdżał z posługą do chorych. W 1949 r. objął w katedrze obowiązki proboszcza²⁶.

Po zwolnieniu z obozu i powrocie do Lwowa w 1948 r. o. Rafał sprawował posługę duszpasterską będąc proboszczem metropolitalnej katedry pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej nastąpiła zmiana granic. Lwów i zachodnia część województwa lwowskiego (do Bugu) pozostała w granicach Związku Radzieckiego. Szykany i represje wobec duchowieństwa i wiernych wyznania rzymskokatolickiego nasiliły się. Kulminacyjny moment nastąpił w 1946 r., kiedy urzędujący biskup Eugeniusz Baziak²⁷ został wygnany i zmuszony do opuszczenia terytorium Republiki Ukrainiejskiej. Wówczas siedzibę kurii metropolitalnej lwowskiej władze kościelne przenieśli do Lubaczowa (ul. Mickiewicza 85); przed wojną Lubaczów należał do diecezji lwowskiej²⁸.

Nazwa diecezji „lubaczowsko-lwowska” była nieformalna. Biskup Mariusz Leszczyński²⁹ tak mówił o powstaniu archidiecezji lubaczowsko-

²⁵ List W. Krawczyńskiego z dnia 18 maja 2012 r. W posiadaniu autorki.

²⁶ M. Skowyra, *Rafał Władysław Kiernicki OFM (biskup pomocniczy 1991-1995)*, http://www.rkc-kowyra.com/publ/rafal_wladyslaw_kiernicki_ofm_biskup_pomocniczy_1991_9911995/19-1-0-454

²⁷ Eugeniusz Baziak (ur. 8 marca 1890 w Tarnopolu, zm. 15 czerwca 1962 w Warszawie) – biskup pomocniczy lwowski a także rektora Seminarium duchownego we Lwowie. Od 1939 r. w czasie radzieckiej okupacji starał się zapewnić ciągłość prac zlikwidowanego seminarium, organizował też pomoc dla wywiezionej w głąb ZSRR ludności. Wraz z abp. Bolesławem Twardowskim był szykanowany i zmuszony do ciągłych zmian miejsca pobytu. W 1944 r. mianowany został koadiutorem schorowanego arcybiskupa z prawem następstwa. W tym samym roku objął funkcję metropolity. W 1946 r. zmuszony przez władze radziecką podjął decyzję o opuszczeniu Lwowa. Osiadł w Polsce. W 1951 r. mianowany został koadiutorem abp. krakowskiego, kard. Adama Sapiehy. Pod koniec 1952 r. aresztowany przez władze komunistyczne, został zwolniony po kilku miesiącach ze względu na zły stan zdrowia. 28 września 1958 r. udzielił sakry biskupiej ks. Karolowi Wojtyłe. 3 marca 1962 r. mianowany został metropolitą krakowskim oraz administratorem apostolskim archidiecezji we Lwowie. Zmarł kilka miesięcy później 15 czerwca 1962 r. Pochowany został w katedrze wawelskiej. <http://dziedzictwo.ekai.pl/text.show?id=4594>

²⁸ *Ze Lwowa do Lubaczowa. W 60. rocznicę przeniesienia stolicy arcybiskupów Lwowskich do Lubaczowa*. Opracowanie zbiorowe, „Biblioteka Muzeum Kresów”, tom III, Lubaczów 2008.

²⁹ Mariusz Leszczyński (ur. 1957 r.) – od 1998 r. biskup pomocniczy diecezji zamojsko-lubaczowskiej.

lwowskiej w granicach powojennej Polski: „Władze komunistyczne PRL za wszelką cenę chciały zabronić używania nazwy, chciały zlikwidować ten skrawek archidiecezji lwowskiej z siedzibą w Lubaczowie³⁰”.

Archidiecezja lwowska z siedzibą w Lubaczowie była też wielką skarbnicą narodowych pamiątek – uratowanych z kresowych świątyń. Wśród nich najcenniejszym jest obraz Matki Bożej Łaskawej. Wywieziony z katedry we Lwowie przez lata znajdował się w głównym ołtarzu kościoła św. Stanisława w Lubaczowie. Dziś oryginał przechowywany jest w skarbcu na Wawelu³¹.

Władza państwowa w ZSRR bardzo ograniczała działalność kościoła rzymskokatolickiego; szczególnie karano za kontakty w wiernymi prawosławnymi i grekokatolikami zarzucając księżom prozelityzm, czyli nawracanie na swoją wiarę. Praca duszpasterska mogła być prowadzona tylko na terenie kościoła. W 1958 r. na Wielkanoc o. Rafał „poświęcił grekokatolikom palmy. Tego sowieckie władze nie zdzierżyły, wydając mu oficjalny zakaz odprawiania posługi duszpasterskiej.”³² O. Rafał otrzymał zakaz odprawiania Mszy św., głoszenia kazań i spowiadania wiernych. Wówczas podjął pracę zarobkową, m.in. jako stróż nocny w Parku Stryjskim, a później był tragarzem i stróżem nocnym w sanatorium przeciwgruźliczym we Lwowie. Swoich obowiązków duszpasterskich nie porzucił. Odprawiał Msze św., m.in. przed kościołem św. Antoniego na ul. Łyczakowskiej lub w domach prywatnych. Wyjeżdżał też w tym celu do innych miejscowości diecezji lwowskiej i łuckiej³³. J. M. Paluch podaje:

Po zakończeniu pracy odwiedzał chorych, w domach odprawiał msze święte – często żałobne przy zmarłych. Stawał w kolejkach do konfesjonatu, spowiadając w ten sposób wiernych. Zdarzyło się, że spowiadał w zakrystii katedry, na czym został przyłapany. Skończyło się na zabraniu kluczy od katedry. W 1964 roku o. Rafał otrzymał zgodę na powrót do pracy duszpasterskiej w katedrze. Pracuje z młodzieżą, dorosłymi na ile sił mu starcza. Dzień pracy według relacji o. Paryny, zanotowany w 1978 roku wyglądał następująco: 6 rano – konfesjonał; 7.30 – Msza św. z krótką homilią; codzienne sprawy kancelaryjne w zakrystii; konfesjonał i udzielanie Komunii św., co pół godziny – aż do 12.00; odwiedziny u chorych; pogrzeby na cmentarzach lwowskich (najczęściej Łyczakowski i Janowski); rozmowy i spotkania z ministrantami, osobami świeckimi pomagającymi mu w pracy; 17.00 – konfesjonał; 19.00 – nabożeństwo wieczorne. Bywało, że w katedrze kończył pracę przed północą. Niekiedy zasypiał w fotelu w zakrystii, nie mogąc opanować zmęczenia... Nikt nie potrafi logicznie

³⁰ *Ze Lwowa do Lubaczowa. W 60. rocznicę przeniesienia...* op. cit.

³¹ „Ze Lwowa do Lubaczowa”. Otwarcie wystawy połączonej z promocją książki opisującej historię Archidiecezji Lwowskiej z siedzibą w Lubaczowie. <http://www.lubaczow.pl/go.php/aktualnosci/art1308.html>; oryginał obrazu Matki Boskiej Łaskawej z katedry lwowskiej pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, przed którym król Jan Kazimierz składał śluby 1 kwietnia 1656 r., w czasie potopu szwedzkiego, obecnie zdeponowany jest na Wawelu, zaś jego kopia umieszczona została w ołtarzu głównym katedry w Lubaczowie; [http://pl.wikipedia.org/wiki/Matka_Bo%C5%BCa_%C5%81askawa_\(Lw%C3%B3w\)](http://pl.wikipedia.org/wiki/Matka_Bo%C5%BCa_%C5%81askawa_(Lw%C3%B3w))

³² J. M. Paluch, *Ojciec Rafał Kiernicki...*, op. cit.

³³ *Kalendarium 3 Maja*, [w:] „Wołanie z Wołynia”. Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej, 2011, nr 1(98); http://fr-fr.facebook.com/note.php?note_id=10150171883423820; <http://www.franciszkanie.pl/news.php?id=4296>; O. Marian Skowyta, *Rafał Władysław Kiernicki OFM...*

wytłumaczyć skąd u tego schorowanego człowieka było tyle siły i wewnętrznego hartu. Przeszedł dwie operacje nerek, trzy na skręt jelit, trzy na żyłaki, był chory na serce³⁴.

Zawsze najważniejsze dla o. Rafała była posługa kapłańska i duszpasterstwo. W 1965 r. sankcje Ojcu cofnięto i powrócił do katedry lwowskiej, w której do roku 1991 był proboszczem. Mieszkanca Lwowa, Zofia Sokolnicka-Izdebska tak wspomina o Rafała:

Wygłaszał płomienne kazania. Spowiadał przeważnie w czasie rekolekcji do późnych godzin nocnych. Wzywany do chorych, często z dalszych okolic, jeździł do nich nieraz autami ciężarowymi. Kiedyś spiesząc się od chorego do kościoła, chciał skrócić drogę przez zamrznięty staw, ale łódź się załamała i o. Rafał wpadł po pas do wody. Nie zważał na to i udał się do kościoła. Nazywano Ojca „Szaleńcem Bożym”³⁵.

Stanisław Adamski podaje w swoich wspomnieniach, że „Ojca Dziunia” poznał w obozie w Riazaniu-Diagilewie. Potem już we Lwowie prowadził serdeczną współpracę i nieśli pomoc mieszkańcom tych ziem.

Miał do dyspozycji zawsze gotowych i dyskretnych kierowców i samochody, do jego częstych wypadów nawet na daleką prowincję, gdzie na każde wezwanie śpieszył z posługą, o której nie wiedzieli nawet usadowieni w katedrze donosiciele, gdyż zawsze ostatni opuszczał kościół i pierwszy rano się w nim zjawiał. Cieszył się wielkim szacunkiem i autorytetem nawet wśród tych, którzy go prześladowali. Dlatego w mieście naszpikowanym szpiczlami i donosicielami jego nielegalna działalność mogła trwać długi czas nieujawniona.

W katedrze zawsze był dostępny dla wszystkich. Mając tak ustalony tryb życia, by stale być do dyspozycji potrzebujących go, całe swe życie wypełnił posługą dla innych, do której został prawdziwie powołany, nie znajdując czasu dla siebie, ani na odpoczynek, urlop czy nawet konieczny pobyt w szpitalu. A przecież, odkąd go znałem, tj. przez pół wieku, zawsze miał kłopoty ze zdrowiem³⁶.

Dnia 16 stycznia 1991 r. o. Rafał Kiernicki został mianowany biskupem pomocniczym. Sakrę biskupią otrzymał 2 marca 1991 r. z rąk arcybiskupa Mariana Jaworskiego³⁷ w katedrze lwowskiej. Ta historyczna uroczystość zgromadziła 150 kapłanów z Polski, Ukrainy i Rzymu oraz ok. 8 tys. wiernych z całej

³⁴ J. M. Paluch, *Ojciec Rafał Kiernicki...*, op. cit.

³⁵ Z. Sokolnicka-Izdebska, *Historia Kościoła we Lwowie od 1939 roku*, Cz. 2... op. cit.

³⁶ *Osobiste wspomnienie Stanisława Adamskiego o o. Rafale Kiernickim*, [w:] „Lwowskie Spotkania Społeczno-kulturalny miesięcznik polski na Ukrainie m. Lwów. W 60-tą rocznicę Akcji „Burza” we Lwowie i na Kresach Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej; <http://www.lwow.home.pl/spotkania/burza1.html#franciszk>

³⁷ Marian Jaworski (ur. 21 sierpnia 1926 we Lwowie), biskup rzymskokatolicki, administrator apostolski polskiej części archidiecezji lwowskiej z siedzibą w Lubaczowie w latach 1984-1991, arcybiskup metropolita lwowski w latach 1991-2008, od 2008 arcybiskup senior archidiecezji lwowskiej, kardynał prezbiter od 2001 (*in pectore od 1998*), wieloletni zwierzchnik episkopatu rzymskokatolickiego na Ukrainie, bliski przyjaciel Jana Pawła II; http://pl.wikipedia.org/wiki/Marian_Jaworski

Ukrainy, a także z Polski. Jako biskup prowadził nadal taki sam tryb życia, „spowiadając długie godziny, głosząc kazania, udzielając sakramentu chorych”³⁸.

Na pewno szczególnym momentem w życiu o. Rafała była możliwość spotkania się z Papieżem Janem Pawłem II w czasie Jego IV Pielgrzymki do Polski. Było to w Lubaczowie w dniach 2-3 czerwca 1991 r. Papież odniósł się do sytuacji kościoła na Wschodzie.

Zanim odejdę z tego miejsca, do którego codziennie pielgrzymuję w modlitwie, zanim odejdę w dalszą pielgrzymkę po Polsce, pozwólcie, że raz jeszcze pozdrowię was wszystkich tutaj zgromadzonych, was wszystkich z tego skrawka dawnej archidiecezji lwowskiej, który przez dziesiątki lat nosił tytuł archidiecezji w Lubaczowie i miał swoich pasterzy, wikariuszów kapitulnych i administratorów apostolskich, którzy nosili w sobie dziedzictwo, sukcesję apostolską tego prastarego Kościoła metropolitalnego we Lwowie, założonego w XIV w. – sześć stuleci. [...]

Nie wiem, kiedy będzie mi dane odwiedzić Lwów i tamte ziemie, i tamten Kościół, ale wiem na pewno, że wy, drodzy bracia, z waszym nowym arcybiskupem – nowym i dawnym – macie przed sobą ogromną pracę. Jednak jest to „żniwo wielkie i pracowników mało”, ale radujmy się, że jest to żniwo, że nie wszystko się dało wykorzystać do końca, że to wszystko na nowo kiełkuje, rośnie, owocuje i czeka na tych pracowników żniwa. Niech wam Bóg błogosławi w tej całej pracy w prastarej Pańskiej winnicy, która się odnawia i którą trzeba na nowo uprawiać. My będziemy z wami i jesteśmy z wami. Tu po tej stronie, bo królestwo Boże przechodzi przez wszystkie granice, jest uniwersalne³⁹.

W Lubaczowie w czasie spotkania z duchownymi kościoła rzymsko-greckokatolickiego w dniu 3 czerwca 1991 r. Jan Paweł II zwrócił się bezpośrednio do o. Rafała tymi słowami:

Pragnę powitać najpierw seniora, któż go nie zna – ojciec Rafał! Przez tyle lat, dziesięciolecia, przez tyle cierpień i upokorzeń wierny stróż tego skarbu, tego znaku tożsamości Kościoła, jakim jest prastara lwowska katedra łacińska.⁴⁰

Archidiecezja lwowska z siedzibą w Lubaczowie funkcjonowała praktycznie do 1991 r. Lata 90. przyniosły znaczące przemiany społeczno-polityczne zarówno w Polsce jak i na Ukrainie. Związek Radziecki przestał istnieć i Ukraina stała się niepodległym państwem. Dało to początek jej wolności i możliwość okazywania patriotyzmu a także oficjalnego i nieskrępowanego okazywania wiary. Dzięki staraniom o. Rafała w 1989 r. do Lwowa powrócili franciszkanie z Polski. Zamieszkali przy swoim kościele p.w. św. Antoniego, przy ul. Łyczakowskiej 49⁴¹.

³⁸ J. Krętosz, *Katedra obrządku łacińskiego we Lwowie i jej proboszcz o. Rafał Kiernicki OFM Conv. W latach 1948-1991*, op. cit.

³⁹ Jan Paweł II, *Homilia w czasie Mszy św., Lubaczów 3 lipca 1991 r.*; <http://www.skm.zam-lub.pl/9525/>

⁴⁰ J. Krętosz *Katedra obrządku łacińskiego we Lwowie i jej proboszcz o. Rafał Kiernicki OFM Conv. w latach 1948-1991...*, op. cit.

⁴¹ <http://www.franciszkanie.pl/news.php?id=4296>; kościół św. Antoniego we Lwowie jest mi szczególnie bliski. Tu moi Rodzice brali ślub w 1937 r. tu modlili się moi dziadkowie, którzy mieszkali na ul. Łyczakowskiej 22 i ja też w nim byłam chrzczona.

Ostatnie cztery lata życia, będąc biskupem pomocniczym diecezji lwowskiej, poświęcił usprawnieniu pracy Kurii Biskupiej oraz podległych jej parafii. O. Rafał Kiernicki zmarł 23 listopada 1995 r. J. M. Paluch tak go wspomina:

Wszyscy, którzy go znali, mówią o nim jako o skromnym zakonniku Ojcu Rafale, dzielącym dramatyczne, po II wojnie światowej, losy Polaków we Lwowie. W swoim herbie biskupim umieścił słowa „Służba Bogu i ludziom” przyjmując dewizę: „Być wszystkim dla wszystkich”. [...]

Od jego śmierci w konfesjonale, przy którym wierni powierzali mu swe troski, umieszczono jego portret. Arcybiskup lwowski Marian Jaworski, podczas mszy świętej żałobnej mówił: „Był on więźniem konfesjonatu, wiernym naśladowcą św. Jana Vianneya. W konfesjonale prowadził dusze do świętości”. Przed jego konfesjonalem zawsze stoją świeże kwiaty, zawsze spotkamy też kogoś wpatrzonego w opustoszałe miejsce...⁴²



Spotkanie bp. Rafała Kiernickiego z Papieżem Janem Pawłem II w czasie Jego IV Pielgrzymki do Polski. Lubaczów czerwiec 1991 r.

Każda rocznica śmierci o. Rafała jest uroczystie obchodzona zarówno przez wiernych kościoła rzymskokatolickiego i przez grekokatolików. W specjalnym liście pasterskim metropolita lwowski abp Mieczysław Mokrzycki podkreślił nieocenioną rolę bp. Kiernickiego. Wskazał, że „można go nazwać kamieniem węgielnym, na którym dzisiaj odbudowujemy wspólnoty parafialne i kościoły w archidiecezji lwowskiej”⁴³.

„Bp Rafał Kiernicki pozostanie w pamięci wszystkich wiernych: nie tylko obrządku łacińskiego, ale także grekokatolików, ponieważ w czasach komunizmu był dla nich ojcem” – powiedział Radiu Watykańskiemu abp Mokrzycki.

⁴² Janusz M. Paluch, *Ojciec Rafał Kiernicki...*, op. cit.

⁴³ Ibidem.

Podkreślił, że zmarły hierarcha był tym, który ich tutaj jednoczył, który zapewniał im życie sakramentalne, posługę Słowa, który przygarniał wszystkich. Troszczył się zresztą nie tylko o życie duchowe, ale także o sprawy materialne⁴⁴.

W czasie uroczystości rozpoczynających proces beatyfikacyjny o. Rafała wierni podkreślali jego „bezinteresowną i ofiarną miłość do Kościoła i ludzi”

Bardzo mnie fascynowało w nim to, że kiedy został biskupem to nadal podejmował obowiązki wobec tych ludzi, którym służył wcześniej. On był uczynny, dobry, on nie patrzył na to, kim kto jest, wszystko wypełniał, tak, jak trzeba. [...] Był dobry wobec wszystkich ludzi. Bardzo kochał ludzi, lubił także nas grekokatolików. Ks. prałat Ludwik Kamilewski, który przez 17 lat współpracował z o. Rafałem, powiedział, że Sługa Boży był „mężem silnej wiary, którego wszyscy szanowali”. „On nas podtrzymywał w trudnych chwilach, doradzał, przestrzegał. I dziś dziękuję Bogu, że poznałem takiego człowieka, takiego ojca”⁴⁵.

Ksiądz Marian Kardynał Jaworski, Arcybiskup Metropolita Lwowski obrządku łacińskiego napisał we wstępie do wspomnień o Ojcu Rafale:

[...] „Kiedy z woli Ojca Świętego obejmowałem w 1991 r. w katedrze lwowskiej obrządku łacińskiego posługę arcypasterza urzekł mnie widok pięknej liturgii, tłumów wiernych w niej uczestniczących i przystępujących do sakramentów, ich przywiązanie do Kościoła i księdza to wszystko zawdzięczamy proboszczowi, ojcu biskupowi Rafałowi i współpracującym z nim w czasach powojennych księżom⁴⁶.

⁴⁴ Ibidem.

⁴⁵ <http://info.wiara.pl/doc/1147889.Otwarto-proces-beatyfikacyjny-o.-Kiernickiego>

⁴⁶ Fragment *Słowa Wstępnego* księdza Mariana Kardynała Jaworskiego, Arcybiskupa Metropolity Lwowskiego obrządku łacińskiego, [w:] Ks. Józef Krętosz, *Katedra obrządku łacińskiego we Lwowie ...*, Rozdział *Niezłomny Ojciec Rafał*, „Studia i Materiały Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach”, 2003, z. II, <http://www.lwow.home.pl/spotkania/burza1.html#uczestnik>. Uwaga: zdjęcia zamieszczone w tekście pochodzą z internetu.

ANTONI KUCZYŃSKI, ZBIGNIEW WÓJCIK

KAROL LUBICZ CHOJECKI – KONFEDERAT BARSKI NA ZESŁANIU

W XVIII w., z niewielkimi przerwami, na ziemiach polskich obce wojska (rosyjskie, pruskie, szwedzkie i saskie) prowadziły wojny rujnując i stopniowo zniewalając Rzeczypospolitą. W 1764 r. Stanisław August Poniatowski, zgodnie z życzeniem Katarzyny II został wybrany królem. Elekcji strzegły wojska rosyjskie. Nic więc dziwnego, że kilka lat później w miejscowości Bar na Podolu powstało sprzysiężenie antykrólewskie i antyrosyjskie zwane Konfederacją Barską (1768-1772). Zbrojne wystąpienie szlachty zostało stłumione. Kilkanaście tysięcy żołnierzy trafiło do niewoli i uprowadzono ich w głąb Rosji. Sąsiednie mocarstwa (Austria, Prusy i Rosja) w 1772 r. zagarnęły znaczne obszary Rzeczypospolitej.

Takie było ogólnopolityczne tło wydarzeń w czasie których wzięci do niewoli konfederaci przymusowo znaleźli się na Syberii. Niewielka ich część wróciła do kraju. Większość wcielono do korpusów, w których uczestniczyli w wojnach na południowym zachodzie tego obszaru, tłumili powstanie Jemieliana Pugaczowa oraz tatarskich plemion z obszarów w sąsiedztwie Morza Azowskiego.

Archiwalne źródła rosyjskie dotyczące konfederatów barskich na Syberii nie zostały należycie przebadane. To co wiemy o ich losie opieramy głównie na relacjach tych jeńców, którym udało się dotrzeć do Europy, głównie na podstawie publikacji Franciszka Augusta Thesby de Belcoura ogłoszonej w Amsterdamie w 1775 r. pt. *Relation ou journal d'un officier françois du service de la Confederation de Pologne pris par les Russes et relégué en Sibérie*. Wpisuje się też w te dzieje postać Karola Lubicza Chojeckiego i jego pamiętnik ogłoszony w Warszawie w 1789 pt. *Pamięć dzieł polskich. Podróży nie pomyślny sukces Polaków* oraz pamiętnik Maurycego Augusta Beniowskiego opublikowany w Londynie w 1790 r. pt. *Memoirs and travels of Mauritius Augustus Count Benyowsky; Magnate of the Kingdoms of Hungary and Poland...* (edycja polska z 1797 r. *Historia podróży i osobliwych zdarzeń sławnego Maurycego Augusta Beniowskiego*). Najnowsze opracowanie pamiętników Beniowskiego zawiera książka E. Kajdańskiego zatytułowana *Tajemnica Beniowskiego. Odkrycia, intrygi, fałszerstwa*, Warszawa 1994.

Wspomniany już Francuz F. A. Thesby de Belcour, jako cudzoziemiec został zwolniony w Tobolsku (1773 r.). Powracając z Rosji przywiózł listę jeńców liczącą ponad 5 tys. nazwisk (zachowała się¹). Maurycy August Beniowski

¹ Por. *Konfederaci barscy na Syberii (1774)*, wydał A. Kraushar, Kraków 1895.

uciekł w czasie pobytu w Kazaniu, ale w drodze do Moskwy został złapany i wysłany na Kamczatkę, skąd zbiegł na porwanym okręcie, docierając z załogą rosyjską do Francji, natomiast Karol Lubicz Chojecki zbiegł z wojska podczas walk z Tatarami w 1776 r. z obozu nad rzeką Kalmus na Pomorzu Azowskim, skąd samotnie przez Zaporozże dotarł do Polski.

Ze zrozumiałych względów, o ile chodzi o relacje dotyczące warunków pobytu konfederatów barskich na Syberii oraz w terenach przyległych od południa i południowo-zachodu, zapiski Karola Lubicz Chojeckiego są najpełniejsze. Pierwsze ich wydanie ukazało się w roku 1789 w Warszawie jako *Pamięć dzieł polskich. Podróż i niepomyślny sukces Polaków przez Urodzonego Karola Lubicz Chojeckiego*. Druga ich edycja, anonimowa ukazała się w roku 1790 jako *Polak konfederat przez Moskwę na Syberyę zaprowadzony. Razem wiadomość o Buncie Puchaczewa*. Ich wartość doceniono pod koniec XIX w. w Rosji i we fragmentach ogłoszono w „Kijewskiej Starinie” (1883) oraz na łamach serii wydawniczej „Ruskij Archiv” (1886). Na kolejne polskie edycje czekano ponad dwieście lat bowiem pierwsza z nich zatytułowana *Pamięć dzieł polskich. Podróż i niepomyślny sukces Polaków*. (Opracowanie, wstęp i przypisy Wojciech Turek), ukazała się w Gdańsku w 1992 roku, druga natomiast opatrzona krytycznym komentarzem została opublikowana pt. Karol Lubicz Chojecki, *Pamięć dzieł polskich. Podróż i niepomyślny sukces Polaków. Na podstawie pierwodruku z 1789 roku wydali oraz przypisami i komentarzami opatrzyli Antoni Kuczyński i Zbigniew J. Wójcik*, Bagno – Warszawa – Wrocław 1997.²

Żołnierka

Z treści *Pamięci dzieł polskich* wynika, że konfederacka żołnierka Chojeckiego rozpoczęła się w pierwszej połowie 1768 r. Od czerwca do sierpnia bronił Krakowa obleganego przez Rosjan. Miasto poddało się w końcu sierpnia. Obrońców uwięziono na Wawelu i 1 września 1768 r. pod konwojem wyprowadzono na wschód. Pierwszy dłuższy pobyt (koniec października 1768 r. – początek 1769 r.) był w twierdzy kijowskiej. Z Kijowa pomaszzerowali do Kazania, gdzie byli do jesieni 1769 r. Stąd przez Kungur dotarli do Solikamska, gdzie trzymano ich do lata 1770 r. Jesienią przekroczyli Ural (praktycznie nie odnotowany w relacji), dochodząc do syberyjskiego Wierchoturia, a stąd do Tiumentia, gdzie spędzili Boże Narodzenie. W styczniu skierowano ich do Tobolska, a potem do Tary (luty – marzec 1771). Już tam przekonali się, że stopniowo zmieniał się ich status. Młodych i zdrowych (w tym Chojeckiego) przygotowano do służby w wojsku syberyjskim, co też nastąpiło na wiosnę 1771 r. w Omsku. Początkowo służył w dragonach, później w regimencie pieszym. Złożyli, nie mając wyjścia, przysięgę. Całe lato 1771 r. zajęli im pościg za Kałmukami uciekającymi z guberni orenburskiej do Chin. Przeszli przez ówczesny „Step Kirgiski” (dzisiejszy Kazachstan) docierając do granicy z Chinami. W drodze powrotnej poznali Semipałatyńsk, czyli miasta „siedmiu pałaców, których tam tylko mury widzieliśmy. Żadni tam mieszkańcy nie znajdują

² W edycji tej zestawiono wszystkie wydania pamiętnika K. Lubicz Chojeckiego z uwzględnieniem przedruków niektórych ich fragmentów. Ponadto opatrzone są publikacjami o Karolu Lubicz Chojeckim i jego pamiętniku.

się, a przez kogo te gmachy stawiane były dowiedzieć się nie mogliśmy” – odnotował Chojecki w pamiętniku.

Kałmukom, których ucieczkę mieli powstrzymać udało się powędrować na południe ku chińskiej granicy. Ścigający podziwiali ich umiejętności, gdy pokonywali rzekę i piętrzące się nad nimi góry. Widząc ich sprawność w radzeniu sobie z terenowymi przeszkodami Chojecki nie omieszkał pominąć tych sytuacji i napisał:

Kałmuki ścieżką małą na tej wysokiej skale będącą i nad rzeką Buchtarmą zwaną wiszącą, gdzie ledwie pieszy człowiek przejść mógłby, oni tamtędy z końmi przebrać się potrafili, a przebrawszy się przez tę skałę na równe już miejsce dość szybko, jedni wpływ, drodzy na wozach, przez rzekę Buchtarmę się przeprawiwszy, na chińskich stanęli granicach³.

Rok 1772 i przeszło połowa następnego upłynęły Chojeckiemu na służbie wojskowej w Omsku, raczej bez kontaktu z mieszkańcami miasta. Stąd 9 września 1773 r. Korpus Syberyjski wyruszył do walki z powstańcami Jemieliana Pugaczowa, gdzie zresztą po drodze pacyfikowano osady Baszkirii i Mordwy. Przebywali na tym terenie do początku 1776 r. uczestnicząc w niebezpiecznych walkach z powstańcami. Kolejny rok to przemarsze przez Powołże oraz udział w walkach z Tatrami w okolicach Azowa i z innymi plemionami tatarskimi na Kubaniu. Intensywne marsze pościgowe. Pacyfikacje tamtejszej zbuntowanej ludności tubylczej. Dramatyczna ucieczka, w czasie której musiał przedostać się na zachodni brzeg Dniepru. Nawet chore nogi nie złamały jego determinacji dotyczącej ucieczki do kraju, która zakończyła się szczęśliwie po 8 latach zesłańczej żołnierki.

O pamiętniku

Rozpocniemy od stwierdzenia podkreślającego, że wspomnienia Chojeckiego należy wiązać z tradycją pamiętników i diariuszy żołnierskich spisywanych w XVII w, głównie w okresie wojen polsko-moskiewskich, a posługując się cytatem z książki Andrzeja Cieńskiego, historyka literatury, świetnego znawcy pamiętnikarstwa polskiego z XVIII wieku należy podkreślić, że otwierają one:

długą listę wspomnień poświęconych niedoli narodowej, martyrologii. W takim modelu pamiętnika zainteresowanie dla historii, dla faktów i zdarzeń przeważają nad zainteresowaniami przeżyciem indywidualnym. Ale historia w takich pamiętnikach jest szczególnego rodzaju: nie o wojsko, wodzów, bitwy, zabiegi dyplomatyczne tu idzie, lecz o los ludzi ukształtowany przez historię⁴.

³ K. Lubicz Chojecki, *Pamięć dzieł Polskich. Podróż i niepomyślny sukces Polaków. Na podstawie pierwodruku z 1789 roku wydali oraz przypisami i komentarzami opatrzyli A. Kuczyński i Z. J. Wójcik*, Bagnó – Warszawa – Wrocław 1997, s. 83. Dla dokumentacyjnego charakteru tej edycji należy zaznaczyć, że „Opublikowano ją na pamiątkę wizyty Ojca Świętego Jana Pawła II w Ojczyźnie w roku 46 Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego we Wrocławiu oraz konferencji naukowej „Syberia w historii i kulturze narodu polskiego”, zorganizowanej przez Ośrodek Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego, Wyższe Seminarium Duchowne Salwatorianów w Bagnie przy współpracy Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Zarządu Krajowego Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

⁴ A. Cieński, *Pamiętnikarstwo polskie XVIII wieku*, Wrocław 1981, s. 109.

Wspomnienia Chojeckiego, to zapis konfederaty, który spędził w niewoli 8 lat przetrucany do różnych miejsc uczestnicząc jako żołnierz rosyjski w walkach z plemionami pogranicza południowego Imperium oraz w tłumieniu powstania Pugaczowa. Bywał w różnych okolicach i odnotował między innymi, że miasta syberyjskie są ładne, ceny żywności i odzież tańsza niż w europejskiej Rosji, a ludzie serdeczniejsi. Dostrzegł też okrucieństwo urzędników (zwłaszcza stłumienie w Tobolsku oddziału konfederatów, których nie chciano odesłać do Polski). W relacji z drogi na Syberię oraz z lat pobytu za Uralem i w innych obszarach operacji Korpusu Syberyjskiego praktycznie brakuje obszerniejszych spostrzeżeń fizjograficznych, poza wzmiankami o lasach, miejscach z gorzką wodą w studniach, zwierzynie łownej itp. Więcej natomiast jest informacji o trudach wojaczki, ludziach i osobistych przeżyciach. Spotykamy się w tych opisach nie tylko z prostą rekonstrukcją zaistniałych zdarzeń, ale także nieraz i z ich oceną. W sumie wspomnienia są niezłą opowieścią o syberyjskiej wojaczce konfederata. Ich zaletą jest różnorodność spojrzeń na własny los oraz spraw dotyczących odmienności życia niektórych autochtonicznych mieszkańców rozległej i wieloetnicznej Syberii.

Miasta

Opisy zesłańczego szlaku występują w różnych odmianach gatunkowych ukazanych poprzez pryzmat indywidualnych doświadczeń. Nieraz są to skróto-we relacje, kiedy indziej natomiast dłuższe opisy miejsc, ludzi i żołnierskich przeżyć. Zależało to od określonych sytuacji losowych pozwalających dostrzec i zapamiętać godny uwagi fakt – zjawisko przyrody, panoramę miasta czy najbliższej okolicy oraz tubylcze ludy odróżniające się zwyczajami, obyczajami i ubiorem od rosyjskich przybyszów zasiedlających przede wszystkim miasta. Bywało, że ten bardzo skrótowy charakter pamiętnikarskiej relacji dotyczył też przyrody – lasy, rzeki, krajobrazów, miast i ludzi. Daleki jest on jednak od pełniejszej kulturowo-geograficznej faktografii. Z opisów tych widać jednak, że Syberia przez którą wędrował Chojecki zagospodarowywana była przez przybyszów z głębi Rosji realizujących powolny proces kolonizowania tych obszarów. W pamiętniku jest nieco informacji z tego zakresu oraz refleksji nad kwestiami etnicznymi i rosyjskim osadnictwem. Ta zesłańcza wędrówka znajdująca odbicie w różnych odmianach autorskiej narracji ukazuje nowy dla pamiętnikarza świat przez pryzmat indywidualnych spostrzeżeń i emocjonalnych doznań. W polu jego widzenia pojawiały się najbliższe okolice, miasta w których przebywał, ludzie których spotykał, rozległe rzeki, stopy i góry. Warstwa faktograficzna nie jest bogata, a wszystkie informacje mają odniesienia do postrzeganej rzeczywistości.

Stopień wiarygodności relacji nie budzi zastrzeżeń i utrwala ówczesny obraz tej części Syberii wprawdzie pobieżny, ale w interesującej różnorodności. Pisał więc Chojecki o tym czego doświadczył i co pozostało w pamięci. Odnotował np. fakt występowania kolonii osadników niemieckich w rejonie nadwołżańskim oraz poczynił skróto-we informacje o strukturze etnicznej Kazania i okolic, podkreślając, że pierwszymi „tuziemcami” byli tutaj Tatarzy. W Kazaniu przebywał nieco dłużej bowiem jak wspominał ciągle docierały tu grupy konfederatów odprawiane z Kijowa. Kazań stanowił wówczas ważny ośrodek

logistyczny, w którym podejmowano decyzje dotyczące rejonów rozsiedlenia konfederatów i ich służby wojskowej. Wspominając pobyt w tym mieście informował, że:

dawniej stanowiło ono stolicę Tatarów syberyjskich, zdobytą przez Rosjan po uciążliwych walkach, w efekcie których zburzono część fortecznych murów. Miasto zaś same czyli forteca murem dość grubym opasane; najwięcej z kamienia ciosanego murowane są domy, do naszych budynków europejskich wcale niepodobne, gdyż to już w azjatyckiej części świata znajduje się. [...] Jest także i cerkwi w tej fortecy kilka; były to przedtem meczety, teraz zaś na cerkwie zamienione i wewnątrz odmienione, lecz zewnątrz widocznie poznać się daje azjatyckie dzieło i że było niegdyś muzułmańskim siedliskiem. A od fortecy wychodząc, w prawą i lewą stronę, jest miasto z drewnianych i murowanych budynków w dość wielkiej obszerności wybudowane. W całym zaś tym mieście drewnianym i długim murem okolonym, sami tylko mieszkają Moskale. Tatarom zaś tylko jedna dzielnica oddana i to daleko za miastem, dla ich zamieszkania. To miasto przedtem było własnością Tatarów kazańskich, bardzo jednak mało ich w Kazaniu znajduje się, ponieważ Moskale całe to miasto własnym już narodem napełnili. Mają też Tatarzy meczet na swojej ulicy, gdzie mieszkają, dość pięknie wystawiony. Ale za Kazań wyjechawszy same już tatarskie wsie znajdują się, między którymi żadna się moskiewska nie znajduje, ani też tam oprócz Tatarów innego człowieka widzieć nie można, chyba za mil 40, gdzie znowu inny znajduje się naród⁵.

Prezentacja tego „nowego syberyjskiego świata”, wprawdzie lakoniczna i skrótowa nie traci jednak w pamiętniku wyrazistości decydującej o tym, że jego tekst jest naprawdę interesujący. Z jednej strony jawi się w nim pierwotna natura tych rozległych przestrzeni, z drugiej zaś lakoniczny wprawdzie obraz tubylczych kultur oraz powolnego opanowywania tych ziem przez Rosję. Zesłańcza droga Chojeckiego wiodła z Krakowa przez Kijów, Kazań i inne miasta – Ikingur, Solikamsk, Wierchoturie, Tiumeń, Omsk. O tym ostatnim informował, że:

Była tam forteca z wałów ziemnych dość mocno sporządzona, w której były koszary dla wojskowych ludzi wystawione i dla generała, który tam korpusem całym sybirskim komenderował. Za fortecą było miasteczko z drewnianych budynków złożone, w których tylko sami mieszkali kozacy, mający żony i domy swe własne. Ich powinnością było pilnować granic i wszelką wojskową odbywać powinność.

Rzeka Om nazwana przez środek miasta płynie, na której most dość dobry jest zbudowany, a za miastem jest Irtysz rzeka dość wielka, którą przybywszy, zaczyna się step pustynny do Tatarów kirgiskich należący.

Stał w Omsku wówczas Rewelski Dragoński Pułk. Do którego nas dziewięciu Polakówznaczono, a drugich do innych pułków, dalej od Omska po granicy stojących. Nas dziewięciu w Omsku zostało, a resztę naszych do drugich regimentów odesłano. Zaprowadzono nas do cerkwi i rozkazano nam przysięgać na wierność służbie wojskowej, ale z nas żaden przysięgać nie chciał. Namawiali nas do tej czynności oficerowie dość łagodnymi słowy, ale ich perswazje do nas nie trafiały. Wyszliśmy więc z cerkwi i zastaliśmy już paradę z kilkunastu żołnierzy złożoną, która nas otoczywszy doprowadziła do aresztu. Byliśmy

⁵ Ibidem, s. 46.

w areszcie tylko we dwóch umieszczeni. Dzień i noc o głodzie przebywaliśmy, a nazajutrz po dwóch nas tylko prowadzili do cerkwi i do takowej przysięgi byliśmy przymuszani⁶.

Dalsze wydarzenia z tym związane to smutna opowieść o kolejnych sztykach dotyczących przymuszenia do złożenia przysięgi, upokorzeniach zakończonych ostatecznie biciem i udzieleniem „po półtora tysiąca kijów w plecy”. Nie była to więc służba łatwa a jej ślady są bardzo widoczne w pamiętniku. Jego wartość leży głównie w tym, że pokazuje on doświadczenia autora z niewoli. Skrótowy styl tych relacji jest przejrzysty. Ich autor wkomponował w nie różne elementy zesłańczego życia, te które osobiście doświadczył, jak np. wspomniane zmuszanie do przysięgi.

Kraj i ludzie

Poznanie Syberii i jej ludów odbywało się podczas powolnych marszów oraz dłuższych postojów. W galerii postaci pojawiających się w opisach tej wędrówki spotykamy konfederatów, urzędników, dowódców oddziałów wojskowych, prostych żołnierzy oraz innych ludzi spotkanych na zesłańczym szlaku. Nowa sytuacja wymagała przystosowania się do zmieniających się warunków. W tej wędrówce autor wspomnień ciągle przeżywał na nowo pełne różnorodności doświadczenia podróżniczo-etnograficzne.

Pamiętnikarska relacja ujawnia niezwykłość tej wędrówki przez tereny nieznanne, pełne niespodziewanych sytuacji i lęku. Było to życie uciążliwe a jego ślady są widoczne w pamiętniku. Nieraz odnajdujemy w nim te dokuczliwości, niebezpieczne epizody bojowe, zwycięstwa i porażki oraz wydarzenia okraszone szczęściem, które towarzyszyło konfederatom. Wszystkie one wiążą się ze sprawami pobytu w niewoli. Są wyraźnym przykładem związanych z nią uciążliwości. Przynoszą wiele informacji o autorze. To co zauważalne jest w jego narracji to wyraźny czynnik wspólnego losu konfederatów wspomagających się na obcej ziemi. Wszystko to miało prowadzić do tego, by konfederaci nie stracili całkiem nadziei powrotu do kraju jaką zapewne jeszcze żywili? Nie wszystkim jednak się to udało. Autorowi pamiętnika – tak!

Obszary przez które wędrował Chojecki, były zróżnicowane pod względem geograficznym i etnicznym. Zdumiewały go krajobrazy, wielkie lasy i szerokie rzeki oraz mijane po drodze miasta-twierdze i tubylcze osady. Był świadkiem zadziwiającego zjawiska tzw. „białych nocy”. Wspominał również o stepach, i braku wody. Do codziennych utrapień dochodziły srogie temperatury i brak odpowiedniej odzieży. Wiele razy wspominał o syberyjskich mrozach i dokuczliwym zimnie, przed którym zabezpieczano się zdobywając kozuchy lub kupując „burki” od Tatarów. W Solikamsku, mieście słynącym z warzelni soli, „umarło naszych Polaków siedmiu, których daleko za miastem pochowaliśmy” – napisał Chojecki czyniąc przy tym uwagę, że tamtejszy „wojewoda” był nieprzychylnie nastawiony do Polaków.

Z sympatią natomiast pisał o gubernatorze kazańskim Andreju Samarinie, informując, że był to „człowiek ludzki i wspaniały. Bywał niegdyś w Polsce w charakterze posła, a żona jego była niemniej roztropną”. Podobnie

⁶ Ibidem, s. 77-78

wspominał komendanta Tary, pisząc iż „był to człowiek niezwykle grzeczny, naszym zaś językiem polskim tak dobrze mówił, że rodowity Polak lepiej mówić nie może. Był człowiekiem wielkiej grzeczności i ludzkiego charakteru. Bywaliśmy u niego często”. Napisał także w pamiętniku, że poznany „Generał gubernator tobolski, był człowiekiem dobrym, dumnym i myślącym. Posiadał wielką wiedzę, umiał trochę mówić po polsku. Naszych Polaków po kilkadziesiąt chodziło do jego stołu, gdyż stoły u niego były nie tylko wspaniałe. Lecz otwarte, gdzie wiele bardzo osób mieściło się”.⁷

Wedle autora byli to ludzie przyjaźni w tym niezwykle kraju opanowywanym powolnie przez Rosję, kraju w którym i lud prosty obdarzał zesłańców sympatią. Ale spotykał też ludzi nieokrzesanych, nietolerancyjnych i chciwych. Bywało więc różnie. Historycy są na ogół zgodni, że okres kolonizowania Syberii i uczynienie zeń kolonii karnej charakteryzował się praktyką kar cielesnych, bezprawiem i samowolą. Odległość od centrów władzy dawała się tu szczególnie we znaki.

To wszystko co powiedziano poprzednio przedstawia zaledwie mały fragment pamiętnikarskiej narracji, będącej odbiciem niezmiernie uciążliwych zesłańczych losów autora i wyrażanych przez niego opinii o stosunkach w relacji zesłańcy – administracja Syberii. Widzimy w niej stosunek konfederatów do swych ciemżycieli i odwrotnie, ciemżycieli do zesłańców. Wielokrotnie przy tej okazji rodziło się wśród Polaków pełne dezaprobaty zdumienie, połączone ze spontanicznymi sprzeciwami, np. gdy zmuszano ich do przyjęcia prawosławia.

Poza negatywnymi sprawami sytuującymi się na płaszczyźnie władza – zesłańcy, mamy także na kartach wspomnień relacje nacechowane pozytywnymi opiniami, odnoszącymi się wobec niektórych rosyjskich oficerów. Chodzi tu o konkretne przejawy omijania przez nich surowych regulaminów i traktowanie zesłańców w sposób przyjazny. Jest to udokumentowany przez pamiętnikarza przejaw ludzkich odruchów ze strony nadzorców, którym powierzono dbanie o dyscyplinę i rygor wobec zesłańców. Tak zatem egzystują w narracji dwa różne wizerunki rosyjskiego urzędnika i oficera. Wizerunek satrapy, nosiciela zła i wad wszelkich oraz obraz człowieka przepojonego humanizmem i rozumieniem ideałów wolności.

Są też w pamiętniku relacje o charakterze etnograficznym odnoszące się do ludów, z którymi zetknął się podczas wędrówki. Napisał o ich domostwach i obyczajach. Podkreślił ekspansję prawosławia i rugowanie tubylczych ludów z zajmowanych przez nich terenów, chwianie się pradawnych kultur pod naporem przybyszów. Dodajmy przy tym, że nie były to przypadki typowe jedynie dla Syberii, lecz powszechnie znane przejawy, które dotknęły autochtoniczne kultury jak świat długi i szeroki, utopione w wirze cywilizacji. W ten sposób Syberia traciła część swej tożsamości etniczno-kulturowej, co dostrzegł także polski dziejopis już w końcu XVIII stulecia.

Wtajemniczenie w odległy syberyjski świat i zróżnicowane kultury odbywało się podczas powolnych marszów oraz dłuższych postojów, wyznaczanych przez konwój prowadzący zesłańców, a potem dowódców oddziałów, w których służył pamiętnikarz. Podczas przemarszów i częstych dyslokacji uda-

⁷ Ibidem, s. 48, 66.

ło się mu zbiec i powrócić do kraju. Jego wspomnienia zawierają wiele realiów odnoszących się do obszarów syberyjskich. Pisze w nich o klimacie i przyrodzie, charakteryzuje uciążliwość żołnierskiego życia, opisuje mniejsze i większe miejscowości. Podaje, że w Tobolsku, Kazaniu i innych okolicach spotykał:

wielu naszych Polaków, starych już mocno, w różnych tam stanach znajdujących się od kilku dziesiątków lat zabranych, którzy w rewolucji Stanisława Króla Leszczyńskiego dostawszy się w niewolę, nie mieli już swego wybawienia; przerażał nas strach niejednego, obawiając się podobnego niebezpieczeństwa.⁸

Szczególne jednak jego zainteresowanie budziły nieznanne mu ludy Wotiaków, Czeremisów, Tatarów syberyjskich, Kirgizów (Kazachów), ich życie codzienne, ubiory, mieszkania, zwyczaje i obyczaje. Oto np., napisał, że Kazachowie:

Mieszkają w stepie pustym bez żadnych budynków, chleba nie jedzą, ani żadnego rolnictwa nie znają, szczególnie tylko mlekiem i mięsem żyją, bydła mają aż nazbyt wielki dostatek, ponieważ gospodarz jeden może mieć 5000 baranów, 2000 bydła rogatego, 1000 lub więcej koni i 300 lub 400 wielbłądów. Mieszkania ich w charakterze namiotów, wojskami nakrywane, mają takowe płoty drewniane na sprężynach żelaznych składane, które dokoła stawiają, na wierzch zaś mają krokwie z żerdzi na sprężynach zrobione, które także wojskami nakrywają z zostawioną dziurą do wychodzenia dymu ogniowego, który na środku palą.

Mają kotły najwięcej żelazne, w których mięso gotują i miseczki małe na podobieństwo filiżanek, drewniane chińskie, którymi, gdy się ugotuje mięso, rosół piją, a potem same mięso jedzą. Niedługo oni na jednym mieszkają miejscu, gdyż bydła ich wielkość dla wypasania trawy potrzebuje częstego przeprowadzania się, a wtenczas dopiero, gdy się przeprowadzają, zbierają domy swoje i te na wielbłądy kładą i wynalazszy mil kilka lub kilkanaście dostatek trawy na inne z bydłem swoim prowadzą się miejsce. Gospodarzy też nie mieszka w jednym miejscu nad sześciu lub siedmiu, gdyż ci wielką swą liczbą bydła na mil kilka zabiorą obszerności.

Pieniądzy żadnych nie znają ani ich biorą, gdyż wszystkie potrzebne sobie rzeczy na zamianę bydła swego nabywają. Z Moskalami ustawicznie jarmarczą na zamian rzeczy z czasem kilkanaście, a bardziej kilkadziesiąt tysięcy bydła nad Irtysz rzekę przypędziwszy, przeprawiają się też Moskale do nich za Irtysz i tam z nimi na różne wymieniają towary za jedno tylko bydło, barany i konie, z niewypowiedzianym jednak zyskiem⁹.

Powróćmy jeszcze na chwilę do tej relacji, która oddaje także ówczesny sposób życia tubylczej ludności północnego Kazachstanu, z zaznaczeniem okoliczności, jakie już wtedy tam zachodziły wskutek rosyjskiej kolonizacji Syberii Zachodniej. Owo napomknienie, że jeden z miejscowych ludów przeprawiał się za Irtysz na jarmarki, jest potwierdzeniem istnienia wówczas kazachskich osad w północnym rejonie tego kraju, czyli takiego właśnie ich zasięgu istniejącego przed rosyjską ekspansją na te obszary. Z wszystkim, co napisał K. Lubicz Chojeczki należy się zgodzić, a ogólnikowość nie wyklucza prawdziwości informacji o ludności tubylczej spotkanej na szlakach, którymi wędrował.

⁸ Ibidem, s.74.

⁹ Ibidem, s. 84-85.

Są one prawdziwe i choć świat przez niego przedstawiony wydaje się skrótowy, nie brak w nim jednak blasku autentycznego obrazu życia ludności tubylczej, niebawiałych losów autora oraz innych konfederatów zmuszonych do służby wojskowej na Syberii.

Już w kraju ojczystym

Czytając ten niewielki pamiętnik nie można pozbyć się myśli, jak bardzo doskwierała jego autorowi zesłańcza niewola. Rzecz to rozumiała, przy tak różnych doświadczeniach doznawanych daleko poza ziemią ojczystą. Różnorodny i złożony obraz zdarzeń jawi się na kartach tych wspomnień. Czyta się je z zainteresowaniem co sprawia, że są one pożytecznym przyczynkiem do naszej wiedzy o początkach związków polsko-syberyjskich. Wiele różnych postaci pojawia się na kartach tych wspomnień włączonych w bieg autorskich losów z kontekstem społecznym i kulturowym.

Wspomnienia kończy opis ucieczki z „pułku bachmuckiego do Polski”, pełnej niesamowitych okoliczności, wiodącej przez dzikie ukraińskie stepy, ukrywanie się w nadbrzeżnych sitowjach Dniepru i zakończonych przeprawą przez tę rzekę w sąsiedztwie rozlokowanych wojsk rosyjskich. Dodajmy tu zarazem dla podkreślenia niezwykłości tej śmiałej ucieczki i jej pamiętnikarskiego opisu, że zdaniem wybitnego historyka literatury, Mieczysława Klimowicza w ucieczce tej było coś z atmosfery *Ogniem i mieczem* Henryka Sienkiewicza.¹⁰

Życie związane z sybirską żołnierką, zrodziło w autorze postanowienie ucieczki z niewoli. Rzecz można, że mimo wielkiego ryzyka stanowiła ona cel i stałe dążenie do jego urealnienia. A gdy to nastąpiło Karol Lubicz Chojecki napisał w pamiętniku, że stanął szczęśliwie w polskich granicach, kiedy się już kończył rok 1776 i wówczas:

Z pociechy dostąpienia żądanego skutku,
O ośmioletnim w Moskwie zapomniałem smutku.¹¹

¹⁰ M. Klimowicz, *Oświecenie*, Warszawa 1973, s. 459.

¹¹ K. Lubicz Chojecki, *Pamięć dzieł polskich...*, op. cit., s. 122.

ANNA MILEWSKA-MŁYNIK

SEWERYN GROSS W SEMIPAŁATYŃSKU

Określenie dokonań Seweryna Grossa w dziedzinie badania kultury Kazachów¹ nie jest łatwe, gdyż prawie wszystko, co można powiedzieć o jego dorobku opiera się na przypuszczeniach. Pod własnym nazwiskiem opublikował jedynie artykuł *Z dziejów rodziny*², w którym odnosił się do ustaleń ówczesnych wybitnych znawców ludów pierwotnych na temat rozwoju tej instytucji. Natomiast ważną, przypisywaną mu książkę (*Materiały do badania obyczajów prawnych Kirgizów*) firmował Piotr Makowiecki i nadal trwają spory, kto był jej rzeczywistym autorem.

Hipotezy badaczy, że to właśnie Gross nadał ostateczny kształt opracowaniu i brał udział w gromadzeniu danych źródłowych oparte zostały na kilku przesłankach. Mają o tym świadczyć jego predyspozycje do prowadzenia działalności naukowej, prawnicze wykształcenie oraz znajomość zagadnienia, którą nabył w kancelarii sędziego powiatowego, gdzie zajmował się m. in. sprawami rozstrzyganymi przez kazachskich bijów³. Z relacji kilku współczesnych mu osób wiadomo także, że z ramienia Semipałatyńskiego Komitetu Statystycznego zbierał materiały o prawie zwyczajowym. To jednak za mało, aby wyciągać ostateczne wnioski na temat autorstwa książki. Tym bardziej, że wraz z Grosse w badaniach uczestniczyły co najmniej trzy osoby i w zasadzie każda z nich, z racji wykształcenia i własnych zainteresowań, mogła podjąć się opracowania i uogólnienia zgromadzonych materiałów. Byli to Rosjanie Aleksander Blek i Aleksander Leontjew oraz Polacy Jan Witort i Seweryn Gross. Wpływ na treść dzieła miał też prawdopodobnie kazachski reformator Abaj Kunanbajew.

Materiałów nigdy w Polsce nie opublikowano, choć doczekała się ona aż trzech wydań. Być może, jakieś znaczenie ma tu fakt, że Grossa jako badacza w Polsce nie znano. Zawsze pozostawał on w cieniu cenionego u nas etnografa Jana Witorta, także zesłańca, który przebywał z nim w Semipałatyńsku i też brał udział w badaniach tamtejszego Komitetu Statystycznego. Jego pracę *Ze stepów Azji Środkowej* uznano w kraju za bardzo dobrą i opartą po raz pierwszy na materiałach źródłowych. Witort opublikował ją w „Ludzie” w 1899 r., a więc jakiś czas po ukazaniu się *Materiałów do zbadania obyczajów prawnych Kirgizów*, ogłoszonych drukiem po raz pierwszy w Omsku w 1886 r. Gross zmarł

¹ W XIX w. Kazachów nazywano Kirgizami.

² S. Gross, *Z dziejów rodziny*, „Głos” 1888, nr 27-32.

³ *Baj, bej, bij* – bogaty przedstawiciel arystokracji kazachskiej; forma *bij* oznaczała również sędziów, stróżów porządku moralnego, wymierzających sprawiedliwość na podstawie prawa zwyczajowego.

w roku 1896, dlatego nie mógł wyjaśnić, jaka była faktycznie geneza artykułu Witorta.

W samym tylko XIX wieku ukazało się około siedemdziesięciu prac poświęconych różnym aspektom prawa zwyczajowego. Znaczna ilość prac dotyczących tego zagadnienia nie powinna dziwić, gdyż określenie obowiązujących wśród Kazachów norm było trudnym zadaniem dla wychowanych w innej kulturze badaczy, tym bardziej, że zgromadzony materiał wymagał ciągłej weryfikacji. Współistniały tam nakazy i zakazy prawa zwyczajowego, noszącego w krajach muzułmańskich nazwę *adatu*, niektóre zasady *szariatu*, dotyczące przede wszystkim religijnych przykazań i rosyjski kodeks karny. Normy *adatu* włączały wiele dawnych obyczajów związanych z feudalnym ustrojem społecznym, takich jak *barymta*, *kałym*, wielożeństwo, porwanie narzeczonej, a także współczesną lokalną praktykę kazachskich sędziów oraz *ereże*, czyli postanowienia przyjęte na międzyplemiennych zjazdach *bijów*. Dlatego nie można ich było rozpatrywać statycznie jako trwałego systemu. Zainteresowanych odsyłam do mojej książki, gdzie szczegółowo omawiam ten problem⁴.

Zajmijmy się natomiast sprawą, co spowodowało, że Gross, będąc w Semipałatyńsku zajął się pracą badawczą i stał się nawet znawcą lokalnego prawa, mimo, że wcześniej nie zajmował się tą problematyką. Myślę, że w dużej części wiąże się to z miejscem, do którego go zesłano, a przede wszystkim z jego pracą w Komitecie Statystycznym. Do pewnego stopnia pełnił on funkcję placówki badawczej.

Semipałatyńsk położony jest w północno-wschodnim Kazachstanie, w strefie lasostepu, gdzie panuje surowy, kontynentalny klimat. Należy on do najstarszych miejscowości na tym obszarze, gdyż uzyskał prawa miejskie w 1782 r. Z racji takiego usytuowania stał się ważnym ośrodkiem tranzytowego handlu między Azją Środkową i Rosją. Od lat dwudziestych XIX wieku osiedlali się tu kupcy, przybyli zza południowej granicy. Oprócz kupców, coraz większą rolę odgrywali rzemieślnicy i drobni wytwórcy. Początkowo zakładali garbarnie i młyny, później – wytwórnie łoju i mydła. Odrębną grupę tworzyli urzędnicy zatrudnieni w obwodowych i powiatowych instytucjach.

Swoje relacje o Semipałatyńsku pozostawili zesłańcy i podróżnicy. Poza romantykiem Adolfem Januszkiewiczem, który w liście do brata Januarego przedstawił barwny obraz miasta, reszta pozostawiła jego mało przychylne opisy. W ciemnych barwach opisał miasto George Kennan konstatując iż: „Semipałatyńsk zasłużył sobie w zupełności na przydomek »Diabelskiej piaseczniczki«, którą obdarzyli go tameczni oficerowie. Miasto to istotnie razi cudzoziemca swoją ponurą fizjonomią: nie zoczy on tu nigdzie jednego drzewa, ni źdźbła trawy, a tylko rzędy posępnych, wpół zbutwiałych domów. [...] Meczety tatarskie z ciemnymi minaretami, mułłowie długobrodzi z białymi na głowie turbanami, dwugarbne wielbłądy, kroczące poważnie po ulicach, wszystko to nadaje temu miastu charakter czysto mahometański”⁵.

⁴ A. Milewska-Młynik, *Seweryn Gross wśród badaczy kazachskiego prawa zwyczajowego*, Warszawa 2012. Z książki tej pochodzą także zdjęcia zamieszczone w artykule.

⁵ G. Kennan, *Syberia*, Lwów 1891, s. 74.

Z kolei Jan Witort, wspominając w *Autobiografii* początki swojego pobytu w Semipałatyńsku, napisał: „Nowe warunki życia, nowe wrażenia, nowy kraj! Stepy średnioazjatyckie, których nigdy nie widziałem: Kirgizi, namioty, minarety, przeciągłe krzyki muezinów, głoszących chwałę Allacha! Wszystko to wprawiło mnie w jakiś stan odurzenia, z którego dopiero wyszedłem po kilku dniach”⁶.

Poza nielicznymi osobami, takimi jak Adolf Januszkiewicz czy Jan Witort, których wyobraźnię frapowała egzotyka, przybysze z Zachodu nie dostrzegali walorów miasta. Zapewne dla większości z nich głównym atutem Semipałatyńska było wszystko to, co wiązało się z wkraczającą w jego granice cywilizacją, gdyż dzięki temu mogli odnaleźć w Azji namiastkę swojej własnej kultury. Wcześniej nie było tu ani instytucji o charakterze kulturalnym, ani ludzi, którzy odczuwali potrzebę ich istnienia. Baron Nikołaj Wrangel, przebywający w Semipałatyńsku w latach 1854-1858 pisał: „W mieście była prawosławna cerkiew, siedem meczetów, wielki dom handlowy, koszary, szpital, urzędy... O księgarniach nie ma co mówić, bo nie było komu czytać”⁷.



Widok starego Semipałatyńska.

Rolę edukacyjną odgrywała pierwsza miejscowa gazeta „Semipałatyńskie obwodowe wiadomości”, założona w 1871 r. Zawierała ona materiały z historii, etnografii i statystyki obwodu. Szczególną rolę dla jego rozwoju położyli dwaj sekretarze Komitetu Statystycznego Jewgienij Michaelis i Miko-

⁶ J. Witort, *Autobiografia*, opracowali A. Kuczyński, Z. Wójcik, „Lud” 1997, t. 81, s. 241.

⁷ N. E. Wrangel, *Wspominanija o F. M. Dostojewskim w Sibiri*, St. Petersburg 1912, s. 20.

łaj Konszin. Z pismem współpracowali też nieliczni Kazachowie, jak np. etnograf-samouk Musa Czarmanow, uważany za znawcę miejscowej kultury.

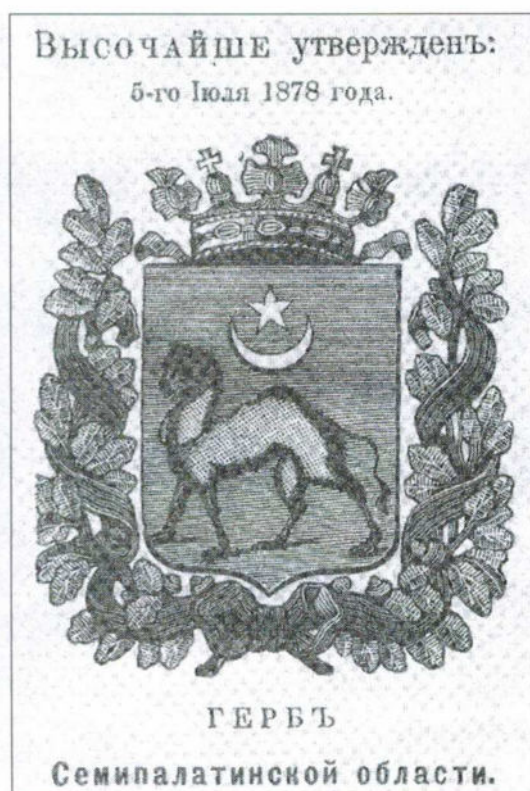
W 1873 r. założono w Semipałatyńsku telegraf, zaś w 1883 r., z inicjatywy zesłańców, zorganizowano bibliotekę publiczną i muzeum krajoznawcze. Warto dodać, że zalicza się je do najstarszych placówek tego typu w Kazachstanie, a dla rozwoju kulturalnego miasta miały one kapitalne znaczenie. Aleksander Blek w artykule *Biblioteka i muzeum w Semipałatyńsku* napisał: „teatru u nas nie ma, jeśli nie uznać za specyficzne przedstawienia zwyczajnej błazenady rozlicznych przyjezdnych „artystów”, którzy nawet wśród naszej niewybrednej publiczności wzbudzali oburzenie bezceremonialną profanacją sztuki”. Ową pustkę w dziedzinie kulturalnych przedsięwzięć wypełniały nowo utworzone instytucje.

W księgozbiorze była literatura popularna, specjalistyczna, czasopisma, a także sprawozdania i protokoły rozmaitych towarzystw naukowych i komisji oraz eksponaty muzealne. W placówce tej znajdowało się 8000-9000 obiektów, zaś około 30 przedmiotów w dziedzinie kazachskiej sztuki użytkowej przekazał do jej zbiorów Abaj Kunanbajew. Według Wila Galijewa w latach osiemdziesiątych XIX wieku z zasobów biblioteki korzystali ludzie o różnej pozycji społecznej, wojskowi, nauczyciele, prawnicy, a przede wszystkim zesłańcy polityczni. „I chociaż bibliotekę oficjalnie zamykano o godzinie dziewiątej, nierzadko przesiadywali w niej do północy. Jedni poszukiwali w gazetach wieści ze świata, inni zajmowali się tłumaczeniem obcojęzycznych tekstów, jeszcze inni pracowali nad materiałami dotyczącymi kazachskiego prawa zwyczajowego”⁸. Z księgozbioru korzystali także Kazachowie. Za najwybitniejszego ich przedstawiciela należy uznać Abaję Kunanbajewa, który odwiedzał tę placówkę, przebywając w Semipałatyńsku w celach służbowych. Właśnie tutaj nawiązał przyjacielskie stosunki z zesłańcami politycznymi.

Kolejną ważną instytucją, która umożliwiła osobom represjonowanym pracę nad poznaniem miejscowej kultury był Komitet Statystyczny. Historia badań statystycznych w Rosji sięga lat 30. XIX wieku, kiedy to, w 1834 r., w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych utworzono odrębny wydział, który miał gromadzić dokładne i szczegółowe informacje o stanie wszelkich spraw podlegających tej instytucji. Obwodowy Komitet Statystyczny w Semipałatyńsku, uznawany za pierwszą tego typu instytucję zajmującą się badaniem kultury i bytu miejscowej ludności, został zorganizowany w 1878 r. Na jego czele stanął gubernator wojskowy, generał Wasilij Ciekliński. Faktycznym organizatorem i kreatorem, który wpłynął na kształt instytucji, był jednak zesłaniec Jewgienij Pietrowicz Michaelis (1841-1913). W Semipałatyńsku Michaelis zajął się badaniem lodowców w Altaju i odbył dwie wyprawy w okolice szczytu Mus-Tau. W latach 1879 i 1880 popłynął do ujścia Czarnego Irtysza, by określić możliwości wprowadzenia na tej rzece żeglugi parowej. Na polecenie lokalnych władz, razem z Władimirem A. Obruczewem, badał pochodzenie semipałatyńskich piasków i doszedł do wniosku, że mają one charakter aluwialny. Opracował nawet metodę walki z uciążliwymi dla miasta zaspami piachu, która polegała na obsadzeniu drzewami obszaru między korytem Irtysza i zabu-

⁸ W. Galijew, *Biblioteki ssylnych rewolucjonierow w gorodach Prirtiszja*, [w:] *Pamjatniki istorii i kultury Kazachstana*, Ama-Ata 1985, s. 21-27.

dowaniami miejskimi. Zajmował się ponadto hydrografią obwodu semipałatyńskiego oraz geomorfologią gór Altaju. Przyczynił się on też do poznania kultury Kazachów. Często odwiedzał ich *auly*, uczestniczył w zjazdach *bijów* i starszyzny, pośredniczył w sporach skłóconych stronnictw. Z jego inicjatywy i przy wydatniej współpracy w 1881 r. został wydany zbiór praw *Stieпноje połoženije o Kirgizach*⁹. Warto dodać, że za jego kadencji dołączył do grona współpracowników Komitetu Statystycznego Abaj Kunanbajew, którego zarekomendował właśnie Michaelis.



Herb Semipałatyńska.

Warto jeszcze zwrócić uwagę, że z naszego punktu widzenia szczególnie ważne w działalności Komitetu było inicjowanie badań krajoznawczych z dziedziny geografii, historii, ekonomii i etnografii¹⁰. Od 1879 r. Komitet wydawał regularnie „Przegląd Semipałatyńskiego Obwodu”. Publikowano w nim różnorodne wiadomości, począwszy od informacji o lokalnych władzach administracyjnych, po liczbę popełnianych przestępstw i aresztantów osadzonych w więzieniach. W piśmie podawano też wskaźniki dotyczące rozwoju gospodarki rolnej, przemysłu, górnictwa, handlu, oświaty, ochrony zdrowia oraz dane dotyczące migracji ludności, podatków i innych powinności obywateli.

⁹ E. Masanow, *Oczerk istorii etnograficzeskogo izuczenija kazachskogo naroda w ZSRR*, Alma-Ata 1966, s. 250.

¹⁰ L. M. Auezowa, *Istoriczeskije osnovy epopei „Put’ Abaja”*, Alma-Ata 1869, s. 299.

W latach 1897-1902, 1904, 1906 i późniejszych Komitet wydawał periodyk „Księgi Pamiątkowe”, który zawierał:

1) materiały sprawozdawcze (wiadomości o działalności administracji, przedsięwzięciach przemysłowych, handlowych, o pocztach, telegrafach, aptekach, szkołach itp.) oraz dane statystyczne dotyczące miejscowej ludności;

2) adresy-kalendarze z wykazami gubernialnych i powiatowych instytucji oraz zatrudnionych tam osób;

3) artykuły naukowo-krajoznawcze.

Poza periodykami Komitet miał na swoim koncie kilka książek. W XIX wieku ukazały się dwa tomy: *Materiały dla izuczenija juridiczeskich obyczajew kirgizow* (1886) oraz *Zbornik stat'ej po Semipałatinskoj oblasti* [Zbiór artykułów o obwodzie semipałatyńskim], na który składały się publikacje literackiego oddziału „Książ pamiątkowych” z lat 1897-1899.

Choć w XX wieku wydano także inne prace o tematyce krajoznawczej, w historiografii odnotowano jedynie książkę firmowaną przez Piotra Makowieckiego, uważając ją za największe osiągnięcie w dorobku publicystycznym Semipałatyńskiego Komitetu Statystycznego.

Życiorys Seweryna Grossa

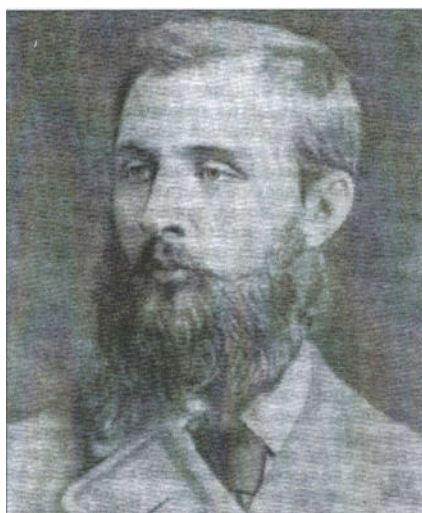
Seweryn Gross urodził się 19 października 1852 r. w Żemelanach i był najstarszym spośród siedmiorga dzieci Seweryna i Domiceli z Bieńkowskich. Studiował prawo na uniwersytecie petersburskim i w tym czasie wstąpił do Gminy Socjalistów Polskich. W 1873 r. otrzymał posadę podsekretarza w petersburskim sądzie okręgowym. Około 1878 r., po wydaleniu z izby sędziowskiej Anatolija Koni, obrońcy Wiery Zasulicz, przeszedł do Ministerstwa Komunikacji.

Wkrótce wrócił w rodzinne strony i podjął pracę jako agent Warszawskiego Towarzystwa Asekuracyjnego. Był wówczas jednym z czołowych działaczy Gminy Socjalistów Polskich w Wilnie. W czerwcu 1880 r. reprezentował ją na zjeździe przedstawicieli gmin w Warszawie, a w lipcu, wraz z adwokatem Leonem Szostakowskim – na Kijowszczyźnie. Później wyjechał do Genewy, gdzie w redakcji czasopisma „Równość” spotkał się z Waryńskim i Mendelsonem. Na przełomie grudnia 1880 i stycznia 1881 r. powrócił do Warszawy i uczestniczył tam w zebraniu przedstawicieli gmin warszawskiej, wileńskiej i petersburskiej.

Aresztowano go 31 marca 1881 r. i przewieziono do Wilna, gdzie został osadzony w Cytadeli. Postawiono mu zarzuty, że kierował gminą wileńską, uczestniczył w zjeździe członków organizacji i w nielegalnych zebraniach, przekazał darowiznę pieniężną gminie warszawskiej i udał się za granicę w celu zaproszenia redaktorów „Równości” na kolejny zjazd socjalistów.

Po kilkumiesięcznym śledztwie Gross został skazany w trybie administracyjnym na 5 lat zesłania do Syberii Zachodniej. Stosunkowo łagodny wyrok wynikał z faktu, że obciążały go wyłącznie zeznania Aleksandra Rodziewicza, ten zaś przeszedł już wówczas na służbę do wywiadu, a zgodnie z prawem rosyjskim, zeznanie takiej osoby uważano za nieudowodnione, jeśli nie potwierdziłyby go wyjaśnienia oskarżonych, albo zeznania innych świadków. Karę odbywał w Iszymiu i Semipałatyńsku.

W styczniu 1887 r. wraz z Witortem opuścił Semipałatyńsk, a 13 lutego dotarł do Wilna. Jak dalej potoczyły się jego losy, wiemy tylko w ogólnym zarysie. Wkrótce po powrocie z zesłania zajmował się działalnością publicystyczną, drukując artykuły w warszawskim „Głosie”. O tym, gdzie przebywał można dedukować z zapisków autorstwa jego żony Anny i biogramu opublikowanego w V tomie słownika *Działacze ruchu rewolucyjnego w Rosji*. Podano tam, że od 1887 do 1889 r. przebywała ona w majątku męża w powiecie telszewskim. Chodziło więc o Żemelany i w latach 1889, 1895, 1900 miała odwiedzać Grossa, który przebywał w Austrii.



Seweryn Gross. Zdjęcie wykonane na zesłaniu.

W wspomnianym V tomie słownika, w poświęconym mu biogramie napisano, że zapadł na chorobę psychiczną i, co nie było prawdą, zmarł w sanatorium w Galicji. Może więc już w 1889 r. przebywał w jakimś zakładzie leczniczym. Informację o jego chorobie potwierdził Witort w *Autobiografii*, podał jednak inne miejsce zgonu. W liście do profesora Adama Fischera z dnia 8 czerwca 1896 r. dodał post scriptum:

Przepraszam, bo adresów nie wiem: proszę w moim imieniu kartką korespondencyjną zawiadomić Bolesława Wysłoucha, redaktora „Przyjaciela Ludu” o zgonie Seweryna Grossa, zaszłym 27 kwietnia w Rydze w szpitalu obłąkanych.

Wiadomość ta znajduje uwierzytelnienie w zapisie ryskiej księgi metrykalnej zmarłych osób rzymsko-katolickiego wyznania¹¹. W wykazie z 1896 r. pod pozycją 152 podano informację o dacie i przyczynie jego zgonu oraz o miejscu, gdzie został pochowany. Według tego dokumentu Seweryn Gross zmarł 15 kwietnia (według kalendarza rosyjskiego) z powodu rozmiękczenia mózgu. Pochowano go 18 kwietnia w Rydze na rzymsko-katolickim cmentarzu św. Michała.

¹¹ Latvijas Valsts Vēstures Arhīvs (Państwowe Archiwum Historyczne Łotwy): Latvijas Romas Katoļu Draudžu Metriku Grāmatas, fonds 632, apraksts 2, lieta: 1-M (1896).

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Józef Pysz – W szponach NKWD

Od półtora miesiąca w mojej rodzinnej miejscowości przebywała Armia Radziecka.¹ Dnia 16 marca 1945 r., w dwa lub trzy dni po aresztowaniu Ojca przez NKWD, przyszli po mnie, miałem wówczas 16 lat. Choć rozpoczynała się wiosna, dzień był ponury i chłodny. Najpierw wzdłuż torów kolejowych, a następnie przez centrum wsi prowadził mnie żołdat z karabinem wymierzonym w moje plecy. Liczyłem wtedy piętnaście lat i, jak na ten wiek, byłem niski i szczupły. Mój konwojent ponaglał mnie szturchańcami bagnetem w plecy, pokrzykując przy tym głośno: idi, idi... i dołączając wulgarnie wiązanki. Dla przeciętnego przechodnia musiało to wyglądać groteskowo. Osobiście odnosiłem wrażenie nierealności sytuacji; nie brałem jej serio, a już absolutnie nie byłem w stanie wyobrazić sobie jej dalszego rozwoju.

Ulokowano mnie w piwnicy jednorodzinnego domku w centrum wsi, w tymczasowej siedzibie posterunku NKWD. Był to dom nr 842 leżący mniej więcej w połowie drogi między kościołem a trasą E-7. Mój starszy brat został tu

¹ Aresztowany w dniu 16 marca 1945 roku. Poprzez więzienia w Bielsku-Białej, Nowym Sączu i Sanoku wywieziony zostaje do łagru 5a w Bajdajewce, gorod Stalińsk (obecnie Nowokuźnieck), obłast kuźnieckaja. Pracuje przy budowie kolei oraz w sowchozach. Powrót do kraju 22 sierpnia 1945 r.

doprowadzony po paru godzinach. Rozpoczęły się trzy doby trwające przesłuchiwanie. W pamięci pozostały mi tylko te nocne. Siedziałem za biurkiem naprzeciw przesłuchującego mnie NKWD-zisty. Zachowywał się spokojnie, nie krzyczał, nie podnosił głosu. Spisywał moje zeznania, stawiając coraz to nowe pytania i obrzucając mnie przenikliwym wzrokiem. Ten wzrok i leżący na stole atrybut najwyższej władzy – pistolet, wyprowadzały mnie całkowicie z zachwianej już i tak równowagi psychicznej. Przecież niewiele miałem do powiedzenia. W głowie – pustka. Rzeczywistość pomieszała się z koszmarnym, wręcz upiornym snem. Nie wiem, czego ode mnie chciano. Nie wiem, co zeznawałem, a tym bardziej, co podpisywałem. Skoro przesłuchujący mnie funkcjonariusz Smierszu bardzo słabo znał język polski, zaś ja w ogóle nie znałem języka rosyjskiego, to treści naszej rozmowy można się było tylko z trudnością domyślać. A już zupełnie nie mogłem wiedzieć, co zawierał protokół sporządzony odręcznie w języku rosyjskim, w zupełnie nie znanym mi alfabecie. Było mi to wówczas zupełnie obojętne. Trzy noce procesu śledczego całkowicie wystarczyły do pełnego fizycznego i psychicznego otumanienia i do utraty odruchów samozachowawczych.

Nie pamiętam, czy przez te dni czymkolwiek nas karmiono. Nie zapomnę nigdy dostarczonego przez rodzinę kawałka chleba, smarowanego tłuszczem spod pieczeni i obłożonego jej plastrem. Papierem, choć nieco przetłuszczonym, w parę tygodni później uszczęśliwiałem współwięźniów. Służył do wyrobu skrętów. Natomiast przekazany przez rodzinę niewielkich rozmiarów koc okazał się dla mnie wartością bezcenną.

W dniu moich imienin przewieziono nas do aresztu śledczego w Bielsku przy ul. Słowackiego. Pamiętam żelazną bramę wjazdową, zlokalizowaną w miejscu obecnej przewiązki Liceum nr IV. Już nocą wprowadzono nas do celi nr 13, która jak się później okazało, pełniła dotąd funkcję kaplicy więziennej. Zatłoczenie pomieszczenia było duże. Znaleźliśmy legowisko pod samymi drzwiami wejściowymi – oczywiście na podłodze. W spaniu przeszkodzili nam najpierw dwaj strażnicy, którzy w poszukiwaniu butów z wysokimi cholewkami, obmacywali dokładnie podudzia każdego nowo przybyłego. Około północy gwałtownie otworzyły się drzwi i brutalnymi kopniakami w dolną część ciała zerwano nas ze snu. Okazało się, że byliśmy potrzebni do czyszczenia klozetów, kopiasto zafajdanych przez załogę więzienia. Były tam fajansowe muszle. Spluczki nie działały. Jedyнным narzędziem jakie otrzymałem do pracy był pręt metalowy, ciężki na tyle, by przebić nim dziurę w muszli. Ta forma „przepchania” widocznie odpowiadała użytkownikom tego przybytku. Z tytułu zniszczenia nikt nie wyciągał konsekwencji, chociaż żywiłem tego rodzaju obawy.

Przy dziennym świetle cela okazała się sporym pomieszczeniem, przegrodzonym w połowie balaskami do komunikowania. W części lewej od drzwi wejściowych pozostały ślady po ołtarzu, którego elementy miałem później okazję zobaczyć na śmietniku podwórka więziennego. Po prawej stronie obok drzwi stało otwarte, typowe naczynie więzienne do oddawania kału i moczu. Żadnych innych przedmiotów sala nie posiadała. Jedyнным legowiskiem była twarda podłoga. Nie zdawałem sobie sprawy, że ta forma odpoczynku będzie mi towarzyszyła niemal całe półrocze, a jej następstwem będą stałe podbiegnięcia krwawe i sińce w okolicy kości biodrowych, łokci i w innych częściach ciała.

W sali było wielu dorosłych mężczyzn, chyba już dłużej tutaj przebywających. Nie krępowali się. Z równą swobodą spożywali posiłek drewnianą łyżką

ze starych, nie doczyszczonych, aluminiowych misek, jak i załatwiali na „kiblu” swoje potrzeby. Sądzę, że tylko stan absolutnej frustracji uchronił mnie od utrwalenia sobie w pamięci fizycznej atmosfery panującej w pomieszczeniu ze szczelnie zamkniętymi oknami.



Zdjęcie autora wykonane w punkcie PUR w Iławie po powrocie ze Związku Sowieckiego w 1945 r.

Byłem wstydliwym, wiejskim dzieckiem, bez najmniejszego doświadczenia życiowego, tymczasem los w sposób nagły i brutalny zmusił mnie do wykonywania rzeczy, nie mieszczących mi się dotąd w głowie. Miałem korzystać z „kibla” na oczach wszystkich mieszkańców celi. Wprawdzie można było wstrzymać się przez dzień, dwa, jednak w końcu potrzeby fizjologiczne okazywały się silniejsze. Trzeba było również pełny kubek wynosić. W tym względzie wobec nas wyrostków nie stosowano żadnej taryfy ulgowej.

Z wszawicą nie spotkałem się dotąd niemal w ogóle. Aż tu nagle – mocne uderzenie! Dwudziestoparoletni młodzieniec usiadł na wysokim parapecie okratowanego okna z podkurczonymi nogami i pracowicie wyszukiwał w ściągniętym z siebie wełnianym swetrze ruchliwych istotek. Na tle otworu okiennego

utrzymała mi się w pamięci pochylona sylwetka jego ciała oraz pracowite kciuki, przy pomocy których przeprowadzał raz po raz egzekucje, rozgniatając insekty między paznokciami. Nie sądziłem jeszcze wtedy, że już w niewiele dni później wszy obleżą również mnie i od tej pory towarzyszyć mi będą nieprzerwanie aż do powrotu do domu.

Już po kilku dniach zorganizowano dalszy transport więźniów. Podróż trwała od rana do wieczora. Załadunek odbywał się w tempie przyspieszonym, w dezorientującej więźniów atmosferze grózb i krzyków, wywołanej jak dziś sądzę celowo przez konwojentów. Taki sposób zachowania się wobec więźniów stosowany był zawsze w sytuacjach „przepędzania” większych grup więźniów, a jego celem było wywołanie uczucia strachu przed jakimkolwiek odruchem oporu. Gapiostwo było karane natychmiast szturchańcem kolbą w bok lub plecy. Szczególnie szybko trzeba było wskakiwać do ciężarowego wozu nakrytego plandeką. Tu rozlokowano nas w ciekawym układzie. Sadzano więźniów w rzędach, w rzędach, tyłem do szoferki. Każdy następny siadał ciasno pomiędzy nogami poprzedniego i pozostawał w tej pozycji około dziesięciu godzin.

Z tyłu samochodu siedział konwojent, który nie pozwalał nikomu na wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Ten stopień zastosowanego ograniczenia ruchów wynikał niewątpliwie z obawy przed jakimś zbiorowym wystąpieniem więźniów.

Nikt nas nie karmił ani nie poił. Nie uznawano żadnych potrzeb fizjologicznych, ani nie pozwalano na żadne rozmowy. W takich „skrzyniach śledzi” cała kolumna „Studebackerów” ruszyła drogą na Kraków. Do dnia dzisiejszego intensywna praca silnika tego typu samochodu i jego pojękujący dźwięk przy pokonywaniu wzniesień przypominają mi tamtą podróż. Jechaliśmy drogą górską przed siebie. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że przejeżdżam w odległości około pięciuset metrów od rodzinnego domu. Owładnęła mną chęć, by wyrzucić z samochodu jakiś przedmiot, który naprowadziłby rodzinę na nasz ślad. Niestety, w tych warunkach było to zupełnie niemożliwe. Każdy ruch, każda próba zmiany pozycji wywoływały u konwojenta brutalną reakcję. Minęliśmy potok Czerwonkę, z którym wiązałem tyle osobistych wspomnień, minęliśmy pagórek na „pańskim” polu, na którym jeszcze przed dwoma tygodniami wyciągaliśmy ze strąconego samolotu radzieckiego lotnika. Powtórnie żegnałem się z domem rodzinnym. Dopiero po powrocie dowiedziałem się, że więzienie w Bielsku było końcem tropu, jakiego zdołała się doszukać moja rodzina.

Droga okazała się ogromnie uciążliwa, przede wszystkim ze względu na brak możliwości wykonywania jakiegokolwiek ruchu, jak również boleśnie odczuwane, na twardych deskach pojazdu, nierówności terenu. Głód i pragnienie tłumili nieco dolegliwości fizyczne.

W drodze tej miałem również okazję zetknąć się po raz pierwszy z brutalnym traktowaniem więźniów. W moim polu widzenia, na krótkim postoju, przed maską następnego wozu rozegrała się „twarda scena”. Dwóch żołnierzy okładało kolbami leżącego więźnia. Rzekomo podjął próbę ucieczki.

Nieświadomi celu naszej podróży wjechaliśmy w mury następnego więzienia. Był już ciemny wieczór. I znowu hałaśliwe komendy i wyskakiwanie

z samochodów „na tempo”. Pierwsze zetknięcie z ziemią było bardzo bolesne. Ustawiono nas szybko w dwuszereg i odprowadzono do gmachu więziennego. Przypuszczam, że nie tylko nasza grupa była pechowa. Chyba całe więzienie było, zwłaszcza na wiosnę, zalewane wodą z płynącego w bliskim sąsiedztwie Dunajca. Wprowadzono nas w ciemności do pomieszczenia piwnicznego. Weszliśmy prosto w chlupiącą wodę. Było tłoczno i chłodno. Każdy szukał oparcia o ścianę. Nie dla wszystkich starczyło. Gdzieś w kącie znalazła się wiązka słomy. Mocniejsi stoczyli o nią krótki bój. Osobiście byłem bez szans. Ogromnie dokuczał mi głód. Zmęczony jazdą, przemarznięty, „przespałem” tę noc na stojąco, po kostki w wodzie.

Skoro świt wypędzono nas na apel. Wstało słońce, zapowiadał się piękny i pogodny dzień. Okazało się wtedy, że znajdujemy się w więzieniu w Nowym Sączu. Po ustawieniu w szeregach zaczęto wywoływać więźniów według nazwisk. Spośród wywołanych tworzono kolumnę. Stałem ramię w ramię z bratem. Z napięciem oczekiwaliśmy, czy padnie nasze nazwisko. Padło – jako jedno z ostatnich. Brat poderwał się, rzucając we mnie kocem, naszym wspólnym okryciem. Zupełnie zagubiłem się w sytuacji. On zachował refleks. Przewidział możliwość rozdzielenia nas i kierowany troską o zdrowie młodszego o półtora roku brata postanowił zrezygnować z koca na moją rzecz. A przecież to on potrzebował szczególnej opieki zdrowotnej². Dla mnie, żyjącego, nowosądeckie rozstanie pozostało na całe życie dużej miary problemem moralnym. Wtedy stałem oniemiały, czekając jeszcze, czy usłyszę moje nazwisko. Niestety, wrzaskliwe rozkazy uruchomiły kolumnę, a my porażeni nie pozwoliliśmy sobie na żaden gest pożegnania.

Pozostałych więźniów rozdzielono do cel. W trzynastu trafiliśmy do pomieszczenia wąskiego na dwa metry. Po ułożeniu się na podłodze, ciało obok ciała, pozostawała od drzwi wolna powierzchnia długości około osiemdziesięciu centymetrów. Tam w kącie stał „kibel”, jedyny przedmiot w celi. Okazało się, że tym razem dobrano nas według wieku. Nie było w tej grupie chłopca powyżej siedemnastu lat, a tylko jeden był młodszy ode mnie. Poruszaliśmy się jak pszczoły w ulu lub też podpieraliśmy ściany. Podobnie jak we wszystkich innych więzieniach nie pozwolono kłaść się w ciągu dnia, nie praktykowano spacerów na powietrzu, a zakratowane okna były najczęściej nie otwierane.

Najbardziej dolegliwe było uczucie głodu, które potęgując się z czasem towarzyszyło nam już przez cały czas pobytu w Związku Radzieckim. Był to stan nie tylko uczucia braku sytości, lecz wręcz zwierzęcego głodu. Tymczasem przeciętne racje dzienne stanowiły: półtorakilogramowy bochenek czarnego chleba na ośmiu ludzi, około pół litra różnego stopnia gęstości zupy z buraków ćwikłowych, niedogotowanej twardej soi, rzadziej z kaszy jaglanej. Czarny jak

² Mój brat będąc dzieckiem przechodził ciężką postać choroby reumatycznej, która zrujnowała mu zastawki i mięsień sercowy. W takim stanie zdrowia więziono go przez cztery lata w łągrach. Pracował na Kaukazie, w kopalni rudy o niskim pokładzie na kolanach, w wodzie. Powrócił z powolnym zapaleniem wsierdza, które w tym czasie nieuchronnie musiało doprowadzić do zgonu. Niewątpliwą przyczyną śmierci mego Brata był Jego czteroletni pobyt w łągrze. Zmarł w 1955 r. w wieku 27 lat, ukończywszy przedtem studia na Politechnice Gliwickiej. Swoje tajemnice z pobytu w łągrach zabrał do grobu, nie podzieliwszy się nimi nawet ze mną.

smoła chleb, kleisty i niedopieczony wywoływał w żołądku kwasotę spalającą wnętrzności. Uzupełnieniem była przegotowana woda, tzw. „kipiatok”. Dość częsty jej niedostatek tłumił uczucie głodu mocniejszym uczuciem pragnienia.

Nie pamiętam kiedy „dorobiłem się” drewnianej łyżki i blaszanej puszki po konserwie, do której przyczepiony był drut służący za uchwyt. Tego rodzaju menażki były w powszechnym użyciu. Nigdy nie zmywane, wobec braku wody, służyły do kolejnych posiłków, czasem dla kilku użytkowników.

Istniejąca sytuacja powodowała, że wszystkie niemal rozmowy koncentrowały się wokół jednego tematu – jedzenia. Każdy i wciąż wspominał znane mu smakołyki, rozbudzając wyobraźnię i wywołujące u wszystkich dalsze spotkanie uczucia głodu. Najczęściej denerwował innych Chwastek, który w żaden sposób nie mógł wykreślić z pamięci smaku chałwy, opiewając go barwnie całymi dniami. Tylko u mnie nie wywoływał wycieku śliny, nie miałem bowiem dotąd szczęścia poznać tego smaku. Wówczas to przyczepiła się do nas banalna, a nawet głupia piosenka, którą powtarzaliśmy do znudzenia lub do granic cierpliwości strażnika więziennego:

Był sobie raz Felek, co chodził bez szelek,
Szesnaście butelek w kieszeni miał.
Pijany jak bela powraca z wesela,
Prowadzi go Hela do domu spać.

Do świadomości powoli docierały jednak fakty, gryzące serce jak mole sukno. Niewiadoma co do losów ojca, którego aresztowano przede mną, rozłąka z bratem, nieznana przyszłość własna. Pozostałem sam wśród zupełnie obcych mi ludzi. Tymczasem życie stawało się coraz twardsze. Do głosu zaczęło dochodzić prawo mocniejszego. Nie było stawki ulgowej. W regulaminie więziennym nie przewidziano przywilejów dla dzieci. Nie można ich też było oczekiwać od współwięźniów, żyjących poniżej minimum egzystencji.

Po ośmiu dniach „odpoczynku” rozparcelowano naszą grupę do różnych cel. Przechodząc z parteru na drugie piętro miałem okazję z okna klatki schodowej rzucić okiem na piękne otoczenie przyrody. Tuż za murami więziennymi płynął wolno, dość szeroko rozlany Dunajec. Serce zabiło na widok budzącej się do życia przyrody.

Trafiłem do dużej celi z trzydziestoma więźniami. Byli to głównie AK-owcy z Podhala. Chłopstwo tęgie i krzepkie. W mej pamięci z tej celi zachowała się jedynie ogromna ciasnota i zaduch. Wieczorem, po raz pierwszy w Nowym Sączu, gdzieś w podziemiach więzienia zaintonowano „Boże coś Polskę”. Gwar tłumu gwałtownie ucichł. Ale już w następnej minucie zadrżały mury więzienne, a podjęta pieśń wybuchła z całą siłą setek głosów, niosąc Miastu informację o tożsamości więźniów, przyprawiając równocześnie wartowników o irytację i zwierzęcy strach. Biegali po korytarzach, bili kolbami do drzwi żądając ciszy, ale nie odważyli się ich otworzyć. Do świadomości dotarła złudna myśl, że role się odmiały, że to więźniowie przejęli teraz władzę nad więzieniem.

A pieśń brzmiała jak modlitwa, pełna wzruszeń, nadziei, rozbudzała poczucie jedności ze współwięźniami. Przebijająca z niej ogromna siła, jako protest przeciwko dotychczasowym upodleniom, poniżaniu godności ludzkiej i niehumanitarnemu traktowaniu. Pozwoliła na krótko uwolnić się od ogromnego stresu, krępującego jak stalowa obręcz w sposób ciągły i nieprzerwany życie

psychiczne więźniów. Przyniosła na krótko pełne rozluźnienie i niepamięć wsteczną.

Po „Boże coś Polskę” nastąpiła „Rota”. I nie było takiej siły, która mogłaby te pieśni wepchnąć z powrotem więźniom do gardeł.

W nocy praktycznie w ogóle nie spałem. Ułożeni pokotem nie mieściliśmy się na podłodze. Najpierw tak mnie ściśnięto, że trudno było złapać powietrze. W końcu lżejszy niemal dwukrotnie od sąsiadów znalazłem się na ich ciachach. Zamknięte okna, wyziewy, chrapanie nie pozwalały zasnąć.

Następnego dnia załadowano nas w sposób poprzednio opisany w Studebackery trzeciego przewieziono do trzeciego z rzędu więzienia – w Sanoku. I tutaj panował wielki tłok. Zabrakło cel. Ulokowano nas w byłym magazynie. Znalazły się półki. Były jednometrowej szerokości. Spałem na wysokości ponad trzech metrów. Odpowiadało mi to wdrapywanie się w górę, mimo że było wygnaniem najsłabszego przez najmocniejszych na najgorsze miejsce.

Tutaj po raz pierwszy zaczęły przybierać na sile różnego rodzaju domysły, odnoszące się do naszego przyszłego losu. Dla nas młodych rokowano zakłady reedukacyjno-rusyfikacyjne, dla pozostałych obozy pracy.

Tymczasem powszechnie już panowała wszawica. Po raz pierwszy przeprowadzono dezynsekcję. Obnażono nas wszystkich dokładnie. Szybko rozeszła się plotka o rzekomym kierowaniu nas do krematorium. Skończyło się na „uwolnieniu” więźniów li tylko od zbędnych przedmiotów – wszy niestety pozostały. Z tym faktem łączy się pewna zabawna historia. Dwa dni wcześniej pewien pan profesor gimnazjalny z Bielska, upomniał się u komendanta więzienia o swój zegarek, odebrany mu przez strażnika w czasie transportu z Nowego Sącza. Na wieczornym apelu panu profesorowi zegarek zwrócono z przeprosinami, podając równocześnie do wiadomości wielkość udzielonej strażnikowi kary. Teraz w trybie usankcjonowanym przez władze więzienne pan profesor pozbył się zegarka, bez możliwości skorzystania z instancji odwoławczej.

W trakcie dezynsekcji odzieży w kotłach, dobierali się do nas fryzjerzy, oskubując z włosów zarówno głowę jak i pozostałą część ciała. Za fryzjerem siedział więzień z kubłem płynu odkażającego, cuchnącego karboliną, z pędzlem w ręce. Każdy podchodził, pochylał ogoloną głowę, a zaraz potem wypinał do przodu łono. Tamten kolejno pędzlował czaszkę, a następnie tym samym pędzlem przyrodzenie, dalej głowę następnego więźnia itd. Obrzydliwa ciecz zalewała twarz.

Te, i kilka następnych występów w „bani” przeżyłem z dużą przykrością. Byłem w długiej kolejce obnażonych ciał jedynym, nie posiadającym jeszcze żadnych znamion męskości. Nie tylko na twarzy nie miałem śladów zarostu, ale i wszystko pozostałe było dziecinne. Tymczasem, w takiej grupie mężczyzn często zdarzali się nieobliczalni brutale. Dla podtrzymania swego „fasonu” potraktowali mnie jak dogodny przedmiot żartów i dowcipów. Wprawiało mnie to w ogromne zakłopotanie i rozbudzało bolesne wręcz uczucie wstydu.

Pewnego dnia po więzieniu rozeszła się wieść o mających nastąpić badaniach lekarskich. Snuto przypuszczenia, że nastąpi odsiew ludzi chorych i niezdolnych do pracy. Rozbudzona nadzieja powrotu do domu oraz przykład

starszych spowodowały, że zjadłem „na surowo” trzy papierosy. Miały rzekomo wywołać temperaturę ciała. Już nie pamiętam jakim kosztem je zdobyłem. I faktycznie – jeszcze w tym samym dniu poczułem się podle: wystąpiły wymioty, temperatura i silny ból głowy. Dwa ostatnie objawy utrzymywały się jeszcze w dniu następnym, to jest w dniu badania. Badająca mnie pani doktor nie była jednak uprzejma zdyskwalifikować mnie z powodu takiego „drobiazgu”.

Nie pamiętam kiedy, ale najpewniej właśnie w więzieniu w Sanoku „dorobiłem się” ściąganiem sznurkiem woreczka na plecy, w którym przechowywałem swoje „skarby”: puszkę blaszaną, łyżkę drewnianą, różaniec, książeczkę do modlitwy o wymiarach 5x4x2 cm, zdobytą za papier na skręty. Ponadto w rejestrze mego stanu posiadania znajdowały się: skarpetki, buty, długie trykotowe kalesonki (Och! jakżeż lubiane przez wszy!), spodnie, sweter, płaszczyk i koc. Byłem do tych rzeczy bardzo przywiązany, co wynikało nie tylko z szacunku do własności, zakorzenionego systemem wychowania, ale również z sytuacji w jakiej się znalazłem. Każdy z tych przedmiotów był na wagę złota. Nosiło się je stale przy sobie, zdarzały się bowiem przypadki kradzieży, przede wszystkim zaś nigdy człowiek nie był pewny, że odchodząc wróci na to samo miejsce. Wszystko działo się bowiem na rozkaz, na tempo i bez uprzedzania więźniów o jakichkolwiek zamiarach. Szczególnie dotkliwe było to później już w obozie pracy, bowiem niezależnie od pogody, przy robocie, na przykład na roli, nosiło się ten cały dobytek na plecach z jednego końca zagonu na drugi NKWD obawie, by odłożony na miedzy nie zaginął. Oczywiście do spania kładło się w tym samym stroju, w którym wykonywało się najbrudniejsze prace. Nieco później zdarzało mi się zdejmować na noc obuwie, które służyło wtedy za poduszkę pod głowę, a jednocześnie w ten sposób było zabezpieczone przed kradzieżą.

W ciągu blisko pół roku stworzono nam trzykrotnie możliwość kąpieli i tylko wtedy zdejmowało się z siebie ubranie. Nie było również mowy o jakiegokolwiek toalecie porannej, czy wieczornej z uwagi na bardzo słaby dostęp do wody.

Wróćmy jednak do Sanoka. W nocy z 8 na 9 kwietnia ustawiono nas w piątkach w kolumny i przemaszerowaliśmy przez miasto do dworca kolejowego. Tu załadowano nas do stojących na boczniczy wagonów towarowych, których typowe otwory okienne, umieszczone tuż pod dachem, okratowane były drutem kolczastym. Do naszego wagonu wpędzono przeszło siedemdziesięciu mężczyzn. Każdy po omacku szukał wygodnego do przenocowania miejsca, lecz dopiero rano okazało się jak na tym wyszedł. Osobiście przenocowałem w kucki pod drzwiami. W ich dolnym rogu wycięty był otwór kwadratowy o boku około dwudziestu centymetrów, w który wmontowana była skośna drewniana rynna. Też nocy ktoś rynnę połamał – nie wykluczone, że ja. Jak się okazało było to urządzenie do defekacji. Czekano, co zrobi pierwszy potrzebujący? Wreszcie się znalazł. Można mu było serdecznie współczuć, kiedy nie mogąc dłużej wytrzymać, narznął kupę do własnej aluminiowej miski, poświęcając tym samym dla dobra ogółu nieosiągalne naczynie. W czym później spożywał posiłki? Nie pamiętam.

Wagon wyposażony był w prycze z żerdzi. Oczywiście tylko co sprawniejsi znaleźli tam miejsce dla siebie. Sam ułożyłem się na podłodze pod oknem

w miejscu bardzo chłodnym i stąd przez wszystkich pogardzanym. Byłem chyba jednak jedynym, który miał się czym nakryć. Obok mnie ułożył się dwudziestoczteroletni pan Olma z Hałcnowa, z którym odtąd miałem przyjemność przeprzejemność przebywać częściej i który okazywał mi życzliwość i wsparcie moralne. Tym razem przebywaliśmy wspólnie przez cały miesiąc, tyle bowiem trwała jazda pociągiem na wschód.

W czasie podróży obowiązywały dwa posiłki dziennie. Pierwszy złożony z poprzednio opisanej porcji chleba i kipiatołu, drugi, gotowany, z soją, w której niektórzy szczęśliwcy natrafiali na ślady baraniny. W transporcie wieziono jakąś „padlinę”, bowiem do wagonów nawet znacznie oddalonych od kuchni, zwłaszcza w dalszej części podróży, dolatywał swoisty smród. „Zakluczonyj” zjadł wszystko – nie grymasił. Ilość zupy na osobę wynosiła około pół litra, jednakże często była ona niestrawna z uwagi na niedostateczne dogotowanie soi. Można było na niej połamać zęby. Menu było niezmiennie, ustalone na cały miesiąc.

Sądzę, że z winy konwoju, cierpieliśmy na niedostatek wody. Zwykle wtedy krzyczeliśmy głośno i to czasami skutkowało. Pamiętam dzień, kiedy nasze wołania nie przynosiły rezultatu. Byłem okrutnie spragniony. Na najbliższym postoju zacząłem szaleńczo kopać nogami do drzwi i ryczeć. Miałem szczęście. Drzwi otwarto, a po wyjaśnieniu przyczyn mego zachowania, darowano mi mój wybryk i nawet dostarczono wody.

Przed każdym posiłkiem konwojenci zabierali kilku więźniów z wagonu do noszenia potraw. Na postojach trzeba było również uzupełnić zapasy wody w wagonie kuchni. Wybierano zwykle na ochotnika. Zgłaszałem się zawsze i parę razy wychodziłem. Stwarzało to szansę na wyżebranie u kucharza kawałka cuchnącej kości, oczywiście precyzyjnie oczyszczonej z mięsa. Niestety, mimo rozpaczliwych próśb, przez cały miesiąc udało mi się ją zdobyć tylko jeden raz. Kuchnię obsługiwali Czesi. Byli spasieni i czynili wrażenie bardzo nieżyczliwych.

Ze wspomnianych „wycieczek” wynikał jeszcze jeden pożytek. Istniejąca sytuacja rujnowała zwłaszcza nałogowych palaczy. Znałem takich, którzy za niewiadomego pochodzenia resztki tytoni oddawali swój nędzny przydział chleba. Otóż idąc po posiłek można było po drodze znaleźć peta, a przy większym szczęściu kilka niedopałków. Był to oczywiście doskonały towar do wymiany na chleb. Podobnie zresztą jak i papier z dostarczanych nam z domu kanapek. Z niedopałków trzeba było zrobić skręta. Do tego potrzebny był papier. Nie przeszkadzało wcale nikomu, że był potłuszczony, bo i tak był na wagę złota. Handlowałem zresztą rzadziej za chleb, częściej za życzliwość. Stale czułem potrzebę zdobywania sobie przychylności współwięźniów. Działania moje w tym względzie były najczęściej mało skuteczne. Funkcjonowały bowiem w tych warunkach tylko prawa prymitywne: Dać komuś, znaczyło uszczuplić sobie, odebrać – zwiększyć szansę przetrwania.

Handel wymienny zaczął przekraczać granice wagonu. Każdy wóz miał swojego opiekuna – konwojenta. Mieli oni za zadanie stawać kilka metrów przed otwartymi drzwiami z wymierzonym do więźniów pistoletem maszynowym, towarzyszyć po zamknięciu wagonu grupie roznoszącej posiłki, a w ogóle odpowiadać za niedopuszczenie do ewentualnych ucieczek więźniów. Wykonując swoje zadania bardzo często, dniem czy nocą w czasie ruchu pociągu, przebiegali po dachach wagonów. Nie wiem jak do tego doszło i kiedy zaczęto z konwojentami handlować poprzez umieszczone w dachu wywietrzniki.

Przedmiotem wymiany ze strony więźniów były zwykle części garderoby, ze strony strażników – machorka. Był to handel na dobrą wiarę. Obaj wymieniający nawzajem się nie tylko nie znali, ale nawet się nie widzieli.

W tej sytuacji, przy towarzyszących temu procederowi trudnościach językowych mogło dochodzić do drobnych „nieporozumień”. Jedno z nich skończyło się boleśnie dla pewnego kolejarza ze Lwowa. Będąc nałogowym palaczem i znając język rosyjski prowadził szczególnie szeroko zakrojony handel wymienny. Na jednym z postojów wpadło do wagonu kilku żołdatów. W sposób gwałtowny i brutalny przeprowadzili dochodzenie i wymierzili mu karę. Otrzymał sporo ciosów pięścią w twarz i sporo kopniaków. Było to bardzo przykre widowisko, zwłaszcza że zademonstrowane w tak doraźnym trybie.

Różnie kształtował się stosunek do nas mieszkańców terenów, przez które przejeżdżaliśmy. Kiedyś na Ukrainie ustawiły się naprzeciw wagonu wyrostki, obrzucając nas kamieniami oraz obelżywymi wyrazami. Krańcowo różna była postawa ludności za Uralem: życzliwa, pełna współczucia i zrozumienia dla naszej niedoli. Pamiętam, kiedy młodszy ode mnie malec ukradkiem za plecami konwojenta wepchnął mi w kieszeń pajdę białego chleba, a w drugą sporą porcję machorki. Zrobili to zresztą bardzo dowcipnie. Drugi chłopak podszedł w tym czasie do towarzyszącego nam konwojenta ze skrzętem i długo usiłował przypalić, zagadując go przy tym dla odwrócenia uwagi³. Palenie papierosów przez dzieci dziesięcio-, dwunastoletnie było tam zjawiskiem powszechnym i nie wzbudzającym dezaprobaty ze strony dorosłych.

Nasza trasa wiodła z Sanoka przez Lwów, Kijów, Charków, Woroneż, Saratów, Kujbyszew, Ufę i Czelabińsk na Ural i dalej magistralą transsyberyjską. Łącznie trasa wynosiła podobno ponad sześć tysięcy kilometrów. Przez cały czas miejsce docelowe utrzymywano w pełnej tajemnicy, stąd niemal codziennie więźniowie snuli różne i zmienne domysły: A to, że nad Morze Czarne, a to że odbudować Stalingrad, a to znowu, że na „białe niedźwiedzie”. Za dnia przejeżdżaliśmy przez Kijów i Charków. Oba miasta leżały w gruzach. Pozostały z nich niemal wyłącznie kikuty kominów i resztki murów ze ślepymi otworami okiennymi. Wszystko było wypalone.

Przez rzekę Wołgę przed miastem Kujbyszew przejeżdżaliśmy nocą. Właśnie tej nocy szczególnie mocno zmarzłem. Siedziałem pod ścianą skulony w kucki i opatulony kocem. Pamiętam bardzo długi most i chłód ciągnący od wody, drażący do szpiku kości. Marzyłem o... pierzynie w domu. Nostalgia za domem rodzinnym stanowiła jedną z największych dolegliwości przez cały czas pobytu w Związku Radzieckim. Teraz jechałem w nieznaną, oddalając się o tysiące kilometrów od domu. Jak mogłem marzyć, że kiedykolwiek wrócę?

³ Byli to niewątpliwie przedstawiciele ogromnie licznej grupy dzieci tzw. „bezprizornyje”, tzn. sierot, bądź też dzieci aktualnych więźniów łagrów, które nie znalazły miejsca w nielicznych domach dziecka, Dzieci te lokowały się najczęściej na dworcach kolejowych, szukając tam możliwości wyżebrania kawałka chleba. Z czasem, w tym procesie, dopuszczały się mniejszych lub większych wykroczeń, a nawet przestępstw. Liczba bezprizornych siegała kilkaset tysięcy, nawet do miliona, zaś ich przestępcze zachowanie stało się groźne dla sowieckiego państwa i porządku publicznego do tego stopnia, że dla opanowania sytuacji w 1935 r. Stalin spowodował obniżenie wieku stosowania kary śmierci do 12 lat. Czyn miłosierdzia, jaki ci chłopcy podjęli wobec mnie więźnia, świadczy szczególnie wysoko o ich dobrym sercu.

Zapamiętałem przejazd przez Ural. Pociąg jechał przez wyrąbany w skałę wykop. Z jednej i z drugiej strony wagonu wznosiły się niemal stromo w górę ściany skalne, których końca przez wąskie okienko nie było można dostrzec.

Jedynym w życiu widowiskiem zaobserwowałem na jeden dzień przed ukończeniem podróży. Było to siódmego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Pociąg zatrzymano na rozległej równinie, pokrytej zieleniejącą już trawą. Gdzieś tam widniały jeszcze ślady śniegu. Dość szczelnie obstawiono teren, a następnie wszystkich więźniów wypuszczono z wagonów. Byliśmy już głęboko w Azji, nie obawiano się więc prób ucieczki. Nikt więźniów nie popędzał. Masowo wybiegali z wagonów na kilkanaście metrów i padali „na czworaki”, wchłaniając w siebie łączywie zapach ziemi i trawy. Nie przeszkadzała im wilgoć łąki i nadal niska temperatura otoczenia. Cały miesiąc bez jakiegokolwiek kontaktu z przyrodą żywą wywoływał u wszystkich jednakowy odruch: potrzebę maksymalnego zbliżenia się do zieleni trawy, chęć jakby fizycznego z nią kontaktu i wchłaniania jej zapachów możliwie wszystkimi zmysłami. Przypominało to scenę wypędzenia ogromnego stada bydła na pierwszy po zimie wypas.

Dopiero teraz potwierdziła się krążąca już od wielu dni informacja, że w przedniej części transportu więzione są kobiety. Skład pociągu okazał się bardzo długi. Wagon-kuchnia rozdzielał go na 2 części. W przednich dziesięciu wagonach, znajdowały się właśnie kobiety, dziesięć dalszych wagonów zajmowali mężczyźni.

Na miejsce przeznaczenia dotarliśmy w dniu następnym. Okazał się nim łagier nr 5a w Bajdajewce, gorod Stalińsk, obłast kuźnieckaja. Otoczony szczelnie drutem kolczastym, posiadał dwa baraki. Umieszczono w nim siedmiuset mężczyzn. Sprawiał wrażenie obiektu zaniedbanego, nie wykorzystywanego od szeregu miesięcy lub lat. Nieporządek panował zarówno w barakach, jak i na zewnątrz. Cały teren obozu był ogromnie zabłocony. Zalegał na nim śnieg i lód w dużych rozmiarów hałdach. Pierwszą noc spędziliśmy na zewnątrz, na śniegu, głównie zaś w ruchu, chroniąc się przed zamrażaniem. Plac oświetlony był reflektorami z naroznych budek wartowniczych. Każde zbliżenie do drutów groziło, jak uprzedzono, zastrzeżeniem. Była to bardzo ciężka noc. Wśród więźniów rozszła się wieść o tym, że do baraków wpuszczają się będzie wyłącznie więźniów wykąpanych, po dokonanej dezynsekcji. Tego rodzaju zabiegi zawsze groziły utratą stanu posiadania. W obawie przed takimi następstwami zakopałem w oznaczonym miejscu w ziemi najcenniejsze skarby, to jest miniaturową książeczkę do nabożeństwa i różaniec.

W obozie uruchomiono ekipy porządkujące baraki i ich otoczenie. Od rana zaczęto wyprowadzać więźniów na wieś do „bani”. Na mnie trafiła kolej w godzinach popołudniowych. Wyszliśmy z konwojentem w grupie dwudziestu osób. Łaźnia oddalona była o około dwa kilometry od obozu. Była to typowa syberyjska „bania”: palenisko z wielkimi kamieniami, które po rozgrzaniu zalewano wodą. Gorąca para wypełniała izdebkę o małym okienku. W następnym pomieszczeniu przygotowane były drewniane cebrzyki z zimną wodą. Po mroźnej i nieprzespanej nocy maksymalne rozgrzanie organizmu w parze o temperaturze ponad sto stopni, podziałało znakomicie. Do tego wszystkiego konwojent pozwolił nam w drodze do łaźni narwać gałązek brzoźowych, którymi teraz objaliśmy się nawzajem. Zastąpiło to niedostatek mydła. Wszystkimi porami

ciała wydzielaliśmy z siebie pot i dopiero splukiwanie się zimną wodą przywracało pełnię komfortu. W każdym razie czuliśmy się jak nowo narodzeni.

Z łaźni trafiliśmy prosto do baraku. Ciągnęły się w nim obustronnie drewniane prycze, na których wreszcie zdobyłem pół metra powierzchni do spania. Oczywiście nie było mowy o słomie, czy innego rodzaju podściółce.

Powoli rozpoczynało się normalne życie obozowe. Wczesna pobudka, kolejka do „kipiatoku” i po kromkę chleba, wymarsz do pracy na trzynaście godzin dziennie, z jednogodzinną przerwą obiadową. Na obiad była kasza jaglana w różnie stężonej zawieszynie. Wieczorem długotrwałe apele ze staniem na baczność i doliczaniem się obecnych. Och! Jakże kiepsko umieli liczyć nasi opiekunowie!

Instytucją samą w sobie była latryna. Dół kloaczny otwarty o rozmiarach osiem na półtora metra, pokryty był dachem o szerokości około czterech metrów, i częściowo bocznymi ściankami. Pomiędzy słupkami, podtrzymującymi pośrodku dach, rozpięte były żerdzie do siadania. Sam dół zajmował tylko jedną stronę poddasza. Poza żerdzią nie było żadnego oparcia temperaturze żadnej osłony. Dziwne, że przez ten czas nikt do dołu nie wleciał. Przecież siadali tam ludzie bardzo wycieńczeni i mało sprawni. Przed latryną zawsze czułem respekt, a korzystanie z niej było dla mnie i niebezpieczne, i krępujące. Tam właśnie można było u wszystkich dojrzeć skutki spania na twardych deskach – rozległe sińce, stałe podbiegnięcia krwawe w okolicy grzebienia talerza biodrowego pierwszych ramion.

Kilka pierwszych dni w łagrze spędziliśmy bez pracy. Kończyły się kąpiele wstępne, trwające trzy doby. Był czas na zaznajomienie się z więźniami. Zdecydowana większość z nich posługiwała się językiem polskim. Sporo było Ukraińców, trochę Czechów, dwóch Francuzów (podobno prosto z niemieckiego obozu koncentracyjnego), dwóch Rumunów i jeden Włoch. Temu ostatniemu bardzo współczułem. Liczył około dwudziestu lat i nie znając języków obcych w żaden sposób nie potrafił nawiązać jakiegokolwiek kontaktu z pozostałymi współwięźniami. Pod względem społecznym był szczelnie izolowany od pozostałych. Przebywał stale zupełnie sam, przesiadując po kątach lub włócząc się samotnie po obozie. Spośród Polaków przebywali tu najliczniej byli żołnierze Armii Krajowej.

W dniu 10 maja zorganizowano w obozie apel z udziałem całej komendantury, w czasie którego komendant osobiście obwieścił nam zakończenie II wojny światowej. Określił wreszcie nasz status. Po raz pierwszy dowiedziałem się, że jestem internowany, że czas mego powrotu do domu zależy wyłącznie ode mnie, od mojej dobrej i wydajnej pracy.

Na trzeci dzień wypędzono nas do budowy kolei żelaznej. Front pracy znajdował się w bliskim sąsiedztwie łagru. Jako normę dla pary mężczyzn przewidziano wykopanie ośmiu metrów sześciennych ziemi na dobę i przeniesienie jej na nosiłkach na nasyp kolejowy. Nosiłki były tam używane powszechnie w miejsce taczek. Zamiast kółka z przodu miały analogiczne jak z tyłu uchwyty do rąk. Ziemię nosiło się we dwóch, korzystając przy tym z pasów, zakładanych na barki. Była to praca mordercza, zwłaszcza, że od pół

metra w głąb panowała wieczna zmarzlina. Niewykonanie normy groziło znacznym uszczupleniem racji żywnościowej.

Efekty tego rodzaju nieludzkiej eksploatacji ujawniły się bardzo szybko. Mały szpitalik obozowy, obsługiwany przez felczera, zaczął się napełniać chorymi. U coraz liczniejszej grupy więźniów zaczęły się pojawiać puchliny głodowe. Występują one przy niedoborze białka, zwłaszcza pewnych jego gatunków. Patologia ta była okrutna i z reguły doprowadzała do rychłej śmierci. Najszybciej zapadały na puchlinę głodową osoby starsze, lecz z czasem średni wiek cierpiących systematycznie się obniżał. Puchlina dotyczyła głównie dolnych partii ciała, które rozrastały się do monstrualnych rozmiarów. Kończyny dolne osiągały grubość słupów telegraficznych. Tak zdeformowane sylwetki ludzkie, podpierające ściany baraku, lub wlokące za sobą ołowiane kończyny obserwowałem nieco później stale w okolicy szpitalika. Drugim z rzędu niebezpiecznym schorzeniem była biegunka. Wszyscy unikali kontaktu z osobami na nią cierpiącymi.

Na jednym z apeli porannych wybrano dwudziestu dwóch ochotników do pracy poza obozem. Byłem jednym z tych, którzy się zgłosili. Natychmiast wyruszyliśmy pieszo do odległego o kilkanaście kilometrów sowchozu. Na miejscu otrzymaliśmy do dyspozycji drewniany szałas po owcach, nieco dla nas przystosowany. Na wysokości pół metra nad ziemią posiadał pryczę, zbitą z żerdzi. Naprzeciw drzwi od strony wschodniej umieszczone było małe okienko. W tym szałasie spędzaliśmy nocę, podczas gdy nasz dozorca przebywał obok, w zbitej z desek przybudówce. Nazwaliśmy ją budą dla psa. Oczywiście jak zwykle dla mnie zabrakło miejsca na pryczy. Wraz z panem Olmą zamieszkałem pod pryczą, pół metra od ściany z oknem, równoległe do niej, z głową prawie w kącie szałasu. W kącie tym, jak się wkrótce okazało, panujące powszechnie w sowchozie szczury utorowały sobie wejście do chaty. Przychodziły, żeby zabrać wszystko, cokolwiek z organicznych środków było dostępne. W pierwszych z nimi kontaktach odczuwałem wstręt. Trudno było zasnąć, gdy buszowały wkoło. Po kilku dniach doszedłem do takiego stanu, że nie reagowałem w ogóle, gdy z dziury wyszła stara szczurzyca z gromadką sześciu szczurząt w rzędzie i pomaszerowały krokiem spacerowym wzdłuż muru. Leżałem równoległe do niego właśnie w odległości pół metra. Przyglądałem się im już bez większej emocji, a raczej z zaciekawieniem. Przecież niewielu ludzi miało okazję oglądać taki obrazek z natury.

Ze szczurem miałem pewnego poranka nieprzyjemne zdarzenie. Przebudziłem się o świcie. Patrzyłem na pierwsze promienie słońca wpadające przez okienko do szałasu. Zapowiadał się pogodny dzień. Powoli, leżąc na plecach zapadłem w drzemkę. Nagle poczułem, że coś przebiega mi przez głowę, czoło, nos, brodę na klatkę piersiową. Zerwałem się gwałtownie, podnosząc głowę i ściągając odruchowo rozchylone kolana, nakryte swobodnie kocem. Usłyszałem pisk ściskanego między udami szczura, równocześnie czołem wyrzniętem boleśnie w pryczę. Przez kilka dni chodziłem z guzem na czole i z trudnością zasypiałem w szczurzym towarzystwie.

Pierwszym naszym zajęciem w sowchozie było przebieranie ziemniaków w blisko położonej ziemiance. Zdecydowana ich większość nadawała się do wyrzucenia. Chyba przemarzły i zgniły. Pozostałą częścią trochę dzieliliśmy się z właścicielem. Związywaliśmy dołem nogawice i wpuszczali do każdej parę sztuk. Strażnik przymykał oko na ten proceder, głosząc jakże prawdziwą

w tamtych warunkach zasadę: „Kagda nie padpiżdzisz, tagda padochniesz” (Jak nie ukradniesz, to zdechniesz). Pierwszą noc złożyliśmy ziemniaki do wspólnego zagotowania w dniu następnym, jednak po nocnej uczcie szczurów nie pozostało z nich ani śladu. Odtąd wszystko, co jadalne, wisiało u powały na nitkach. Przez dwa, trzy dni zawiązana spółka zdawała egzamin. Byliśmy w składzie: połowa Polaków i połowa Ukraińców. Kucharzem był Polak ze Skoczowa. Już trzeciej nocy sprawa się „rypła”. Okazało się bowiem, że Ukraińcy skoro świt rozpalali ognisko, piekli swoją porcję ziemniaków i spożywali ją sami. Naszą zjadali oczywiście na śniadanie ze wspólnego kotła.

Wykryta zdrada dała początek wojnie, często bardzo zażartej, z której my, piętnasto- i siedemnastolatki rzadko wychodziliśmy zwycięsko. Przedmiotem sporu było głównie żarcie. Wydaje się, że konflikty te były następstwem nie tylko panującego głodu, lecz wynikały również z poziomu kultury i osobowości reprezentowanych przez Ukraińców. Pewnego dnia kucharz po rozdzieleniu porcji ziemniaków odstawił kocioł z ognia, pozwalając na wyskrobanie pozostałych w nim resztek. Wszyscy łączywie przywarli do garnka. Oczywiście Ukraińcy byli szybsi. Kucharz dostrzegł popełniony błąd i aby dać również nam nieco szansy szarpnął za kocioł, usiłując go im wyrwać. Ruch ten wykonał w kierunku ogniska. Utraciwszy równowagę ze trzech Ukraińców wpadło bosymi stopami w żar. Zachowali się tak, jakby nie czuli ognia i w dalszym ciągu nie przerwali walki. Do dziś utrwaliły mi się w pamięci wybałuszone, okrutne oczy Wasyla, które dostrzegały w tym momencie wyłącznie okruchy ziemniaków.

W tymże sowchozie miałem okazję przeżyć największą w tym półroczu ucztę. Przyjął się zwyczaj, że konwojent nasz wieczorami po pracy pozwalał miejscowej ludności na korzystanie z naszych usług na działkach przyzagrodowych. Udało się kiedyś również i mnie. Wspólnie z panem Olmą trafiliśmy do człowieka, który w czasie I Wojny Światowej przebywał w Polsce i mile ten kraj wspominał. Po pracy przyjęto nas bardzo serdecznie w skromnym mieszkaniu, a za skopanie działki przyzagrodowej otrzymaliśmy pełne talerze gotowanych ziemniaków, okraszonych skwarkami oraz po kubku kwaśnego mleka. Smakowało wybornie.

Niestety możliwości takie szybko się skończyły. Jasio Wieczorek, również z Bielska, liczący szesnaście-siedemnaście lat, pewnego wieczoru wrócił z takiej wycieczki w samej kamizelce, bez marynarki i koszuli. Podobno prehandlował i przejadł. Strażnik zaostrzył rygory. Jasio za karę powędrował na stryszek szałas bez prawa do posiłków. Stryszek nie posiadał drzwi i Jasio, fikając nóżkami, tęsknym i łączywym wzrokiem wodził za spożywanym przez nas żarciem. Dokarmialiśmy go potajemnie nocami. Kara została wprawdzie na trzeci dzień zniesiona, ale Jasio pozostał bez koszuli i tylko w kamizelce.

W poszukiwaniu żywności penetrowaliśmy wszystkie dziury. Kiedyś przypadł mi w udziale obowiązek wymieszania ziarna zboża w magazynie. Na poddaszu zauważyliśmy gniazdo wróbla. Wyłuskałem jajka. Upieczone w ognisku smakowały wyśmienicie.

Konwojent chodził za nami stale z karabinem, niejednokrotnie strasząc jego użyciem. Był jednak chętny do skorzystania z broni w sytuacjach, gdy nadarzała się okazja zdobycia jakiegoś ścierwa. Ale jak dotąd skutecznie omijały nas psy, koty i inne czworonogi. Pewnego dnia kopaliśmy głęboki dół na

cysternę z paliwem. Robota szła opornie z uwagi na zmarzlinę. Konwojent z karabinem w ręce rozłożył się obok i zasnął. Miał za sobą nieprzespaną noc – urzędował w „psiej budzie” z dziewczyną i wiadrem (!) samogonu. Nagle na horyzoncie pojawił się nadlatujący żuraw. Czym prędzej zbudziliśmy naszego opiekuna. Zerwał się na równe nogi, mierząc z karabinu najpierw w nas. Szybko wyjaśniliśmy o co chodzi. Złożył się do żurawia, nacisnął spust... i nic. Zarepetował i stwierdził brak naboji. Walnął karabinem o ziemię i pobiegł po naboje do swojej kryjówki. Niestety niedoszła zdobycz umknęła. Stwierdziliśmy w ten sposób, że stróżowanie nad nami było raczej pozorowane.

Wieczorami wsłuchiwalismy się w przepiękne głosy młodzieży, która o zmroku miała zwyczaj wędrować po szerokich polach z bałałajkami w rękę i pieśnią na ustach.

Smutno było wracać do łagru w Bajdajewce. Po kilku dniach nadarzyła się na szczęście następna okazja. Tym razem umieszczono nas dość daleko od siedzib ludzkich w rejonie innego sowchozu. Teren był nieco pofałdowany. Zamieszkaliśmy w ziemiance położonej na lekkim stoku. Był to wykopany w ziemi głęboki rów, szerokości około pięciu metrów i długości około piętnastu. Całość pokryta była rusztowaniem z żerdzi, warstwą gałęzi i ziemi. Podłoga (udeptana ziemia) wznosiła się od wejścia tarasowato, a co półtora metra był trzydziestocentymetrowy stopień. Środkiem ciągnął się metrowej szerokości chodnik, z obu jego stron były miejsca do spania. Na każdym stopniu mieściły się trzy osoby. Leżało się na gołej ziemi, nogami w kierunku chodnika.

Było nas czterdziestu. Pracowaliśmy głównie w polu. Wymagano od nas wykonania dużych norm. Kiedyś plewiliśmy buraki. Był dzień ciepły i w pełnym „rynsztunku” (płaszcz, koc, worek) pracowało się trudno. Zadanie wykonaliśmy niedbale. Po przejściu przez łąn wzeszłych buraków éwikliowych nie zostało na nim wprawdzie chwastów, ale i buraków trudno było się doszukać. Niestety efekty naszej niewolniczej pracy były bardzo marne. Innym razem sadziliśmy ziemniaki. Łopatą sztychówką wykopywało się rząd dołków, odległych od siebie około czterdziestu centymetrów. Druga osoba wrzucała w nie ziemniaki. Następna kopała drugi rząd dołków zasypując poprzednie z umieszczonymi w nich sadzonkami.

Wieczorem walił się człowiek z nóg i ciężko zasypiał. W nocy jednak budziłem się często z powodu spiekoty całej skóry i rano byłem nadal zmęczony. W czasie jednego z nielicznych krótkich pobytów wypoczynkowych za dnia w ziemiance postanowiłem zbadać rozmiary zawszenia. Ściągnąłem spodnie. Kalesony były gęsto obłożone cielistego koloru, spasionymi i ruchliwymi insektami. Dosłownie wszystko się ruszało. Nie było mowy o możliwości mechanicznego ich usunięcia. Skóra pod kalesonami była żywo czerwona, cała w stanie zapalnym, z licznymi zadrapaniami. Opadły mnie wielkie wątpliwości, czy kiedykolwiek pozbędę się tej okrutnej plagi. Wybiłem, co się dało i z rezygnacją cierpiałem dalej.

Kiedyś wracaliśmy z pracy obok dość głębokiej rzeczki. Ktoś zaproponował kąpiel. Strażnik wyraził zgodę. Kilku odważnych wskoczyło nago do wody. Nagle zgubiłem oddech. Woda była lodowata. Dno rzeki sięgało

wiecznej zmarzliny. Wskoczyłem jak oparzony i więcej takich prób nikt nie podejmował.

W tym czasie konwojenci, kierując się chyba wygodnictwem zaczęli wyręczać się w procesie nadzoru niektórymi, chętnymi do tego więźniami. Spełniali oni funkcję „kapo”, przejmując od strażników szereg obowiązków. Szczególnie dawał się we znaki dwudziestokilkuletni Ukrainiec Kulig. Chcąc się przypodobać strażnikom, krzyczał, biegał, zapędzał do roboty, a niejednokrotnie bił sękatym kijem. Pewnego poranka, urządziwszy jak zwykle krzykliwą pobudkę, biegał chodnikiem ziemianki rozdzielając razy, co oporniejszym we wstawaniu. Ustawiliśmy się w dwuszeregu przed ziemianką. Zabrakło jednego więźnia, około pięćdziesięcioletniego kolejarza z Jastrzębia Śląskiego, który sypiał plecy w plecy ze mną. Był to bardzo spokojny i życzliwy człowiek, który swym zachowaniem nikomu nie wadził i był ponadto bardzo zdyscyplinowany. Rozwścieczony Kulig wbiegł z kijem do ziemianki. Rozległy się razy. Po chwili Ukrainiec wrócił z bardzo niemądrą miną. Kolejarz nie żył. Tak więc przespałem noc przytulony do zwłok. Czuję się niemal współwinny jego śmierci – przespałem czas jego umierania – czas, w którym mogła mu być potrzebna moja pomoc.

Przykry był sposób, w jaki obeszli się konwojenci ze zwłokami. Należało je przewieźć kilkanaście kilometrów do łagru. Zorganizowano jednokonny wóz-platformę, wrzucono na nią zwłoki, a młody strażnik podciął batem konia i ruszył galopem. Głowa zmarłego wystukiwała rytm wybojów na twardej platformie, zaś całe ciało, przesuając się na jej gładkiej powierzchni, groziło rychłym upadkiem na ziemię.

Z tejże ziemiankowej siedziby wyprowadzono nas dwu- lub trzykrotnie na zbieranie poziomek. Szło się pieszo dość daleko, ale droga kończyła się rajem. Bardzo rozległe łąki pokryte były tak gęsto poziomkami, że w całości przybrały barwę czerwoną. Owoce były duże, wielkości maliny. Można było usiąść w miejscu i kręcąc się w koło nabierać litr lub dwa tych owoców. Niebezpiecznie jednak było siadać. Na łąkach gnieździło się sporo żmij; prowadzący nas konwojent zabił na naszych oczach ze dwie sztuki kolbą karabinu.

Jako normę ustalono dziesięciolitrowy kosz poziomek na trzynastogodzinną dniówkę. Była ona do przyjęcia. W pierwszym dniu rzuciliśmy się oczywiście na poziomki z wielkim łakomstwem. Nasz dziesięcioosobowy zespół składał się wyłącznie z nastolatków, dlatego nasz opiekun z karabinem wykazywał sporą dozę wyrozumiałości. Wieczorem wracaliśmy z pełnymi koszami, ale również z bardzo przepełnionymi żołądkami. Kucharz przygotował dla nas spóźniony obiad – ciekawą zupę z kaszy jaglanej. Mimo sytości wszyscy zasiedli do stołu. Tutaj posiadaliśmy ten luksus. Stół oraz ławy, zbite z nieociosanych żerdzi, stały na wolnym powietrzu przed ziemianką. Posiłek przebiegał w tempie jednostajnie zwolnionym. Każda następna łyżka strawy z coraz większym wysiłkiem podnoszona była do ust. Pierwszy nie wytrzymał szesnastoletni Firlej z Łodygowic, który zdążył się zaledwie odwrócić... Jak na komendę wszyscy odskoczyli od stołu, pozbywając się w spazmatycznych odruchach nadmiaru słodkich poziomek.

W tym obozowisku nasze menu uzupełnialiśmy zupą z lebiody (z rodziny komosowatych), rosnącej dziko na łąkach. Widok blaszanego kociołka nad ogniem wywoływał jednak wściekłość u strażników. Potrafili jednym kopnięciem w blaszankę wszystko zaprzepaścić.

Wśród przebywającego tam składu więźniów znajdowała się między innymi grupa Polaków z okolic Dynowa z mocnym jak tur dwudziestoparoletnim p. Wilkiem na czele. „Kapo” Kulig swoim chamskim postępowaniem zalazł wszystkim za skórę. Już nawet konwojenci przestawali go akceptować. Toteż w końcu przeholował. Pewnego dnia na przeciwległym od ziemianki stoku pracowała na roli grupa więźniów pod nadzorem Kuliga. Był jak zwykle ruchliwy i na lewo i prawo rozdzielał obficie razy swoim sękatym kijem. Uderzył i p. Wilka. Ten jednak nie pozostał mu dłużny. Rozgorzała walka na serio. Staliśmy przy ziemiance w odległości około dwustu metrów od miejsca zdarzenia. Scena rozgrywała się przy doskonałej widoczności, jak w teatrze. Widzowie, zarówno z miejsca walki jak i ci od ziemianki, zaczęli gorąco zachęcać p. Wilka. Każdy wykrzykiwał doznane od Kuliga krzywdy rozmiarów żądał określonych rozmiarów zemsty. Okrzyki wywołały przed namiot nawet strażników. Widowisko zafascynowało wszystkich. W pierwszej fazie starcia p. Wilk zainkasował kilka ciosów sękazem. Była to dla niego jednak tylko rozgrzewka. Kierowany zapiekłym uczuciem niespłaconych długów wobec nacjonalistów ukraińskich, nienawiścią do osoby samego Kuliga, jak współwięźniów gorącą zachętą współwięźniów dorwał się do okładającego go kija. Kiedy zdołał uchwycić go oburącz, los walki był przesądzony. Odwróciły się role. Teraz pod potężnymi ciosami p. Wilka „kapo” padł na ziemię. Konwojenci traktowali widowisko nadal spektakularnie. Jednak wściekłość p. Wilka nie znała granic. W dodatku do Wilka dołączyli się również inni więźniowie. W tej sytuacji jedynie strzały w powietrze oddane przez strażnika mogły Ukraińcowi uratować życie. Powędrował do szpitala obozowego i znikł nam z oczu na zawsze. P. Wilk otrzymał karę „stójki”.

Tuż u wejścia do ziemianki wykopany był w ziemi dół o średnicy około sześćdziesięciu centymetrów i głębokości prawie dwóch metrów. Przykrywany był z góry drewnianą pokrywą. W tymże dole umieszczano na noc niesfornych więźniów. Z uwagi na rozmiary w dole można było tylko stać. Taki właśnie los spotkał p. Wilka. Dzięki jednak jego dzielnej postawie nikt już więcej w naszej grupie nie wyrósł na „kapo”.

Nadal żądano od nas wykonywania normy. Z domu wyniosłem nawyk spełniania trudnych obowiązków, a nawet ciężkiej jak na dziecko pracy fizycznej. Toteż i tutaj się nie oszczędzałem, zarówno w nadziei przyspieszonego swego powrotu do domu, jak i w obawie przed represjami. Wszystko to przyczyniło się do tego, że wyrosłem niechcący na „przodownika pracy”. Konwojenci czcili jakieś święto. Z namiotu dochodziły pijackie śpiewy. Staliśmy na wieczornym apelu przed ziemianką. Po spełnieniu wszystkich rutynowych czynności, sprawdzeniu obecności więźniów, dokonaniu oceny naszej pracy za ostatni okres, szef strażników obwołał mnie „stachanowcem”. Podkreślił oczywiście mój młody wiek i dał za przykład starszym. Poczuję się niedobrze. Było mi wstyd przed współwięźniami i oczekiwałem z ich strony, co najmniej niesmacznych uwag i kpin. W dowód uznania dowódca straży poprowadził mnie jednak do namiotu, gdzie obdarowany zostałem konserwą mięsną – horsemeetu w kilogramowej puszcze, nadjedzoną więcej niż w trzech czwartych częściach. Ta niespełna kwatere konserwy, sprawiedliwie podzielona, wystarczyła do naprawy reputacji u współwięźniów.

I znowu nadszedł dzień powrotu do łagru i znowu tylko na kilka dni. Było w nim coraz smutniej. Coraz bardziej powszechny był widok podpierających ściany baraków mężczyzn, cierpiących na puchlinę głodową. Umieralność w łagrze była ogromna. Codziennie wynoszono na „golgotę”, co najmniej jedne zwłoki. Golgotą nazwaliśmy pagórek leżący w sąsiedztwie łagru, na którym więźniowie ustawili 3 drewniane krzyże, z których środkowy dominował wielkością nad pozostałymi. Wokół krzyży urządzono cmentarz. Doskonale widoczny z terenu łagru, stanowił dla więźniów, na co dzień swoiste „memento mori”. Szpitalik posiadał sześcioboczną skrzynię zbitą z nieheblowanych desek, w której wynoszono całkowicie obnażone zwłoki na cmentarz. Oczywiście służyła ona do wielokrotnego użytku. Jak niosła wieść (może nieco przesadzona) z 700 więźniów około jedną trzecią wyniesiono w ciągu pierwszych trzech miesięcy na „golgotę”. Główną przyczyną tak licznych zgonów była puchlina głodowa.

Z ogromną ulgą przyjąłem rozkaz następnego wyjazdu. Tego rodzaju decyzje podawano do wiadomości zwykle na zbiórkach, po czym bezpośrednio wprowadzano je w życie. Nikt się z nikim nie żegnał, nie wracał do baraku, bo nie było po co. Tym razem załadowano trzydziestu młodych ludzi na samochód ciężarowy. Pojechaliśmy oczywiście w nieznaną. Zatrzymaliśmy się dopiero o zmroku. Wpuszczono nas do niewykończonej, drewnianej chałupy, posiadającej wyłącznie ściany z ciosanych pni i dach. Zmęczeni podróżą poukładaliśmy się na ciemno na ziemi. Zasnąłem kamiennym snem. O świcie zbudził mnie potężny ryk z dwudziestu dziewięciu męskich gardeł. Okazało się, że konwojenci zamknęli drzwi chaty na kłódkę i poszli spać do wsi. Tymczasem u więźniów narosły po nocy potrzeby fizjologiczne, a trudno było je zaspokoić w tym zamkniętym pomieszczeniu. Więcej z chęci pomocy bliźnim, niż z własnej potrzeby, wdrapałem się po ścianie pod sam dach i stamtąd z całych sił ryczałem w kierunku wsi. Wreszcie drzwi się otworzyły. Co mocniejszy wypadł z nich pierwszy i parę kroków dalej już siusiał lub kucał. Nie wytrzymał parcia szesnastoletni Firlej – nawalił w gacie.

W następstwie tego wydarzenia miałem możliwość zaobserwowania bardzo oryginalnego widowiska. Po ochłonięciu z pierwszych wrażeń dostrzegliśmy po lewej stronie, kilkadziesiąt kroków dalej, bardzo szeroką rzekę. Wypływała z zielenią pokrytych gór, gdzieś zza meandrów pasma łańcucha górskiego. Była bardzo płytka, jej dno pokryte było kamieniami porośniętymi glonem. Cała była zielona. Płynęła wolno, majestatycznie. Staliśmy oczarowani tym pięknym zjawiskiem przyrody. I wtedy właśnie Firlej obnażył się od pasa w dół, wlaź do wody, obmył pośladki i zaczął płukać zafajdane gacie. W tym jego akcie było coś obrazoburczego, brutalnego, gwałtownie kłójącego się z malowniczością tego zakątka świata. Było to wręcz świętokradztwem, kalamieniem ołtarza boskiej przyrody. Firlej nie zwracał uwagi na otoczenie, tkwił głęboko w szarości naszego życia. Zaczęto żartować, choć dla niego nie był to los do pozazdroszczenia. Ubrał najpierw spodnie, zaś na to naciągnął przepłukane i wyżęte kalesony. Tak odbył dalszą część wędrowki, ciesząc oko współwięźniów gatkami upstrzonymi brunatnej barwy treścią i rozsiewając wokół siebie swoistą woń. Jego postępowanie w tych okolicznościach było jednak bardzo racjonalne. Przede wszystkim uratował ważną część bielizny osobistej przed stratą. Kalesony wyschły i znów były do użytku. Doraźnie nabrał wprawdzie trochę wilgoci w spodnie, ale i tak było mu cieplej, aniżeli bez tej części garderoby.

Dalszą, górzystą już drogę, pokonaliśmy pieszo. Zatrzymaliśmy się we wsi, położonej u granic tajgi. Trwały już ferie letnie, udostępniono nam, więc obiekt pustej już szkoły na mieszkanie. Była to chałupa o jednej dość dużej izbie, oczywiście drewniana. Konwojenci pozwolili narwać w otoczeniu dużo paproci. Rosła w tajdze bardzo obficie i bardzo wysoko. Urządziliśmy wyborne posłanie i po raz pierwszy od kilku miesięcy spaliliśmy wyśmienicie. Nazajutrz urządzono nam wycieczkę w prawdziwą syberyjską tajgę. Pokonaliśmy odcinek około piętnastu kilometrów w ciągu czternastu godzin. Była to droga, którą być może dotąd nie tknęła stopa ludzka. Las o podszyciu gęstym i wysokim do dwóch, trzech metrów. Co parę kroków drogę tarasowały powalone i rozkładające się grube pnie drzew. Szliśmy gęsiego. Prowadził przewodnik, starszy, miejscowy pan, który bez mapy i kompasu zmierzał nieomylnie do celu, torując sobie drogę maczetą. Dopiero późnym wieczorem wyszliśmy na niewielką polankę z gospodarstwem pszczelarskim pośrodku. Stary bartnik żył tu z rodziną zupełnie odcięty od świata. Trudno się nawet domyśleć jakie relacje łączyły go z macierzystym sowchozem. Przypuszczam, że poza prowadzeniem pasieki, żyjąca tu rodzina miała jeszcze inne zajęcia. Zaobserwowaliśmy chłopca, który ściągał skórki z kretów. Czynił to z godną podziwu zręcznością.

Z dużym niepokojem przenocowaliśmy we wskazanej nam szopie, jako że uprzedzono nas o dużym niebezpieczeństwie panujących tu rozlicznych, jadowitych gadów.

Do dnia dzisiejszego nie wiem po co ciągnięto nas w tę tajgę. Już bowiem następnego dnia wróciliśmy do naszej szkoły na paprocie. Wieś położona była w terenie falistym, w kotłince. Z trzech stron otaczała ją tajga. Rosło tu sporo drzew czeremchy. Naszym zadaniem było zbieranie jej owoców, które podobno miały stanowić surowiec do produkcji witaminy C. Normą były dwa dziesięciolitrowe kosze na dniówkę. Dzień roboczy podzielony był na dwie części. Puszczano nas swobodnie w tajgę, a na obiad i po zakończonej pracy zwoływano uderzeniem młotka w wiszącą, metalową szynę. Trzeba było wtedy schodzić do wsi z pełnymi koszami owoców.

Wysoka norma i brak dozoru w miejscu pracy powodowały często barbarzyńskie zachowanie z naszej strony. Zamiast wdrapywać się z koszykiem na drzewo, obłamywało się duże gałęzie i dopiero na ziemi pozbawiało je owoców. Przyspieszało to znacznie zbiory.

Okolica była piękna, pogoda dopisywała, serce gryzła tęsknota za krajem. Siadałem, pamiętam, na gałęzi czeremchy na wysokości pięciu, sześciu metrów, patrzyłem na cudowne otoczenie, a myśl sama uciekała te kilka tysięcy kilometrów na zachód, do bardzo ograniczonego wówczas w mej świadomości kawałka znanego mi świata z okolic Bielska. Byłem na tyle dzieckiem, że marzyłem o cudownym i nagłym przeniesieniu w tamten upragniony świat, lecz równocześnie na tyle dorosłym, by nie dać się tym marzeniom oszukać.

Tak jak wszyscy z ogromną nadzieją oczekiwałem wiadomości z domu. Przecież w obozie podawano nam adres zwrotny i zachęcano do pisania listów. Adres brzmiał: Bajdajewka, łagier 5a, gorod Stalińsk, obłast kuźnieckaja. Wielu z nas napisało po kilka listów, zdobywając byle jaki papier drogą karkołomnych wyczynów i ogromnych wyrzeczeń. Nikt jednak odpowiedzi nie otrzymał. Nieco później zauważyliśmy, że z naszych listów strażnicy zwijają sobie skręty.

Z nazwą miasta Stalińsk miałem później wiele kłopotów. Z autopsji pamiętam je jako rozległą wieś o szerokich traktach polnych (nawet nie bitych) ze znajdującymi się po obu stronach obejściami typowo rosyjskich wiejskich domków, tych z pięknie rzeźbionymi okiennicami. Tylko w sąsiedztwie dworca kolejowego widziało się zakłady przemysłowe. Sam dworzec kolejowy nosił nazwę Kuźnieck. Około 1954 r. w czasopiśmie „Panorama” lub podobnym napotkałem obszerny artykuł o Stalińsku, siedemdziesięcioletnim mieście na Syberii, ze zdjęciami pięknych wieżowców. W latach sześćdziesiątych Stalińsk zniknął w ogóle z mapy Związku Radzieckiego i z map świata, tak, że miałem kłopoty z lokalizacją miejsca mego tam pobytu. Dopiero wydana w 1975 roku monografia „Syberia” wyjaśniła mi sprawę. Otóż miasto to powstało 350 lat temu i nosiło nazwę Kuźnieck. Jeszcze w 1926 roku liczyło zaledwie 3 tysiące mieszkańców. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych zaczęto rozbudowywać tam przemysł, szczególnie metalurgiczny. Po wojnie nabrało ono niepotykane wręcz tempa rozwoju. Z początkiem lat siedemdziesiątych przekroczyło już liczbę pół miliona mieszkańców. Kłopoty z nazwą wynikały stąd, że w 1932 roku przemianowano miasto na Stalińsk, zachowując starą nazwę obłast kuźnieckaja. W 1961 roku wrócono do starej nazwy miasta, dodając przyrostek „nowo”, bo też rzeczywiście miasto urosło już do całkowicie nowego.

Wróćmy jednak do tajgi. Również i tutaj przytrafiła się nam „fucha”. Wspólnie z panem Olmą zezwolono nam na pracę na wsi w godzinach wieczornych. Trafiliśmy do mieszkanki wsi, której mąż nie wrócił dotąd z wojny, zaginąwszy bez wieści. Z dwojgiem dzieci pędziła ta kobieta bardzo nędzny żywot. Mieszkali w chacie drewnianej, zbudowanej na palach. Cała wieś stała zresztą na palach – niewątpliwie w związku z wysokimi opadami śniegu w zimie. Do domu wchodziło się po drewnianych schodach. Do ściany chaty przytulony był chlew. Posiadał on żerdziową konstrukcję, zaś ściany grubości około sześćdziesięciu centymetrów wykonano z obornika ze słomą. Sufit i dach zarazem tworzyły poukładane wszereż żerdzie, obłożone również warstwą obornika. Budowla chroniła skutecznie zwierzęta domowe przed syberyjskimi mrozami. Niestety chlew zaczął się dosłownie chylić ku upadkowi. Nastąpiło znaczne rozwarście pomiędzy ścianą domu mieszkalnego i chlewem na szerokość do osiemdziesięciu centymetrów. Jedynym sposobem na przywrócenie poprzedniego stanu było rozebranie całego chlewa, wyprostowanie konstrukcji drewnianej oraz powtórne ułożenie ścian i dachu.

Zabraliśmy się rażno za robotę. W ciągu dwóch wieczorów walący się obiekt był rozebrany. W nagrodę otrzymaliśmy po pracy po talerzu posolonej zupy z mąki kartoflanej, czyli naszego krochmalu. Czuliśmy się za to ogromnie zobowiązani, zwłaszcza że na posiłek zaproszono nas do jedynej izby. Mój przyjaciel uzupełnił sobie jeszcze to menu podchodzeniem do położonego w sąsiedztwie kurnika sowchoźnianego i spożyciem podebranego z gniazda jaja na surowo.

W oparciu o to, co widziałem w domach miejscowej ludności, mogę stwierdzić, że w tym okresie panował na Syberii głód. Mieszkańcy żyli bardzo nędznie, już nie mieli się czym dzielić. Toteż nigdy nie zapomnę chwil, które świadczyły o wielkiej dobroci serc tych ludzi. Żałuję do dziś, że chlew zdążyliśmy tylko rozebrać i że nie wiem, czy pan Olma zdążył go później odbudować i tym samym nie zawieść biednej Sybiraczki. Moje bowiem losy nabrały gwałtownie nowego biegu.

Pewnego dnia, siedząc na drzewie czeremchy, dostrzegłem dwóch obozowych strażników nadjeżdżających do wsi wozem konnym. Zauważyłem ruch wokół szkoły, a następnie usłyszałem gong oznajmujący zbiórkę. Na obiad było jeszcze nieco za wcześnie, a więc inna ważna sprawa była jej przyczyną. W podnieceniu zbiegliśmy pod szkołę. Tu ustawiono nas w szeregu, a jeden z przybyłych strażników zaczął odczytywać nazwiska z listy. Była to dla niego mozolna praca. Z wielkim trudem przeczytał dwanaście nazwisk. Wyczytanych ustawiono w szereg w odległości około stu metrów. Strażnik męczył się nad pozostałymi nazwiskami. Coś podpowiadało mi, że jest to szansa na powrót do domu, że właśnie wyczytani zostaną odesłani do Polski. Czekałem w największym napięciu, aż padnie moje nazwisko. Nie padło. Do czytającego podeszli nasi konwojenci, znający dobrze nasze nazwiska. Stojąc w szeregu wzdychaliśmy do Boga, by zechciał oświecić czytających i spełnić nasze oczekiwania. Emocje sięgały zenitu. Pełnia szczęścia, czy ogromny zawód? Wreszcie padło moje nazwisko jako trzynaste, a zarazem ostatnie. Wypowiedział je ten młody strażnik, któremu niegdyś zabrakło naboju do zestrzelenia żurawia. O ile dotąd miałem do niego zastrzeżenia za zbezczeszczenie zwłok, za pozę na „złego”, za zbędne podnoszenie głosu na więźniów, za radość życia, za skłonności do alkoholu i dziewcząt, o tyle teraz stał mi się nagle najmilszym człowiekiem pod słońcem i gdyby to było możliwe wyściskałbym go i wycalował.

Wyrwałem z szeregu i pobiegłem do wydzielonej grupy. Jakże dziwne prawa rządzą losami ludzkimi. Teraz dowiedziałem się, że na liście widniało ponad dwadzieścia nazwisk. Ilu z moich współwięźniów nie wróci do domu tylko z powodu nieumiejętności czytania ludzi ich nadzorujących.

Tymczasem w naszej grupie odbyła się krótka odprawa. Prowadził ją konwojent w wieku około pięćdziesięciu lat, którego znałem z poprzednich miejsc pracy. Był Ukraińcem. Krótko poinformował nas, że wyruszamy do domu... pod warunkiem jednak, że wrócimy przed godziną odjazdu transportu. Pociąg odjeżdżał w dniu następnym o godzinie dwunastej w południe spod łągru w Bajdajewce. Teraz znajdowaliśmy się równe sto kilometrów od celu. Odległość tę należało pokonać w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin. Trzeba je było przebyć pieszo. Wóz konny zabrał tylko nasze worki. Dla utrzymania sprawy w tajemnicy przed pozostałymi w tajdze, nie wolno nam było wracać do miejsca dotychczasowego zamieszkania, nie było czasu na spóźnienie obiadu. Jeszcze raz okazało się, że każdy więzień niezależnie od temperatury otoczenia, deszczu, czy pogody, miejsca pobytu – w pracy, latrynie, czy na noclegu nosił w interesie własnym swój cały dobytek na własnych plecach.

Ruszyliśmy niezwłocznie. Atmosfera zmieniła się krańcowo. Konwojenci nagle stali się bardzo przyjaźni. Wspólnie z nami wyrażali swą radość i dodawali otuchy. Droga była trudna. Kilkumiesięczne głodowanie, a zwłaszcza ogromne niedobory białka i witamin spowodowały nie tylko duży spadek wagi, ale i sił. Nowa świadomość jednak uskrzydlała.

Na spoczynek zatrzymaliśmy się dopiero po północy. Przedtem „zorganizowaliśmy” porcję ziemniaków na kartoflisku sowchozu, jako że nie zaopatrzone nas na drogę w żadne środki spożywcze. Miło było czynić to pod nadzorem uzbrojonych konwojentów. Spaliśmy w szkole pomiędzy ławkami. Nauczyciel-

ka podjęła się zagotowania ziemniaków. Zbudzono nas już po godzinie snu. Po spożyciu ciepłych, nieokraszonych ziemniaków wyruszyliśmy natychmiast w dalszą drogę. Padało. Świt zastał nas przed naturalną przeszkodą. Dotarliśmy do brzegu wezbranej rzeki. Jej głębokość sięgała wprawdzie nie więcej niż metr, lecz prąd wody był porywisty i nie do przejścia w bród. Na szczęście przez rzekę przerzucona była kładka z pojedynczo ułożonych pni drzew. Opróżniliśmy wóz konny, który z kłopotami przebrnął przez nurt, my zaś obciążeni bagażem weszliśmy na kładkę. Przy naszym stopniu przemęczenia, przy śliskości i obłym kształcie pnia oraz silnym prądzie wody, miejscami zalewającej kładkę, było to zadanie bardzo trudne. Szczęśliwie nikt nie umoczył się w rzece z wyjątkiem konwojenta-woźnicy.

Dalsza podróż odbyła się już w tempie jednostajnie opóźnionym. Żaden, nawet najmocniejszy bodziec, nie był w stanie jej przyspieszyć. Przemoczeni grzęźliśmy w błocie. Miałem dotąd własne buciki. Ich stopień zużycia był taki, że coraz to któraś część stopy ukazywała się naga. Świadczyło to również o całkowitym rozpadzie skarpet. W obecnych warunkach poszczególne elementy obuwia zaczęły odpadać, utkwivszy w lepkim gruncie. Przysparzało mi to ogromnie dużo uciążliwości, przy czym buty nie stanowiły już żadnego zabezpieczenia dla stóp. Zostawałem w tyle. W końcu zdenerwowałem się i zrzuciłem z nóg opłakane resztki obuwia i skarpet. Poczułem doraźnie znaczną ulgę, choć nie przypuszczałem, że następne buty ubiorę dopiero w domu. Chcę jednak wyjaśnić, że o tej porze roku na Syberii było zupełnie ciepło i jedynie nocą można było zmarznąć.

Z ogromnym mozołem dotarliśmy do Stalińska. W jednej z przydrożnych chat na parapiecie okiennym wystawiono świeżo upieczony placek. Jego zapach drażnił nozdrza, utrwalając się w pamięci po wsze czasy. Tymczasem nadeszła godzina dwunasta w południe, czyli pora odjazdu transportu z Bajdajewki. Od tej miejscowości dzieliło nas jeszcze dziesięć kilometrów drogi, wiodącej wzdłuż toru kolejowego. Właśnie tym torem musiał przejeżdżać pociąg z Bajdajewki do Stalińska.

Zmobilizowaliśmy ostatnie siły, aczkolwiek ogarniały nas coraz to większe wątpliwości. Maszerując, wypatrywaliśmy z bojaźnią pociągu. Jakżeż gorąco pragnęliśmy go nie dojrzeć. Konwojenci podtrzymywali nas na duchu. W miarę upływu minut nadzieja malała. I w końcu – stało się! Na pół godziny przed ostatecznym celem serca nam zamarły. Nadjeżdżała lokomotywa, ciągnąc za sobą dwa wagony towarowe wypełnione szczęśliwcami z naszego łagru. Bardzo wesoło machali do nas rękami. Staliśmy bezradni i zupełnie załamani. Dla mnie była to największa dotąd życiowa klęska. Ogarnęła mnie całkowicie wewnętrzna pustka. Załamał mi się świat. Łzy bezwolnie zalewały mi oczy.

Dowlekliśmy się do obozu i zszokowani włączyli po placu. Po godzinie z komendatury łagru wyszedł nasz konwojent Ukrainiec oświadczając, że sam się zgodził nas pilotować, zaś komendant wyraził zgodę na dośnięcie transportu. Nigdy nie przypuszczałem, że człowiek ten znajdzie w sobie aż tyle serca i gotowości do bezinteresownych poświęceń.

I znów zdarzenia nabrały tempa. Niestety w samym łagrze funkcjonowało jeszcze jedno „sito”. Spośród trzynastki wybrano tylko sześciu szczęśliwców. Spożyliśmy posiłek, zaprowadzono nas do „bani”, funkcjonującej już w samym obozie, uzupełniono nasze mocno sfatygowane ubrania. Moje spodnie były w całkowitym rozkładzie. Zafasowałem z magazynu białe, lniane portki

w zupełnie przyzwoitym stanie. Sądzę, że zachowały się z uwagi na mały rozmiar. Tym darem byłem wręcz uszczęśliwiony, choć szczęśliwość ta była nieco tłumiona świadomością, że zawartość magazynów pochodziła wyłącznie od osób zmarłych. Nie miałem odwagi upomnieć się o buty, co jak się później okazało przysporzyło mi sporo kłopotu.

Za paromiesięczną pracę wypłacono mi jedenaście rubli. Tak rzekomo nakazywały normy prawa międzynarodowego, które podobno dopuszczają wykonywanie pracy przez osobę internowaną wyłącznie za jej zgodą i za wynagrodzeniem. O zgodę nikt nas nie pytał, również nikt nie omawiał z nami warunków pracy i płacy. Bez dyskusji podpisałem listę płac i w ten sposób formalnie wyrównaliśmy rachunek.

W pościg za transportem wyruszyliśmy po kilku godzinach. Do przebytych już stu kilometrów trzeba było jeszcze dołożyć dziesięć z powrotem z Bajdajewki do Stalińska. Na dworcu kolejowym nasz opiekun pobiegł w poszukiwaniu za transportem. Nas pozostawił przed dworcem na ławce. Odczuwałem intensywne ssanie w żołądku. Tymczasem my byliśmy bez prowiantu. Jesteśmy jednak wolni! Ruszyliśmy w dwóch w poszukiwaniu jedzenia. Kilkanaście metrów dalej dostrzegłem kiosk. Były gotowane jaja. Nawet nie pytałem o cenę. Ostatni raz jadłem kurze jajo w domu. Zapłaciłem osiem rubli i zjadłem je z wilczą żarłocznością. W kiosku dojrzałem oranżadę – niebiański napój! Kosztowała pięć rubli. Niestety z kilkumiesięcznego zarobku zostały tylko trzy ruble. Dorosły towarzysz dostrzegł chyba w moich oczach dziecięce pragnienie. Dodał dwa ruble i wypiliśmy do spółki.

Nadszedł konwojent. Niestety nasz transport już odszedł. Wsiedliśmy do najbliższego pociągu zmierzającego do Nowosybirsk. Tu trafiliśmy po raz pierwszy do wagonu osobowego. Był bezprzedziałowy, z dwuosobowymi ławkami po każdej stronie. Siadłem w ławce pod oknem. Zapadał zmierzch. Odezwowało się śmiertelne znużenie. Na nic zdały się wysiłki, zmierzające do zachowania świadomości. Bojaźń przed zagubieniem się walczyła z zamykającym oczy snem. W końcu zapadłem w nicłość. Miałem za sobą prawie całkowicie nieprzespaną noc i sto dziesięć kilometrów w nogach.

Coś uderzyło mnie w czoło. Otworzyłem oczy. Było jasno. Tuż przed moim nosem dostrzegłem parę buciorów, dalej w kierunku kolan następną parę. Leżałem pod ławką w pozycji podkurczonej. Zupełnie nie wiedziałem jak się tu znalazłem. Gdzie byli moi współtowarzysze? Zalękniony zerknąłem pomiędzy nogami siedzącego nade mną pasażera. Z ogromną ulgą dostrzegłem kolbę karabinu, a następnie naszego drogiego strażnika. Położyłem głowę z powrotem na podłogę i tak już dojechałem do końcowej stacji. Wsiedliśmy w tłumie robotników na jednym z głównych dworców kolejowych magistrali transsyberyjskiej w Nowosybirsku.

Znowu nie dopędziliśmy transportu. Nasz kochany przewodnik zaczął się denerwować. Podejmuje jednak dalsze wysiłki. Następny pociąg odjeżdża dopiero nad ranem. Włoczmy się bez celu po peronach. Wieczorem udajemy się do olbrzymiego hallu dworca. Na rozległej posadzce poczekalni gęsto zalegają pasażerowie⁴. Rozpychając nieco leżących kładziemy się również

⁴ Na dworcach kolejowych magistrali transsyberyjskiej powszechne było korzystanie przez pasażerów z posadzki poczekalni dla nocnego wypoczynku.

do snu. Kilkakrotnie budzi nas dyżurny ruchu, który bezceremonialnie wkracza w tłum, by zapowiedzieć odjazd następnego pociągu.

Boli mnie brzuch. Widocznie zaszkodziło mi to jajo z oranżadą. Wstrzymuję się do końca, budząc się co chwilę z niespokojnego snu. Lecz nagle na ostatnim wdechu wybiegam z zatłoczonego hallu, depcząc ręce, nogi i ciała. Sypią się za mną tłuste przekleństwa. Wypadam za drzwi i dalej... nie mogę. Stało się. Niespokojnie rozglądam się wkoło. Stoję w centralnym punkcie przed wejściem głównym do dużego gmachu dworca. Na szczęście jest jeszcze noc. Wokół zupełna pustka. Nikt nie zobaczył mojego drobnego „aktu zemsty”.

Po dwóch dobach dopędziliśmy wreszcie transport jadący do kraju. Na bocznicę kolejowej przyjmuje ostatnich rozbitków. Dołączamy do nich. W wagonach towarowych, już przy szeroko rozwartych drzwiach, pełno jest re-emigrantów. Wszyscy przyjmują nas życzliwie. Zaczynają nawiązywać się pierwsze kontakty. Tymczasem konwojent rozlicza się ze ścigającej transport szóstki. Kierownik transportu dokonuje oceny każdego od stóp do głów. Wskazuje na moje bose stopy i zaczyna się wielce srożyć. Rozumiem z tego tylko to, że nie przyjmie mnie do transportu, że to wstyd, że bosego do Polski nie powiezie. Moja osoba staje się centrum ogólnego zainteresowania. Ja zaś biorę sprawę zupełnie serio i przeżywam kolejny szok. Kierownik transportu kłóci się z konwojentem.

Do rozmowy włączają się ludzie z pociągu. Inni wykorzystując sytuację, wciągają mnie oszołomionego i bezwolnego do wagonu. Tu polecają mi schować się głęboko pod pryczę. Jeszcze przez parę godzin przeżywam ogromne zdenerwowanie. Czy znajdą mnie i zawrócą, czy też się uda. W końcu pociąg rusza. Humor nieco mi się poprawia. Pozostaje jednak żal, że okoliczności nie pozwoliły na pożegnanie i przekazanie wyrazów podziękii konwojentowi – Przyjacielowi. Dopiero po dwóch dniach ujawniam się. Przez ten czas żyłem z tego, czym podzielili się ze mną moi współtowarzysze.

Teraz moją obecność w pociągu przyjęto bez większych emocji. Nareszcie jestem faktycznie wolnym człowiekiem powracającym do kraju. Dołączam swobodnie do ogólnej euforii. Jako najmłodsze szczenię zostaję faworytem w wagonie. Naszym ulubionym zajęciem w tej długiej podróży stało się siedzenie w otwartych drzwiach wagonu ze spuszczonej nogami chóralnego uprawianie chóralnego śpiewu. Siadywałem tak z rozkoszą całym dniami obecność muszę przyznać, że nigdy nie miałem kłopotu z uzyskaniem tego atrakcyjnego miejsca. Wolność przywróciła ludziom zasady normalnego zachowania. Odgrzebywałem z pamięci pewien zapas przedwojennych piosenek i wyżywałem się dowoli. Najbardziej ulubioną pieśnią był marsz Dąbrowskiego, którego refren do dziś chyba niesie się jeszcze gromkim echem po syberyjskich lasach.

Wyżywienie było nadal bardzo nędzne. W wodę zaopatrywaliśmy się sami w czasie postojów pociągu. Również w tym trybie załatwialiśmy nasze potrzeby fizjologiczne. Nigdy nie było wiadomo jak długo pociąg będzie stał. Ruszał zaś zaraz po krótkim, ostrzegawczym sygnale. Stąd niejednokrotnie zdarzało się, że ludzie wysiadłszy z pociągu za jakąś potrzebą, nie zdążyli powrócić. Niektórym z nich udawało się dopędzić transport, ale byli i tacy, którzy już nie wrócili. Ja także, gdy byłem jeszcze na terenie Azji, miałem swoją przygodę. Od paru godzin pociąg nie zatrzymywał się. Na dwutorowej linii transsyberyjskiej istnieją duże odległości pomiędzy przystankami. Podziwialiśmy rozwiązania techniczne,

zabezpieczające przed zderzeniem się pociągów jadących w tym samym kierunku. W małych odległościach kilkukilometrowych rozmieszczona była sygnalizacja świetlna. Światło czerwone ostrzegało, że na następnym z kolei odcinku znajduje się poprzedzający pociąg, żółte – że na drugim z rzędu odcinku, zielone – na trzecim lub dalszym. W ten sposób światło żółte nakazywało zwolnienia tempa jazdy, zaś czerwone – zatrzymanie się.

Jak powiedziałem, pociąg jechał bez przerwy przez kilka godzin. W końcu zatrzymał się na małym przystanku wśród lasów. Naprzeciw wagonu w odległości około trzydziestu metrów dostrzegłem „wygódkę” z desek. Tego rodzaju czynności na wszelki wypadek trzeba było wykonywać błyskawicznie. Tym razem jednak ledwo usiadłem, usłyszałem ostry sygnał ostrzegawczy lokomotywy. Nim zapiąłem spodnie pociąg ruszył. Z portkami w garści pobiegłem za nim, przeskakując dzielące mnie od pociągu tory kolejowe. Do uszu docierał powszechny doping pasażerów. Gdy zrównałem się z wagonami ledwo nadążałem za ruchem pociągu. Wyciągnęło się do mnie kilka męskich rąk. Oprócz największej życzliwości współpasażerów uratował mnie chyba fakt, że ważyłem zaledwie czterdzieści kilogramów. Pofrunąłem w powietrze. Nie dopięte spodnie ześliznęły się z ud i tylko wykonany odruchowo rozkrok uratował mnie przed niewyrównywalną stratą. Wyleciał jednak pasek ze spodni, rzemienny, jeszcze z rodzinnego domu. Przebolełem tę stratę, zwłaszcza, że miałem jeszcze szelki.

Azja żegnała nas prześliczną okolicą. Tuż przed Uralem ukazały się nam barwne domki, rozrzucone na pagórkach i gubiące się w bujnej zieleni, skąpanej lipcowym słońcem.

Następnym zapamiętanym obrazkiem była panorama Moskwy. Zatrzymaliśmy się na jednym z dworców towarowych na obrzeżach miasta. Przed nami roztaczał się wspaniały widok. Dziś uważam, że musiało to być gdzieś na Wzgórzach Lenina, bowiem tylko stąd można patrzeć w ten sposób na Moskwę. Przed nami roztaczało się zakole rzeki Moskwa, w głębi Kreml z jego murami, basztami i wieżami pokrytymi złotem. Właśnie wtedy nad miasto nadleciało (jak naliczyłem) czterdzieści siedem samolotów, tworząc regularną, pięcioramienną gwiazdę.

Grozę wzbudzały znowu okrutne ślady wojny. Tym razem wracaliśmy przez Białoruś. Pomiedzy Smoleńskiem a Mińskiem cały teren był zryty bombami i pociskami. Głębokie leje tworzyły gęstą sieć. Nie było widać żadnych domostw. Ludzie mieszkali niemal wyłącznie w ziemiankach.

W końcu przejechaliśmy przedwojenną granicę Polski. Zatrzymaliśmy się na stacji Baranowicze. Piętrzyły się tu ogromne zwaliska trofejnych dóbr. Szczególnie rzuciły mi się w oczy sterty rowerów. Staliśmy tu ze dwie doby. Pamiętam taki obrazek. Paliliśmy na peronie ognisko. Było deszczowo i chłodnawo. Po prawej stronie stały zabudowania dworca kolejowego, po lewej za torami biegła szosa. Najpierw równoległe do torów, później na poziomie stacji skręcała pod kątem około sześćdziesięciu stopni. Obsadzona była starymi drzewami. Na pustej szosie pokazał się nagle pędzący z nadmierną prędkością wojskowy samochód polowy. Wziął zakręt i gwałtownie oddalił się od stacji. Przestałem na niego zwracać uwagę. Nagły huk kazał mi odwrócić głowę.

Samochód „siedział” okrakiem na drzewie, przy czym prawy przód był włożony głęboko w tylne lewe siedzenie.

Nadal dokuczał nam głód. W kierunku odwrotnym szły transporty żołnierzy radzieckich wracających do kraju. Zatrzymywali się również na dłuższe postoje. Niektórzy z naszych zaczęli chodzić „na żebry”. Skutek był zachęcający. Podpuszczony przez innych wybrałem się i ja pożebrać – pierwszy i mam nadzieję ostatni raz w moim życiu. Poszczęściło mi się zresztą nadzwyczajnie. W trzecim z kolei wagonie napotkałem kobiety, które ulitowały się nad rebionką, obdarowały mnie dużym, okrągłym bochenkiem białego chleba. Podzieliwszy się z najbliższymi, połowę odłożyłem do worka i dowiozłem do... domu. Przystawałem już żyć z dnia na dzień, odezwała się we mnie potrzeba gromadzenia. Alboż to wiedziałem co zastanę w domu, skoro od czasu jego opuszczenia nie miałem żadnych wieści? Zresztą coraz częściej kojarzyłem sobie dom z kompletnym zniszczeniem, wyobrażałem sobie wypalone mury ze sterzcącymi kikutami kominów, bardzo niepokoiłem się o losy wszystkich członków licznej rodziny.

Dojechaliśmy w końcu do Warszawy i stąd ku memu rozczarowaniu skierowano nas na północ w kierunku Gdańska. Zacząłem się znowu oddalać od domu. Ostatecznym naszym celem okazał się Punkt Przyjęcia Państwowego Urzędu Repatryacyjnego w Iławie, w woj. olsztyńskim. Obóz położony był przy drodze, prowadzącej od dworca kolejowego do centrum miasta. Było to nieco ponad kilometr od stacji kolejowej, tuż za mostem lub wiaduktem, po prawej stronie na drobnym wzniesieniu. Obecnie nie pozostało po nim żadnego śladu.

Tutaj przyjęto nas bardzo serdecznie. Przez kucharzy zostałem szczególnie obficie potraktowany przetłuszczoną zupą. Pożerałem to oczywiście z ogromnym apetytem. W następstwie dostałem biegunki, w stolcu pokazała się dość obficie krew. Stan ten przetrwał aż do powrotu do domu. Sądzę, że była to po prostu czerwotka. Również psychicznie czułem się źle. Denerwowałem się przedłużającym się procesem rejestracyjno-ewidencyjnym. Podobno zagubiły się gdzieś po drodze moje dokumenty. W końcu zrobiono mi zdjęcie, tzw. pięciominutówkę, wręczono zaświadczenie Nr 221527, wystawione w dniu 18 sierpnia 1945 roku i stanowiące bilet bezpłatny na przejazd wszelkimi środkami lokomocji oraz zezwolono na swobodne opuszczenie Punktu.

Wieczorem w gronie kilkunastu osób wyruszyliśmy do pociągu. Pierwszy odcinek do Warszawy pokonaliśmy nocą. Z Dworca Wschodniego trzeba było przejść pieszo na Dworzec Główny. Przez Wisłę przerzucony był most pontonowy i dopiero w lewobrzeżnej Warszawie widać było ogrom zniszczeń pozostawionych przez okupanta po Powstaniu Warszawskim. Nasza droga prowadziła przez Aleje Jerozolimskie. Z szerokiego traktu pozostało bardzo wąskie przejście, miejscami wydeptane w hałdach gruzu. Większość ścian kamienic leżała na ulicy. W nielicznych pozostałych świeciły martwością puste otwory okienne.

W godzinach popołudniowych wyruszyliśmy do Katowic. Jechaliśmy oczywiście tzw. „towosem” to znaczy wagonami towarowo-osobowymi. Jakaś kobieta, dowiedziawszy się skąd wracamy, poczęstowała nas kiebasą. Tak bardzo za nią tęskniłem przez ostatnie kilka miesięcy, że się skusiłem i zjadłem. Skutek był oczywisty.

W Katowicach ostatni moi znajomi opuścili mnie. Po niezbędnym oczekiwaniu pojechałem wreszcie do Bielska. W czasie krótkiego postoju pod Piaskiem z ciekawością obserwowałem ogromne stado zdobycznego bydła pędzonego z zachodu w wiadomym kierunku. Do Bielska dotarłem w godzinach popołudniowych. Okazało się, że na pociąg do domu mogę liczyć dopiero za kilka godzin. Nie wytrzymałem nerwowo i te ostatnie dziesięć kilometrów postanowiłem pokonać pieszo. Poszedłem wzdłuż torów kolejowych. Z radością odkrywałem na nowo wieżę kościelną, cmentarz, szkołę i w ogóle całą wieś. Nie chciałem przechodzić przez teren stacji kolejowej, wybrałem więc miedzę wzdłuż toru. Znienacka wpadłem w objęcia bardzo zacnej Bratowej mego szwagra. Mimo zapewnień z Jej strony wypatrywałem z niepokojem całości domu.

Gdy zbliżyłem się doń na około dwieście metrów, z domu wyszedł Ojciec, kierując swe kroki w przeciwną stronę. W pełnym skupieniu wpatrywałem się w Jego postać. Sądzę, że mocna była siła przyciągania mego wzroku. Ojciec przystanął, powoli się odwrócił i patrząc na mnie stał w niepewności. Nie wytrzymałem. Pobiegłem naprzeciw i padliśmy sobie w ramiona. Ojciec płakał, mnie łez już nie starczyło.

Niewiele pamiętam z tego, co działo się później. Obskoczyli mnie wszyscy. Zostałem obnażony, wykąpany i po raz pierwszy od miesiący położony w puchowe łóżko. Okazało się, że wśród dobytku jaki przywiozłem najbardziej bogato reprezentowane były bardzo do mnie przywiązane wszy, stąd całą odzież trzeba było spalić. Przynajmniej z butami nie było problemów, jako że ich od miesiąca nie posiadałem.

Dopiero teraz upewniłem się, że Rodzice nie otrzymali ode mnie, jak również od mego Brata żadnego listu. Żadne władze polskie nie posiadały rejestru osób deportowanych. W domu przypuszczano, że znajdujemy się gdzieś na terenie Polski.

Po powrocie przez okres co najmniej tygodnia zachowywałem się nienormalnie. Praktycznie nic do mnie nie docierało, polecenia wykonywałem bezwolnie, „na rozkaz”. Najchętniej przesiadywałem samotnie, w zaciszu, trwoniąc czas na rozmyślania. Nie wykazywałem żadnej aktywności. Wszyscy byli pewni patologii psychicznej. Fizycznie była na mnie skóra i kość, a w obrysach kończyn uwypuklały się tylko duże stawy. Przy 150 cm wzrostu, ważyłem 40 kg.

I na tym mógłbym w zasadzie zakończyć relację z mojej przygody. Brak mi odwagi do podjęcia próby określenia stanu emocjonalnego, jaki towarzyszył mi nieodłącznie w czasie pobytu w więzieniach, transporcie, czy łagrze. Nie jestem w stanie oddać nawet w przybliżeniu nie ustępującego stresu, wywołanego uczuciem tęsknoty, bojaźni, a często rozpacz i zwierzęcego strachu. Wszystko to spotęgowane przez poczucie ogromnej samotności, permanentnego braku kogokolwiek komu można by zaufać, komu można by się zwierzyć, z kim można by dzielić codzienne troski. Krótko mówiąc, jak to dziś z dalekiej perspektywy oceniam, dziecko boleśnie czuło brak „parasola ochronnego matki”, zaś ogólnie – występował całkowity brak empatii ze strony otoczenia. Urazy te zaznaczyły swój trwały ślad w moim życiu psychicznym. Niewiele miałem w dalszym życiu nocy, w których pamięć tych przeżyć pozwoliłaby mi spokojnie zasnąć, nie budziła ze snu, nie „puszczała” makabrycznego filmu przeżyć po raz tysięczny.

RZECZPOSPOLITA POLSKA
Ministerstwo Administracji
Państwowy Urząd Repatriacyjny

Punkt Przyjęcia
w Stawie.

Wzór Nr. 3
(dla mężczyzn w wieku od lat
16 do 50)

Zaświadczenie Nr. 221527

Zaświadcza się niniejszym, że ob. Pyrz Józef z Józefa
(nazwisko, imię, imię ojca)
22. VII. 1924. kozy pow. Biata.
(rok i miesiąc urodzenia)

przybył do Polski z terytorium Z. S. R. R.

i dnia „17.” VIII. 1945 r. zarejestrował się na Punkcie
Przyjęcia w Stawie.


Obecnie udaje się do kozy pow. Biata.
(dokładny adres)

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia
ob. Pyrz Józef ma pierwszeństwo i prawo
jednorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji do
kozy pow. Biata.

Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej
idącej pomocy okazicielowi niniejszego

U W A G A:

1. Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zameldować się Milicji Obywatelskiej w terminie do 14 dni od daty wystawienia zaświadczenia i do 3 dni po przybyciu na miejsce zamieszkania.
2. Po upływie terminu ważności, zaświadczenie winno być wymienione w miejscu stałego pobytu – na dowód tożsamości.

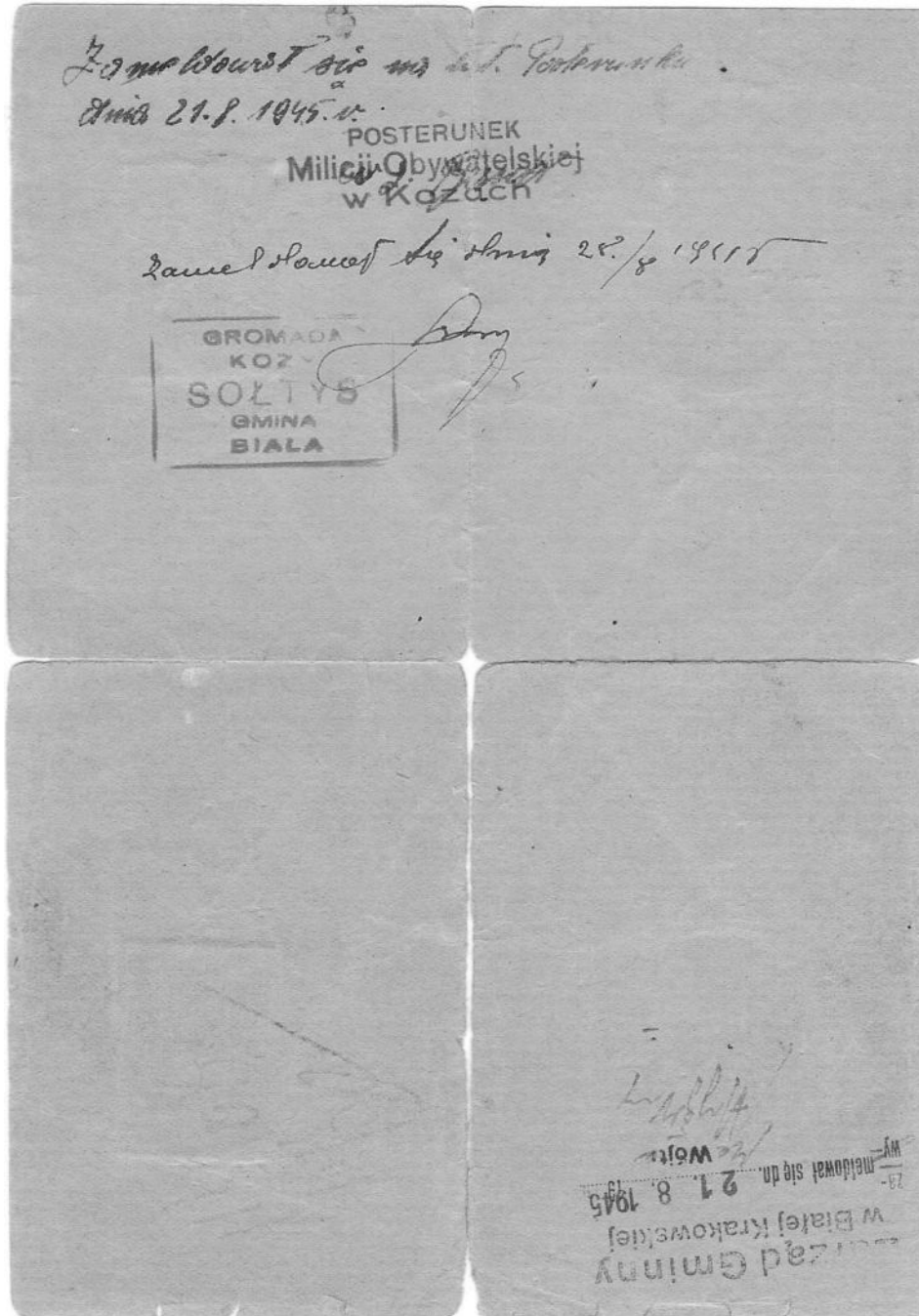
 M. P.

Wydano d. 18. 8. 45 r.
2654

Ważne do dnia 1. 9. 45

Kierownik Punktu Przyjęcia
w Stawie
Sacchet

250 000 - VI. 45. - Druk. Min. Bezp. Publ. w Łodzi



Zwłaszcza pierwsze cztery lata były nie do zniesienia. Zrozpaczona Matka wraz z dziećmi co wieczór klękała przed świętym obrazem i długo, żarliwie, modliła się o szczęśliwy powrót Brata. Była kobietą prostą, nie kształconą. Wychowała jednak dziesięcioro dzieci, wykazując w tym procesie ogromny talent. Wspólnie z Ojcem stworzyli rodzinę przykłądną, wzorową, kochającą się. Wojna posiała w niej zamęt i spustoszenie. Cierpienia Matki głęboko mnie dotykały. Jej bezgraniczna rozpacz i świadomość własna losu, jaki spotkał Brata, wywoływały u mnie poczucie winy. To przecież ja byłem zdrowy, On schorowany i niewydolny. Ja cieszyłem się normalnym życiem, On nadal cierpiał w łagrach.

Wspomnienia tamtych przeżyć zaostrzyły się znowu w 1983 r., kiedy to postanowiłem je opisać. Jednym z motywów, które mnie do tego skłoniły, było następujące zdarzenie:

W jednym z pierwszych dni pobytu w łagrze w Bajdajewce pracowaliśmy przy budowie toru kolejowego. W towarzystwie profesora gimnazjum z Bielska, o którym wcześniej wspomniałem. Podbijaliśmy kilofami progi świeżo położonych szyn kolejowych. W krótkich przerwach, gdy strażnik tego nie mógł dostrzec, pan profesor dzielił się z nami swymi osobistymi przeżyciami. Porównując warunki w naszym łagrze z warunkami w obozie koncentracyjnym w Auschwitz (zrozumiałem, że i tamto piekło zaliczył), apelował do nas młodych o przetrwanie i przekazanie kiedyś światu całej prawdy o łagrze nr 5a w Bajdajewce.

Dopiero wiele lat później uświadomiłem sobie, jak wiele było „Bajdajewek” i jak wielu Polaków może lepiej i wiarygodniej świadczyć o warunkach, jakie panowały w ówczesnych jednostkach GUŁagu. Jednakże zdobyłem się na odwagę, by moimi skromnymi notatkami choć w części uzupełnić te wiadomości i spełnić życzenie profesora.

*

Edward Wierzbicki – *Obrazki z dzieciństwa w syberyjskiej tajdze*

Pierwsze obrazy z dzieciństwa utrwalone w pamięci są zazwyczaj związane z miejscem urodzenia, z domem, ogrodem i najbliższą okolicą. Moje pierwsze obrazy, które zapamiętałem, są powiązane z zupełnie innym miejscem, od moich stron ojczystych znacznie oddalonym geograficznie, klimatycznie i kulturowo¹.

Wystarczy, że przymknę oczy i widzę szarą drewnianą chatę, jedną z wielu w kilku szeregach, wzdłuż gruntowych dróg – ulic, gdzieś tam pojedyncze drzewo, studnia z żurawiem. Osiedle – posesje; z trzech stron przyległe pola uprawne, otoczone wszystko dookoła wysokim ciemnym lasem – tajgą, z której wyłania się srebrzysta wstęga rzeki, zatacza szeroki łuk i z powrotem niknie w tajdze. A całość z góry przykrywa czyste bezchmurne niebo.

To była na pewno wiosna 1942 roku, bo wtedy właśnie zapamiętałem płaczącą matkę, jak żegnała ojca udającego się w daleką drogę. Po powrocie

¹ Deportowany 10 lutego 1940 r. wraz z rodzicami, babcią i wujem ze Strykówki, pow. Zbaraż, do posesji Ozierki, rejon Taborzy w swierdłowskiej oblasti nad rzeką Wołczą, dopływem Tawdy. Powrót do kraju w lutym 1945 r.

z łagru chciał dołączyć do oddziałów Wojska Polskiego, tworzonego przez generała Andersa. Wspominając moje sybirackie dzieciństwo, odnoszę wrażenie obecności od zawsze w mojej pamięci postaci matki, babci i wujcia, natomiast pierwszy utrwalony w świadomości obraz ojca kojarzy mi się z uczuciem strachu.

Pewnego letniego dnia w drzwiach chaty pojawił się wysoki mężczyzna w wатовanym buszłacie, upstrzonym licznymi ponaszywanymi łatami i dziurami, z których wystawały jaśniejsze kłaki waty. Nogi miał owinięte szmatami z worków, obute w lipowe łapcie z długimi trokami obwiązanymi łydki. Spod wielkiej czapy wystawały długie ciemne włosy, mieszające się z gęstą rozczochraną brodą. Nie było widać twarzy, tylko patrzące na mnie duże jasne szare oczy... Taki obraz przedstawiał mój ojciec po zwolnieniu po tzw. amnestii z łagru. Jak się później dowiedziałem, ważył wówczas 42 kg przy wzroście 175 cm. A ja świat ujrzałem zupełnie gdzie indziej; na Podolu – w krainie pagórków, jarów i wąwozów, szumiących ruczajów i rzek, stawów odbijających błękit nieba; w krainie urodzajnych pól, sadów i miodnych pasiek – w rodzinnej wsi tuż opodal miasta Zbaraża, sławnego dzięki powieści Henryka Sienkiewicza.

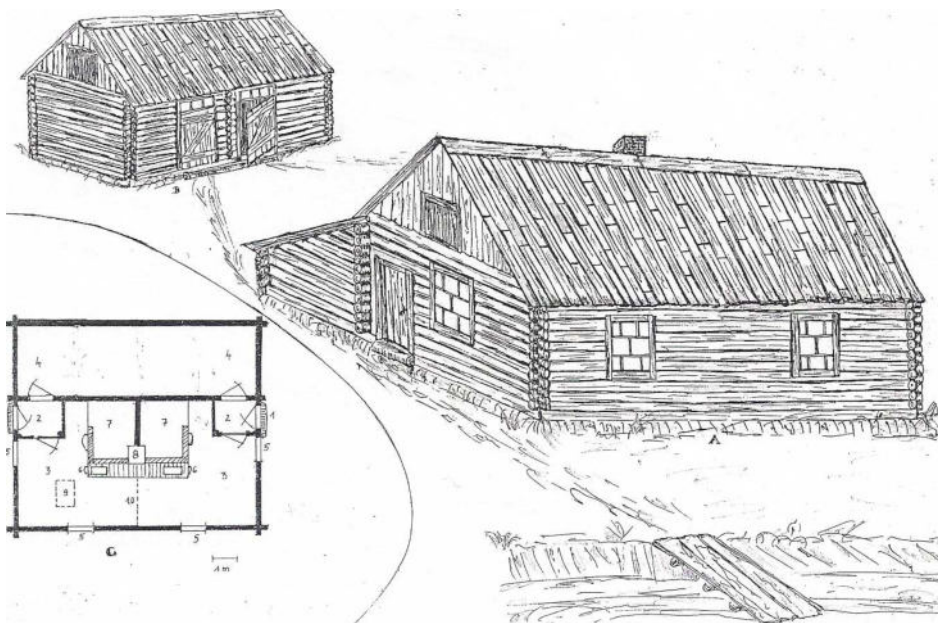
W mroźną noc, tuż przed świtem, w niedzielę 10 lutego 1940 roku moi rodzice, babcia i wujek, zadekretowani przez okupanta jako „wrogowie ludu”, zostali wyrwani z rodzinnych pieleszy, wtłoczeni do bydłowych wagonów i wywiezieni hen za Ural, a ja z nimi. I tak w drugim roku mojego życia znalazłem się w posiołku w głębi tajgi, gdzie przyszło mi żyć prawie 5 lat. Z tego okresu pozostały w mej pamięci pierwsze odbicia rzeczywistości – swoiste obrazy, a te głęboko wryły się w moją świadomość. W miarę upływu czasu wiele z tych obrazów nałożyło się na zasłyszane opowiadania mych bliskich, którzy jeszcze długo po powrocie z zesłania wspominali tam spędzone dni.



Autor relacji – zdjęcie współczesne

Cały mój ówczesny świat ograniczał się do osiedla w głębi pierwotnego lasu szpilkowego na bagnistym Niżu Zachodnio-Syberyjskim. Był to posesiołek Ozierki w rejonie Tabory w swierdłowskiej obłasti, nad rzeką Wołczą, dopływem Tawdy. Zbudowali go Polacy, zesłańcy z terenu Związku Sowieckiego, w latach trzydziestych XX wieku. Świadczyły o tym nazwiska odczytane z tabliczek łacińskich krzyży na miejscowym cmentarzu. Długo jednak nie pomieszkali, bo przed przybyciem kolejnej partii zesłańców (tym razem nas) wywieziono ich w głąb tajgi.

Chaty były rozmieszczone po obu stronach drogi, po pięć w rzędzie. Takich dróg biegnących równolegle względem siebie było pięć i nosiły nazwy: Leśna, Polna, Szkolna, Centralna i Brzegowa. Początki i końce tych ulic były połączone poprzecznymi drogami bez nazw, a przy nich znajdowały się studnie z żurawiami. My zamieszkaliśmy w chacie przy Polnej. Jej wymiary zewnętrzne to w przybliżeniu 10 m x 5 m. Do chaty przylegała niska przybudówka na drewno opałowe i oddzielnie stojący niby chlewik, tzw. saraj. Zastępował ubikację i można tam było chować drobne zwierzęta. Wewnątrz chaty było jedno duże pomieszczenie z dwoma odrębnymi wejściami i przedsionkami. Światło słoneczne sączyło się przez 4 okna z małymi szybkami. Na środku pomieszczenia, zajmując znaczną jego część, stały dwa duże piece rosyjskie (do spania) zbudowane z cegły, przy nich małe piece kuchenne. Podłoga z tarcic. Sprzęty to cztery przyczepy, dwa stoły, dwie ławy i cztery stołki, też z tarcicy. Tego rodzaju lokum przeznaczone było na dwie rodziny.



Rekonstrukcja chaty w posesiołku Ozierki, wraz z planem wnętrza: A – chata z przybudówką, B – rodzaj obórki – saraj, C – plan chaty: 1 – wejście (z dwóch stron), 2 – przedsionek – sionka, 3 – izba mieszkalna, 4 – pomieszczenia w przybudówce na drewno opałowe, 5 – okna, 6 – niskie piece kuchenne, 7 – rosyjskie piece, 8 – komin, 9 – piwniczka z kłapą w podłodze, 10 – przepierzenie – ścianka działowa stawiana przez zesłańców z Polski.

W wielu chatach mieszkańcy robili sobie przepierzenia przez środek pomieszczenia. W naszej chacie było takie, z drewnianych drągów, oblepionych gliną. Były to siermiężne warunki bytowania, prymitywne, ale porównując je z sytuacją zesłańców w stepach Kazachstanu, czy w rejonie archangielskim – to rzecz można, syberyjski luksus!



Na tle ciemnego materiału zawieszzonego na budynku szkoły w posiołku Ozierki stoją moi rodzice, Antonina i Leon Wierzbiccy i autor wspomnień. Rodzice trzymają w rękach brzoźowe gałązki do odpędzania natarczywych komarów. Ja natomiast cały czas spędzałem komary, machając dłońmi, stąd są one niewidoczne na zdjęciu robionym na tzw. czas (lato 1942 r.)

Syberia jest bogatą krainą geograficzną, ale bardzo trudną dla przybyszów, zwłaszcza dla nie przygotowanych zesłańców. Klimat tam surowy. Długie zimy zaczynają się już pod koniec września i trwają do maja, są mroźne (temperatury nierzadko spadają do -50°C), śnieżne, ale bezwietrzne. Wiosny wprost wybuchają i są krótkie. Równie krótkie są lata, za to z temperaturą często powyżej 30 stopni. Na bagnistym Niżu Zachodnio-Syberyjskim, w tajdze plągą się komary. Są wszędzie w olbrzymich ilościach. Ludziom i zwierzętom towarzyszą ogromne kłębiące się ich roje. Oprócz komarów zmorą jest mustyk, potocznie nazywany meszką (po rosyjsku maszka), mała czarna muszka wciskająca się wszędzie, nawet do ust, nosa, czy uszu. Jej ukąszenie powoduje rozrzedzenie krwi, toteż z niewielkich ranek sączy się krew trudna do zatamowania. Rzadziej występują boleśnie tnące pawuty – coś podobnego do gza czy bąka. Pracujący w polu, czy przy sianokosach bronili się przed agresywnymi owadami, nakładając na głowę i szyję nakomarnik – to taka torba płócienna

z siatką na oczy i usta. Ręce i części ciała nie osłonięte smarowali dziegiem z sowchozowej smołokurki, czyli smolarni. W pomieszczeniach podczas upalnego lata trudno było pozamykać drzwi i okna, toteż komary wlatywały i szczególnie nocą cięły, nie dając spać.

Zesłańcy przyjęli od miejscowych i stosowali tzw. wykurzanie. Do tego potrzebna była puszka po konserwie, w której gwoździem robiono otwory. Do takiej puszki wkładało się mech i próchno, które się podpalało; do puszki przyczepiano sznurek lub drut i wykonywano ruchy jak kadzielnica. Tym sposobem powstawały kłęby dymu, a komary wynosiły się. Po przewietrzeniu pomieszczenia kładło się spać.



Przed drewnianą syberyjską chatą grupa zesłańców z powiatu zbaraskiego.
Na tle okna (w białej koszuli) mój ojciec, Leon Wierzbicki.
(Posiołek Ozierki, 11 IV 1942 roku)

Bardzo uciążliwe były pluskwy (łac. *limex lektularius*), małe owalne płaskie owady, barwy żółtobrunatnej do ciemnobrunatnej, długości ok. 4-6 mm, o mocno zredukowanych skrzydełkach. Żerowały przeważnie nocą. Wypęłzały ze szczelin i zakamarków drewnianych sprzętów i ścian. Wyłaziły na sufit i spadały lotem ślizgowym na śpiącego żywiciela. Opijały się do syta krwią, wykorzystując swój środek znieczulający. Po ukąszeniach pluskw powstawały swędzące krosty, które smarowano świeżą cebulą.

Aby pozbyć się pluskw „wyparzano” je wrzątkiem wlewany z czajnika w szczeliny drewnianych sprzętów, a drewniane bale ścian i szczeliny desek w sufitach wylepiano gliną.

Była również epidemia wszawicy i świerzbu. Podczas trwającej prawie miesiąc podróży w bydlęcych wagonach zesłańcy pozbawieni byli możliwości korzystania z podstawowych zabiegów higienicznych. Brak wody, spanie w ubraniach, brud stłoczonych na małej powierzchni ludzi sprzyjały rozmnażaniu i rozprzestrzenianiu się świerzbowca i wszy. Po rozlokowaniu w Ozierkach felczer z posiołkowej bolnicy, namiastki szpitala, sporządził na bazie siarki maść na świerzbowca. Powoli ludzie przestawali się drapać i z nastaniem wiosny plaga świerzbu zanikła. O wiele trudniej było pozbyć się wszawicy. Mężczyźni obcinali włosy do skóry i tym sposobem wyzbywali się wszy głowowych. Kobiety rzadziej skracaly włosy, przeważnie wyczesywały wszy i gnidy gęstym grzebieniem, a wiosną wzorem prababę warzyły mikstury z roślin leczniczych. Do zwalczania wszy ubraniowych było urządzenie „bolszoi tiochniki”, zwane woszobojką – zabijalnią wszy. Zawieszoną odzież wkładano do kotła parowego i gorącą parą wodną uśmiercano wszy. Ale najczęściej stosowano metodę prehistoryczną, czyli iskanie. Dorośli wybierali rękoma z garderoby wesz po wszy i uśmiercali, rozgniatając na paznokciach.



Grupa zesłańców przy inspektach sowchozowych, piąta od lewej moja babcia

Przekleństwem były szczury, bo zżerały wszystko, co dało się zjeść. One zawsze były głodne. Z niezwykłą przebiegłością dobierały się do ukrytej żywności. Człowiek w starciu z nimi nie miał szans, przegrywał. Woreczki z kaszą wieszane wysoko na drucie, kawałki chleba, zawartość garnków, przykrytych i przyłożonych czymś ciężkim, wszystko padało ich łupem. Matecznikiem gryzoni były gospodarze zabudowania sowchozu, a szczególnie chlewnia, w której świnie były często okaleczane przez szczury. Z sowchozu zawędrowały do domów mieszkalnych; zwykle zagnieżdżały się pod podłogami, skąd nie dawały się usunąć.

Jednak nie szczury, nie insekty były głównym kłopotem. Wszechobecny głód, w surowych warunkach klimatycznych, przy wyniszczającej pracy, zbierał największe ofiary. Głodowe racje kartkowego chleba, uzależnione od wykonania

zazwyczaj nierealnych norm, były często jedynym pożywieniem. W lecie 1943 roku, gdy zesłańcy już nie mieli nic, co mogliby u miejscowych wymienić na żywność, zapanował okropny głód, spotęgowany przez wiatr zwany suchowiejem, który wtedy dotarł aż do tajgi, powodując suszę. Ziemiaki – podstawa żywienia, na sowchozowych polach i na małych poletkach przy chatach zesłańców, najpierw zwiędły, potem zżółkły – zeschły się, w ziemi zostały bulwy wielkości orzeszków. Ludzie puchli z głodu. Widoczne to było po obrzmiałych twarzach ze szparkami oczu i po grubych nogach. Często ze spuchniętych palców, spod paznokci sączył się żółtawy płyn. Wielu zapadało na chorobę zwaną kurzą ślepotą. Było tak, że ludzie rozpoznawali się po brzmieniu głosu. Po zachodzie słońca często można było zobaczyć człowieka idącego powoli niczym w somnambulicznym śnie i czepiającego się płotu. To zapamiętałem; jak i to, jak z polecenia matki (ojciec był na froncie) szedłem z kolegami zbierać do worka lebiędę.

СОЮЗ
Советских Социалистических
РЕСПУБЛИК

Народный Комиссариат
ВНУТРЕННИХ ДЕЛ

Управление НКВД
по Свердловской области

Маворинский р-д
24-Августов Л.
№ 83
г. С. Таворы

Удостоверение

Предъявитель сего гр. Вербичский Леоний
Эдуардович 1907 г. Смирновка, Забаранский
Маворинский р-д
на основании Указа Президиума Верховного Совета амнистирован как
польский гражданин и имеет право свободного проживания на террито-
рии СССР за исключением пограничной полосы, запретных зонах, мест-
ностей, объявленных на военном положении и режимных городов первой
и второй категории. При нем находятся:
сын - Владимир Эдуардович Маворинский
1934 г. Смирновка, Забаранского р-да
Маворинской области.

Направляется к избранному им месту жительства пос.
Озерки, Маворинский р-д, Свердлов. обл.
Удостоверение действительно на три месяца и подлежит обмену на
паспорт:
Изложенное удостоверяется подписью и печатью
Начальник Таворинского РО НКВД Лиминин

Zaświadczenie „O amnestionowaniu obywatela polskiego
Wierzbickiego Leona s. Franciszka i jego syna Wierzbickiego Edwarda”,
wydany przez Urząd NKWD w Taborach, 29 sierpnia 1941 r.

W domu mama liście lebiody parzyła wrzątkiem, po wystygnięciu odsą-
czała wodę, robiąc z lebiodowej miazgi rodzaj placuszków, pieczonych
na blasze pieca. Z dodatkiem odrobiny buraka ćwikłowego dało się jeść. Z tego
okresu pamiętam, z jakim apetytem zajadałem – makuch. Poczęstowała nim
brygadzistka ze świniofermy. Na stole postawiła miskę z kawałkami połamane-
go krążka suchego makucha i sparzyła je wrzątkiem – po rozmoczeniu można
to było zjeść. Co to było za jedzenie!

Dokąd sięgam pamięcią, nie byłem najedzony do sytości przez cały czas pobytu na Syberii, chociaż rodzina o mnie dbała, bo byłem najmłodszy. Co to jest sytość i pełny żołądek odczułem dopiero jesienią 1944 roku, kiedy po wyjeździe z Sybiru nasz wagon odczepiono w Żmerynce w okolicach Winnicy i rozlokowano nas w kołchozie z olbrzymim sadem i to w okresie klęski urodzaju (ale o tym już w innym miejscu). Tam mieliśmy pozostać na tzw. otkormlenije (odżywienie), mieliśmy odzyskać siły i poprawić zabiedzony wygląd przed powrotem w rodzinne strony.

Do tzw. amnestii (po umowie Sikorski – Majski) nie było mowy o robieniu zdjęć zesłańcom, zaś po amnestii fotografowie (zazwyczaj ktoś skoligacony z naczalstwem sowchozu, czy z funkcjonariuszem NKWD) dorabiali sobie, robiąc zdjęcia Polakom. Zesłańcy chętnie fotografowali się, dokumentując tym samym pobyt na Sybirze, ponieważ powszechne wśród nich było przekonanie, że mimo wszystko wrócą do kraju.

KRONIKA

• 80 ROCZNICA DEPORTACJI POLAKÓW DO KAZACHSTANU

W roku 2016 obchodzić będziemy 80 rocznicę deportacji ludności polskiej z obwodu Żytomierskiego (i sąsiednich) do Kazachstanu Północnego. Bez prawa na powrót, zostali brutalnie wygonieni z domów i wywiezieni Wasi pradziadkowie, dziadkowie, rodzice. Niektórzy z Was pamiętają osobiście te tragiczne wydarzenia.

Związek Repatriantów RP przy wsparciu Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, postanowił uczcić te tragiczne wydarzenia wydaniem albumu okolicznościowego. Już w najbliższym czasie weźmiemy się ostro do pracy, by za niecały rok zamierzona publikacja ujrzała światło dzienne i przypomniała wszystkim Polakom, iż zesłania ludności polskiej w ZSSR nie rozpoczęły się w roku 1940, a cztery lata wcześniej.



Pracownicy kolchozu „Gwiazda Komuny” w Zielonym Gaju, w którym pracowali Polacy deportowani w 1936 roku z Ukrainy. Fot. ze zbiorów Heleny Bagińskiej

Jako autorzy tego projektu zwracamy się do Państwa z gorącym apelem: pomóżcie w gromadzeniu potrzebnych nam materiałów. Jest to album o Was, o Waszym życiu, Waszej pracy, radościach i smutkach dnia codziennego. Chcemy zgromadzić materiały pisane i nagrania (audio, video) – wspomnienia i relacje świadków historii, a także fotografie i dokumenty dotyczące Waszych rodzin. Wiadomo, że album ma ograniczoną objętość i pomieści tylko małą część tych materiałów, które od Was otrzymamy. Jednak przy okazji pracy nad albumem – stworzymy równoległe duże archiwum o zapomnianych Polakach w Kazachstanie, z którego później będą korzystać następne pokolenia!

Czasu nie jest dużo. Prosimy Was o przesyłanie nam dokumentów i fotografii, świadectw historycznych – relacje z deportacji, życia pod komendanturą, życia religijnego (działalność kapłanów Bukowińskiego, Kaszuby i Kuczyńskiego) i kulturalnego, represji, o powstawaniu stowarzyszeń kulturalnych, zespołów artystycznych. Ważne są imiona i nazwiska – gdyż te zacierają się szybko w pamięci ludzkiej. Można nadsyłać wspomnienia pisane ręcznie – przepiszemy komputerowo, a także po rosyjsku czy ukraińsku – zostaną przetłumaczone na język polski.

Zdjęcia i dokumenty będziemy musieli skanować na profesjonalnym sprzęcie – dlatego też musicie Państwo nam je przysyłać pocztą w dobrze zabezpieczonych kopertach, aby nie uległy zniszczeniu. Po zeskanowaniu, oryginalne materiały zostaną zabezpieczone, a po zrobieniu albumu – oddane właścicielom. Kto ma skany – może je nam posyłać na ukazany poniżej adres mailowy. Jednak skany zrobione w małej rozdzielczości (poniżej 300 DPI, najlepiej skanować na rozdzielczości 600 DPI) i na kiepskim sprzęcie, nie będą mogły – ze względu na jakość – być zamieszczone w albumie. Dlatego apelujemy o nadsyłanie oryginałów starych dokumentów i fotografii. Każda wysłana rzecz musi być dokładnie opisana: czego lub kogo dotyczy, rok, miejsce zrobienia fotografii czy dokumentu. To bardzo ważne.

Wiadomo, iż nie wszyscy mają dostęp do komputerów, prosimy więc o naszym przedsięwzięciu i prośbie poinformować wszystkich, którzy posiadają jakiegokolwiek materiały historyczne, nadające się do naszych prac nad albumem, a nie mają łączności internetowej. Będziemy wdzięczni za wydrukowanie naszego listu i przesyłanie dalej.

W imieniu Związku Repatriantów RP: Aleksandra Ślusarek; w imieniu autorów: Piotr Hlebowicz. Adres pocztowy i elektroniczny (adres mailowy), na który należy przysyłać materiały: Piotr Hlebowicz; Barwałd Górny 121; 32-420 Kalwaria Zebrzydowska; telefon domowy: 338764613, telefon komórkowy: 507812334; adres elektroniczny: phlebowicz@yahoo.com

Piotr Hlebowicz

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Karina Gaibulina, *Adolf Januszkiewicz. 24 lata na zesłaniu na Syberii. Pomiędzy „cywilizacją” a „światem półdzikim”*, Warszawa 2014, s. 175.**

W 2014 roku ukazała się nowa książka o Adolfie Januszkiewicz, napisana przez Karinę Gaibulinę, stypendystkę fundacji „Polskie Kresy Wschodnie – Dziedzictwo i Pamięć”. Jest ona absolwentką studiów kulturoznawczych w Instytucie Kultury Polskiej. W omawianej pracy autorka podjęła trud zmierzenia się z poprzednikami, gdyż nie jest jedyną badaczką interesującą się dziejami tego wybitnego polskiego zesłańca. Przypomnę, że po raz pierwszy wydał i skomentował jego pisma Feliks Wrotnowski w książce: *Żywot Adolfa Januszkiewicza i jego Listy ze stepów kirgizkich*. Ukazała się ona w Paryżu, a następnie w Berlinie w 1875 roku. Teksty Januszkiewicza i przebywającego z nim w Iszymie poety Gustawa Zielińskiego, autora wielokrotnie drukowanego poematu *Kirgiz*, cieszyły się w XIX wieku wielką popularnością. Do końca stulecia utwór ten doczekał się aż 13 edycji i zawsze przyjmowany był z ciekawością zesłańców czytelniczą atencją. Ukazujące się wówczas wspomnienia zesłańców zawierały interesującą ówczesnych czytelników egzotykę nacechowaną realiami kulturowymi dotyczącymi zauralskich obszarów oraz trudu i udręki jakie niosła ze sobą zesłańcza niedola. Fascynację tę najpełniej obrazują *Listy ze stepów kirgizkich* i *Dziennik podróży po Syberii* A. Januszkiewicza, pisane w 1846 roku podczas wypraw w okolice Semipałatyńska, a także inne wspomnienia ukazujące zesłanie jako element życia pomiędzy „cywilizacją” a „światem półdzikim” przywołanym przez autorkę w tytule swojej książki.

Kazachstańskie relacje Januszkiewicza doczekały się wielu omówień. Zajmowali się nimi przede wszystkim historycy literatury: Jerzy Fiećko, Halina Geber Janusz Odrowąż-Pieniążek i pochodząca z Kazachstanu Faina Stieklowa, a także Antoni Kuczyński i Jan Trynkowski oraz Gajrat Sapargalijew, Władimir Dżakow i inni. To szczególne zainteresowanie pismami Januszkiewicza jest zrozumiałe. Istnieje też hipoteza, że zamierzał on opublikować swoje relacje z tej z podróży. Historyk literatury J. Fiećko uważa, że jego „opis życia Kirgizów w epoce naznaczonej manią podróżowania mógł efektownie wprowadzić go w świat literatury krajowej. Zatem, gdy w 1846 r. przyszło mu wziąć udział w kolejnej «kirgiskiej» wyprawie, postanowił pozostawić jej autorskie świadectwo. Posłużył się modną wówczas formą listów z podróży” (J. Fiećko, *Romantyk wśród Kirgizów. Kilka uwag o Listach ze stepów kirgizkich Adolfa Januszkiewicza*, [w:] *Po-lacy w Kazachstanie. Historia i współczesność*, pod red. S. Ciesielskiego, A. Kuczyńskiego, Wrocław 1997, s. 167-178).

Bohater książki K. Gaibuliny zapisał swoją chlubną kartę w historiografii polskiej i kazachskiej. Wartość dokumentalna jego pisarstwa sprawiła, że na „żółtej Syberii” – jak często nazywano Kazachstan jest współcześnie najpopularniejszym Polakiem, stając się nawet patronem ulicy w Ałmaty. Jego, nieco już dziś, zapomniana postać została też zapamiętana w naszej literaturze, w której jawi się on jako pierwowzór *Adolfa* z III części *Dziadów* Adama Mickiewicza. Ow Adolf spędził na zesłaniu 24 lat i pozostawił po sobie interesującą spuściznę epistolarną. Na obszarze stepów był świadkiem znaczących wydarzeń, m.in. podporządkowania Średniej Ordy imperium rosyjskiemu. Zajmował się prawem zwyczajowym i łagodzeniem sporów między hordami, co opisał nie bez nutki egzaltacji wspominając: „Tymczasem gram rolę dyplomaty i błędnego rycerza. Dziś na przykład, pisałem traktat pokoju dla dwóch narodów, a jutro z pistoletami za pasem, z dubeltówką przez plecy, z kamicą w rękę marsz! Na pogranicze Wielkiej Hordy...” (List z 11 czerwca 1846 r.). Szczególną wagę mają podane przez niego informacje o improwizacji *ulaniczich* oraz informacje o swatach, pogrzebach, medycynie ludowej i zróżnicowaniu społecznym stepowych koczowników. W czasie pobytu na zesłaniu poznał też sławnych Kazachów Kunanbaja Uskinabajewicza, ojca kazachskiego poety Abaja Kunanabajewa.

Jednak autorkę znacznie bardziej niż zwyczaje i dane z biografii Januszkiewicza interesują pewne aspekty polityczne zawarte w jego pracach, które często przewijają się w książce. Jest zdania, że opisuje on znany temat dotyczący „życia Polaków na Syberii”, sama jednak postrzega wartość jego zapisu z nowej postkolonialnej perspektywy. Według opinii Pawła Rodaka, pod którego kierunkiem praca ta powstawała, prezesa Fundacji „Polskie Kresy Wschodnie – Dziedzictwo i Pamięć”, prezentowana tu książka to „z pewnością nowe ujęcie, zarówno jeśli chodzi o analizę postawy A. Januszkiewicza, jak i – zwłaszcza – posłużenie się w tej analizie kategoriami z teorii postkolonialnej”. Autorka szeroko określiła ramy pracy. Swojego bohatera ujęła w kontekście kulturowym i historycznym, które jednocześnie nakreślają obraz życia Januszkiewicza oraz decyzję i wybory, jakie stawały przed nim w trudnych zesłania. Recenzję wydawniczą pracy napisał prof. dr hab. Jacek E. Wilczur, historyk i politolog, urodzony we Lwowie. Podobnie jak P. Rodak, zwraca on uwagę na ów fakt, że autorka podejmuje problem rosyjskiego kolonializmu w Azji Środkowej przedstawionego na tle dziejów polskiego zesłańca Januszkiewicza konstatując, że „wszystko to stwarza możliwość zrozumienia sytuacji w tej części rosyjskiego Imperium w okresach późniejszych, aż do czasu rozpadu Związku Sowieckiego i odzyskania niepodległości przez narody sowieckiej Centralnej Azji. Dla badaczy dziejów Rosji, zarówno okresu imperialnego, jak i epoki Rosji Sowieckiej, bardzo ważne będą te fragmenty pracy Kariny Gaibuliny, które odnoszą się do teorii postkolonialnej, stwarzając nowy pryzmat spojrzenia na problem rosyjskiego imperializmu kolonialnego”. Dla nas jest szczególnie interesujące, jak widzi to reprezentantka innej kultury – autorka jest bowiem Kazaszka, a poza Fainą Stieklową, obszerniejsze prace o nim napisali tylko Polacy.

Na początku autorka sięga do książki Michała Janika zatytuowanej *Polacy na Syberii*, Kraków 1928, który napisał, że „w długiej epoce dziejowej Polacy byli poniewolnymi współzdobywcami i kolonizatorami Syberii, przede wszystkim jednak nieszczęśliwymi wygnańcami, wyrwanymi z ojczyzny za wolność i niepodległość narodu” (s.29). Drugą książką na którą powołuje się autorka to *Polacy w Kazachstanie w XIX wieku*, Warszawa 1982, wydana parę lat wcześniej po rosyjsku, autorstwa Gajrata Sapargalijewa, prawnika, kierownika

Oddziału Akademii Nauk Kazachstanu i Władimira Dżakowa z Instytutu Słowia-
noznanstwa i Bałkanistyki Akademii Nauk ZSRR w Moskwie. Zdaniem K. Ga-
ibuliny kluczowymi problemami, jakimi się zajmowali się oni w swej książce
była walka klasowa i misja cywilizacyjna niesiona poprzez powolne opanowy-
wanie Kazachstanu przez rosyjskie imperium. Dostrzegali jednak ważny fakt, że
Polacy przyczynili się do poznania Syberii pod względem geologicznym i geo-
graficznym oraz położyli wybitne zasługi w dziedzinie badań biologicznych,
historycznych i etnograficznych tego terenu. W konkluzji autorka recenzowanej
książki stwierdza, że wnioski autorów są uzależnione od tego, kto, gdzie i kiedy
pisze dany tekst. Tę słuszną jej ocenę pozostawiam bez komentarza.

W dalszej części książki K. Gaibulina zajmuje się relacjami między Kaza-
chami a Rosjanami. Ludność tubylcza zaliczała się do koczowników, a niesienie
„zachodnich dóbr cywilizacyjnych” utożsamiała z ingerencją w podstawę ich
tożsamości, co wiązało się z bezpośrednim zagrożeniem ich tradycyjnego bytu,
kultury i religii. Dodaje przy tym, że Rosja pozostawała obojętna na kategorie
rasowe aż do XVIII wieku, gdy zaczęła utożsamiać siebie z Europą i jej cywiliza-
cją. Autorka obszernie pisze o ekspansji rosyjskiej na stepy, co jest dużą zaletą
pracy, gdyż temat bywa rzadko omawiany w polskiej literaturze a jeszcze do nie-
dawna był też nieobecny w historiografii kazachskiej. W ten kontekst wpisany
jest Januszkiewicz, jednak o oryginalności książki świadczy fakt, że koncentruje
się ona na innych problemach, niż czynią to wspomniani autorzy. Świadczą o tym
rozdziały: pt. *Teoria postkolonialna jako nowy pryzmat spojrzenia na problem
rosyjskiego imperializmu i kolonializmu oraz Specyfika rosyjskiego kolonial-
izmu/imperializmu w Azji Środkowej*. Rozdziały te analizują postrzeganie tych
problemów przez Januszkiewicza, który mimo iż był rosyjskim urzędnikiem wto-
pionym w wieloraki schemat działań kolonizacyjnych wyznał w jednym ze swo-
ich listów, że „przyjdzie czas, że koczujący dziś nomada zaszczytne zajmie miej-
sce pośród ludów, co nań patrzą teraz z góry...”.

Dalsza część książki poświęcona jest już prezentacji epistolarnego dzie-
dzictwa Januszkiewicza jawiąca się wielością spraw natury kulturowej, spo-
łecznej i politycznej. W części zatytułowanej *Korespondencja Adolfa Janusz-
kiewicza – 24 lata na wygnaniu* autorka podkreśla bezsprzeczną wartość po-
znawczą tych listów. Ukazują one między innymi, przemiany jakie zachodziły
w jego świadomości gdy bliżej poznawał ten stepowy kraj, jego autochtonicz-
nych mieszkańców i ich kulturę. Im więcej czasu spędzał on wśród koczowni-
ków, tym bardziej zmieniał się jego pogląd na temat Kazachów, jak i jego obo-
wiązków w stosunku do nich. Autorka wyciąga stąd wniosek, że „jedną z przy-
czyn owych zmian była hybrydyzacja tożsamości Januszkiewicza, wynikająca
z długiego obcowania z innymi kulturami” – stepowymi nomadami oraz miesz-
kańcami syberyjskich miast.

W czerwcu 1841 r. na mocy manifestu cesarza wydanego z okazji ślubu
następcy tronu Aleksandra, Januszkiewicz przeniósł się do Omska. Rozpoczął
tam pracę w Kancelarii Pogranicznego Naczelnika Sybirskich Kirgizów. Wyda-
je się, że właśnie wtedy poznał on dosyć dobrze kulturę Kazachów, w tym ich
kulturę materialną, prawo zwyczajowe i religię. Autorka zwraca jednak uwagę
na co innego. Pisze, że dzięki jego listom „możemy zobaczyć od środka nie
tylko system funkcjonowania ówczesnej administracji imperialnej [...] Pozwa-
lają one także przyjrzeć się zmianom, jakie zachodziły w systemie prawnym

oraz modyfikacji organizacji społecznej, co było spowodowane przyłączeniem kazachskich ziem do imperium rosyjskiego i wynikającym z tego procesem biurokratyzacji”.

Kolejnym ważnym wątkiem, którym zajmuje się K. Gaibulina jest analiza tekstu dziennika wyprawy Adolfa Januszkiewicza. Tematem przewodnim była podróż służbowa w step. Zapisywał tam wszystkie, jego zdaniem, godne wydarzenia dnia. Listy z podróży autorka nazywa hybrydą (przyznam, że termin ten nie bardzo mi się podoba, choć autorka dość często go używa), gdyż jest częściowo uporządkowanym tekstem *Dziennika osobistego*, zredagowanym i adoptowanym dla potrzeb czytelnika. Analizując go, skupiła się na politycznych aspektach wyprawy, w której brał udział, ale interesowały ją również skomplikowane relacje między Kazachami a imperium. Zadała też sobie pytanie, jaką rolę w tych relacjach odgrywał sam Januszkiewicz. W rozdziale podsumowującym, zatytułowanym *Adolf Januszkiewicz a proces hybrydyzacji tożsamości* dochodzi do wniosku, że „obserwując ówczesne życie koczowników, starał się znaleźć takie rozwiązania wewnątrz panującego systemu, aby ulżyć ich cierpieniom”. Przetacza jego pogląd, że rosyjska ekspansja, pomimo swoich negatywnych aspektów, powinna była wskrzesić i skreślić światła zachodniej racjonalności i przyspieszyć rozwój społeczno-ekonomiczny Kazachów. Dodam jeszcze, że to tylko niektóre z ważnych wątków w książce. Uważna lektura tej pracy pozwala poznać ich znacznie więcej. Januszkiewicz poczynił wiele istotnych spostrzeżeń i prawie każdy odczytuje go nieco inaczej. Dlatego książki mu poświęcone są cenne, gdyż pozwalają na niego spojrzeć przez pryzmat wiedzy i zainteresowań autorów.

Anna Milewska-Młynik

- **Wywózka. Deportacja mieszkańców Górnego Śląska do obozów pracy przymusowej w Związku Sowieckim w 1945 roku. Faktografia – konteksty – pamięć**, pod red. S. Rosenbauma i D. Węgrzyn, Katowice 2014

Problematyka represji radzieckich wobec ludności Europy Wschodniej w schyłkowej fazie i po zakończeniu II wojny światowej od lat budzi żywe zainteresowanie historyków. Tak dzieje się też w przypadku tragicznych losów mieszkańców Górnego Śląska. 14 lutego 2015 r. w Radzionkowie zostało uroczystie otwarte Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoślązaków do ZSRR w 1945 r. W ten sposób kolejny tragiczny rozdział w historii Polski doczekał się swojej placówki edukacyjno-badawczej.

Na niedługo przed oficjalną inauguracją Centrum, na rynku wydawniczym ukazała się interesująca pozycja naukowa poświęcona deportacjom Górnoślązaków w głąb ZSRR pod redakcją pracowników Instytutu Pamięi Narodowej Oddział w Katowicach. Książka podsumowuje najważniejsze ustalenia wieloletnich i zakrojonych na szeroką skalę badań prowadzonych nad rzeczoną problematyką przez historyków IPN oraz wprowadza nowe, istotne fakty i komentarze, które z pewnością wytyczą kierunki dalszej eksploracji radzieckich represji na Górnym Śląsku. Wśród autorów artykułów znaleźli się znawcy problematyki – historycy polscy (m.in. Aleksandra Arkusz, Zbigniew Gołasz, Jarosław Neja, Marcin Niedurny, Sebastian Rosenbaum i Dariusz Węgrzyn) oraz niemieccy (Katrin Boeckh i Ute Schmitd). Na uwagę zasługują także bardzo

wartościowe i solidnie przygotowane opracowania studentów ze Studenckiego Koła Naukowego Historyków Uniwersytetu Śląskiego.

Książka została podzielona na kilka części. W pierwszej z nich, zatytułowanej „konteksty”, znalazły się artykuły dotyczące szerokiego zagadnienia deportacji jako zbrodniczego elementu etnicznej i społecznej polityki ZSRR. I tak: mamy tutaj artykuł wprawdzie nieco odbiegający od głównego tematu książki (Katrin Boeckh), bo sięgający chronologicznie aż do lat trzydziestych XX w. i do tzw. zsyłek kułackich, ale za to syntetycznie podsumowujący nowe ustalenia o skali stalinowskich represji na tle narodowościowym. Takie wprowadzenie ułatwi czytelnikowi, zwłaszcza temu mniej obeznanemu z problematyką, umiejscowienie deportacji Górnoślązaków na tle ogromu prześladowań narodów i grup społecznych dokonywanych przez Sowieców przed, podczas i po II wojnie światowej. Ważne dla zrozumienia kontekstu radzieckich represji wobec mieszkańców Górnego Śląska jest również ukazanie polityki ZSRR wobec niemieckich cywilów w 1945 r. Deportacje Niemców z różnych obszarów Europy w głąb ZSRR to temat syntetycznego opracowania autorstwa Ute Schmitd. Z kolei artykuł Aleksandry Arkusz o radzieckim systemie obozowym dla internowanych cywilów spoza ZSRR zamyka część książki poświęconą kontekstom historycznym.

Najobszerniejsza i zasadnicza dla poruszanej problematyki część wydawnictwa została zatytułowana „Przypadek górnośląski”. Lektura zamieszczonych w nich tekstów pióra wspomnianych już autorów polskich, wywodzących się i związanych ze Śląskiem, dostarcza bardzo solidnej dawki wiedzy o deportacjach Górnoślązaków. Wywody zostały oparte o solidną bazę źródłową i literaturę, a napisano je przystępnym i zrozumiałym nawet dla laika językiem. Treść została wzbogacona o wartościowe ilustracje: kopie dokumentów, ryciny i rysunki, przedstawiające obozową rzeczywistość. Otwierające tę część książki opracowanie Dariusza Węgrzyna dostarcza kompleksowej informacji o przyczynach, przebiegu, skali i zakresie radzieckich operacji represyjnych (aresztowania, deportacje, internowania) wobec mieszkańców Górnego Śląska. Tzw. „przypadek górnośląski” autor omawia w szerszym kontekście, ale wyraźnie uwydatnia jego szczególny charakter. Czytelnik bez trudu jest w stanie „wczuć się” w grozę tamtych, dramatycznych dni. Autor przejrzysto, etap po etapie obrazuje konsekwentną realizację planów aresztowań i deportacji kilkudziesięciu tysięcy Górnoślązaków aż do momentu wtłoczenia ich w maszynę radzieckich obozów pracy przymusowej w głębi ZSRR. Bardzo ciekawie prezentują się też przemyślenia autora o społecznych skutkach wywiezienia ze Śląska tak wielu mężczyzn – często w sile wieku, zdolnych do pracy i utrzymywania rodzin. Społeczno-gospodarczym konsekwencjom radzieckich deportacji bliżej przyjrzał się Jarosław Neja. Zamieszczony tekst jego autorstwa po raz pierwszy wydano już w 2004 r., ale jego obecność w recenzowanym tomie wydaje się potrzebna i zapewne dlatego redaktorzy zdecydowali się na przedruk. Autor interesująco przedstawił problem „radzenia sobie” przemysłu i społeczeństwa Górnego Śląska z utratą tylu rąk do pracy i często jedynych żywicieli rodziny. J. Neja umiejętnie wykorzystał dane statystyczne, a fakty historyczne bardzo plastycznie połączył z konkretnymi przykładami ludzkich losów. Artykuł Zbigniewa Gołasza to z kolei studium przypadku Zabrze i Gliwic. Liczebność wywiezionych z tych miast (i okolic) przewyższała skalę represji na innych

obszarach Górnego Śląska. Autor podjął bardzo udaną próbę prześledzenia procesu deportacji z wybranych miejscowości. Drugą część książki zamyka przedruk opracowania Marcina Niedurnego o warunkach życia i pracy deportowanych w głębi ZSRR. Problematykę tę autor przedstawił na przykładzie obozów Regionu Doniecko-Naddnieprzańskiego. Artykuł jest w dużej mierze oparty o relacje ocalonych wygnańców, którzy zdołali spisać swoje wspomnienia lub złożyć zeznania przed pracownikami IPN. Zapis obozowych przeżyć to wstrząsające świadectwo życia w nieludzkich warunkach – okrucieństwo strażników, praca ponad siły, niesprzyjający klimat, fatalne warunki higieniczne i permanentny brak pożywienia były codziennością deportowanych Górnoszlązaków.

Kolejne części książki wypełniły informacje m.in. o projekcie badawczym, realizowanym przez IPN (elektroniczna baza danych internowanych i aresztowanych przez radzieckie organy represji na Górnym Śląsku), archiwaliach niemieckich dotyczących interesującej nas tutaj problematyki, zagadnieniom pamięci o przeżyciach deportowanych po dwóch stronach Odry od lat czterdziestych XX w. do czasów obecnych, a także działaniach popularyzatorskich i badawczych, poszerzających wiedzę o tamtych wydarzeniach i utrwalających pamięć o ofiarach deportacji. Bardzo wartościowym uzupełnieniem książki są relacje zesłańców – wyjątkowe przykłady memuarystyki wybrane z zasobów Archiwum IPN w Katowicach oraz przedruki z wydawnictw źródłowych. W publikacji umieszczono także przegląd polskiej, rosyjskiej i niemieckiej literatury przedmiotu.

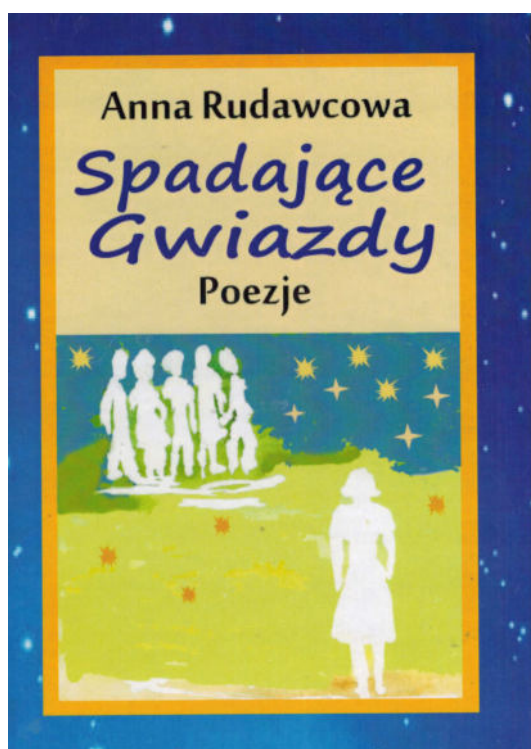
Najnowsze wspólne dzieło polskich i niemieckich historyków, dotyczące deportacji Górnoszlązaków w głąb ZSRR jest propozycją nie tylko dla zawodowych dziejopisów, ale także ogółu społeczeństwa. Oczywiście w dużym stopniu podsumowuje obecny stan wiedzy na ten temat, ale wprowadza także nowe wątki, zawiera nowe spojrzenia i ukierunkowuje nowe etapy badań. Książka oparta jest o bogaty materiał źródłowy, zawiera interesujący, (choć niezbyt liczny) materiał ilustracyjny. W lepszym zrozumieniu poruszanych w niej zagadnień pomogłoby zapewne zamieszczenie map ilustrujących zasięg represji i drogi na Wschód wygnańców z Górnego Śląska. Publikacja jest godna uwagi i z pewnością stanowi jedną z ważniejszych pozycji książkowych 2014 r., które dotyczą problematyki wschodniej.

Wojciech Franciszek Marciniak

- **Anna Rudawcowa, *Spadające gwiazdy*, Gliwice 2015, s. 80.**

Historię literatury polskiej na zesłaniu tworzą także dzieła autorów zapomnianych i niedocenionych, niekiedy odkrywanych na nowo po latach. W krąg ten wpisuje się między innymi twórczość Anny Rudawcowej – poetki zesłanej na Sybir, która również po powrocie do kraju doświadczyła represji ze strony władz komunistycznych. Rzeczywistość historyczna zaważyła na całym dalszym jej życiu, nie pozwoliła w pełni rozwinąć talentu poetyckiego. Poetka przed wojną zaistniała jako autorka wierszy dla dzieci publikowanych na łamach „Płomyka” i „Płomyczka”, ujawniając już wtedy umiejętność budowania obrazów poetyckich nasyconych wrażliwością spojrzenia dziecka, eksponujących właściwy jemu sposób postrzegania świata. Najbardziej kunsztow-

ne w jej dorobku twórczym okazały się utwory pisane na zesłaniu, mające charakter świadectwa wygnańczych losów, które wydania doczekały się dopiero po śmierci poetki. W zbiorach wierszy syberyjskich, o których szerzej pisał Jerzy Fiećko w *Postłowi* do tomu *Wiersze z Sybiru*, zarysowują się dwa przenikające się nurty – poezja dziecięca – pobrzmiewająca, w odróżnieniu od tej przedwojennej, nostalgicznymi tonami, oddająca smutek matki na zesłaniu oraz poezja patriotyczna – wpisująca się w romantyczno-martyrologiczny paradygmat. Wiersze z obydwu nurtów łączy zawarty w nich ładunek tragicznych doświadczeń poetki. Nie są one jednak pozbawione mesjanistyczno-konsolecyjnego wymiaru – nadziei na odzyskanie wolności i powrót do ojczyzny. Wśród wygnańczych utworów Rudawcowej, odrębny nurt stanowi poezja o charakterze rozrachunkowym z elementami katastroficznymi, naznaczona poczuciem beznadziei i dojmującego smutku, apelująca o sprawiedliwość dziejową. Powojenną poezję dziecięcą, kontynuującą zasadniczo w sposobie ujmowania świata zabiegi poetyckie stosowane przez poetkę w latach 30. wyróżnia większa dyscyplina języka, dążenie do ujmowania słowa w bardziej zwartej, podporządkowanej regułom gatunku formie.



Tom *Spadające gwiazdy* – wydany dzięki staraniom syna autorki, Bohdana Rudawca – stanowi swego rodzaju świadectwo, surmę doświadczeń Rudawcowej jako poetki, kobiety, matki. *Wiersze różne*, na które składają się zróżnicowane zarówno pod względem tematycznym jak i formalnym powojenne liryki poetki, łączy pobrzmiewająca w nich nostalgia za utraconym światem, niezrealizowanymi marzeniami, dawnymi ideałami. Autotematyczny, otwierający tom wiersz *Iskry*, nawiązujący do klasycznego motywu poety-ptaka i horacjańskiego *non*

omnis moriar przepełnia pragnienie poetyckiego zaistnienia w obiegu publicznym, a jednocześnie świadomość wewnętrznej niezależności twórczej. W liryku tym pojawiają się także reminiscencje z tułaczych losów Rudawcowej i związanej z nimi niemożności wkroczenia na parnas polskiej poezji i rozwinięcia w pełni talentu. W utworach Rudawcowej pojawia się także refleksja nad słowem, jego zdolnością do wyrażania rzeczywistości, przewagą milczenia nad nim i trudem rzemiosła poetyckiego (*Sklep potrzebnych słów*). Osobne miejsce w twórczości poetki zajmują rozważania na temat matczynej miłości ujmowane z dwóch różnych perspektyw (*Matka, Dzień Matki, Dzień Matki 2, Dzień twoich urodzin*). Emocjonalne utwory o prostej zrytmizowanej formie oddają istotę relacji matka-dziecko, stanowiąc wyraz wdzięczności i miłości poetki-córki oraz głębokie uczucia poetki-matki. W pełnych ciepła i łagodności lirykach osobistych, ujawniających wyjątkową wrażliwość poetki, a także jej talent do oddawania w słowie poetyckim emocjonalności dziecka i jego sposobu ujmowania świata, pobrzmiewa gorzka nuta żalu, zawiedzionych nadziei, poczucia osamotnienia. Niejednokrotnie, kliwy, przepełnione pogodą i miłością obrazek staje się jedynie punktem wyjścia do konkludującej rozpaczliwej refleksji-pointy odwołującej, choć nie w bezpośredni sposób, do tragicznych doświadczeń, bolesnej przeszłości rzutującej na teraźniejszość i wprowadzającej problematykę egzystencjalną.

Zakwestionowany zostaje także paradygmat wspólnoty pamięci żywych i zmarłych a romantyczny mit pamięci funkcjonuje w autobiograficznym liryku *Anna* nie jako siła ocalająca ale jako przekleństwo. Rudawcowa polemizując z Mickiewiczowskim wizerunkiem niewiasty porównywanej do „puchu marnego” przeciwstawia obraz kobiety podejmującej ofiarę, trud i walkę, z jednej strony przepełnionej wewnętrzną, przyrodzoną jej siłą, ale także uskarżającą się na los, jaki przypadł jej w udziale w wyniku zawirowań historii. Poezja stanowiąca antidotum na samotność i rozgoryczenie, zdolna przenosić w świat marzeń i iluzji w twórczości Rudawcowej ujawnia swoją ograniczoność i nie jest w stanie zagłuszyć bólu i cofnąć czasu. W dekadencjach, pozbawionych wiary i prostego pocieszenia utworach *Spaliłam serce, Spadające gwiazdy, Marzenia* (wyróżniających się większą dyscypliną formalną) ścierają się dwie perspektywy czasowe – pełna nadziei przeszłość, która nigdy nie powróci i przepełniona cierpieniem teraźniejszość. Postaci z dziecięcego imaginarij, takie jak księżniczki, czarownice, pajace przestają być nośnikami cech i wartości tradycyjnie im przypisywanym i zaczynają funkcjonować w nowym kontekście. Rudawcowa dokonuje ciekawego zabiegu poetyckiego, polegającego na przewartościowaniu i symbolicznym przejściu od ujęcia z perspektywy dziecka do spojrzenia na tradycję oczami człowieka dorosłego pełnego rozgoryczenia i doświadczonego przez los (*Noc świętojańska, Księżniczka w łachmanach, Moje bajki, Księżyc i lunatycy, Dziewczynka z zapałkami, Drzwi*). Takie przewartościowanie silnie wydobywa rozdźwięk pomiędzy nieskażonym światem wyobraźni dziecięcej (którego strzeże matka), a brutalną rzeczywistością. W ten sposób poetka zaznacza cezurę pomiędzy dzieciństwem (do którego człowiek pragnie powrócić – *Chcę*) i dorosłością, poruszając zarazem inicjacyjny w tym procesie aspekt cierpienia. Dychotomiczne ujęcie świata, akcentujące pierwotną doskonałość przestrzeni stworzonej przez Boga i zniszczenia w niej dokonane przez człowieka pojawia się w apokaliptycznym wierszu *Pokój*. Kunsztowny liryk *Serce w tłumie*, pośrednio dotykający problemu teodycei, nasycony motywami chrześcijańskimi,

stanowi oskarżenie ludzkości o świętokradztwo – zakłócenie Bożego planu. Utwór wyróżnia uruchomiona w nim perspektywa odkupienia i powrotu do utraconego raju w wymiarze religijnym. Natura w tomie *Spadające gwiazdy* nie oddaje potęgi stworzenia lecz implikuje obrazy zniszczenia – *Pijana wiosna*, bądź upersonifikowana stanowi strażnicę pamięci o bolesnych doświadczeniach (*Litewskie bory szumią*). W przepelnionych rezygnacją, pozbawiających złudzeń utworach *Spotkanie*, *Szara godzina*, *Stary człowiek* poetka odchodzi ostatecznie od obecnej w wierszach syberyjskich pedagogiki mierzenia się z okrutną rzeczywistością; romantyczno-mesjanistyczna wizja świata ustępuje dekadentyzmowi bliskiemu twórcom młodopolskim. Fascynacja miastem, cywilizacją i jej osiągnięciami, charakterystyczna dla Skamandrytów, Futurystów i poetów Awangardy Krakowskiej, dochodzi do głosu w takich lirykach jak *Huta*, *Telegraficzne druty*, *Serce Karagandy*, *Jedenasty listopada* czy też *Miasto wieczorem*. Wykorzystanie tych motywów przez Rudawcową nie służy wyłącznie apoteozie postępu cywilizacyjnego, ale przede wszystkim oddaniu uczuć patriotycznych bądź refleksji nad egzystencją, bytem.



Osobną grupę stanowią wiersze religijne, wyrażające ufność w Boże miłosierdzie, nadzieję na odmianę złego losu i świata. Obraz Stwórcy, jaki wyłania się z tych liryków, bliższy jest nowotestamentowemu wizerunkowi Chrystusa miłosiernego (*Mój Bóg*) aniżeli starotestamentowego Jahwe (motyw deus artifex pojawia się w *Pieśni I* i *Pieśni II*). Antropomorfizowany Bóg, odkupiciel ludzkich grzechów, stanowi oparcie w nieprzyjnym człowiekowi świecie. Liryki apelu skierowane do Maryi eksponują przede wszystkim jej ludzką

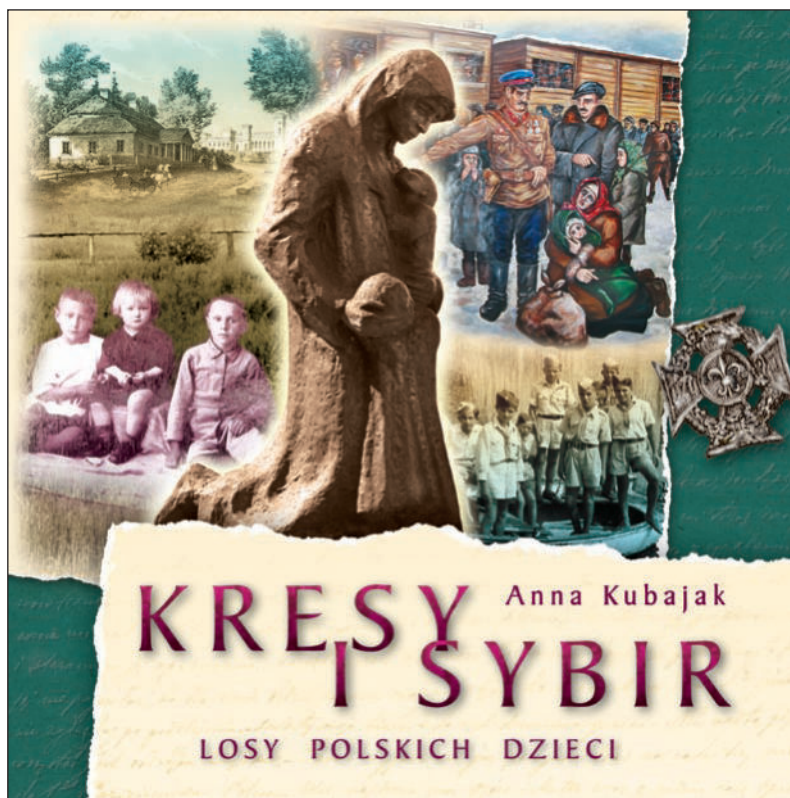
postać i matczyne uczucia (*Modlitwa do Jasnogórskiej Pani, Do Madonny*) Dominującym motywem jest męka Pańska i ukrzyżowanie stanowiące punkt wyjścia do rozważań natury historiozoficznej (*Góra Oliwna, Wielki Piątek, Ukrzyżowany*) W niektórych utworach religijnych także pobrzmiewają echa osobistych doświadczeń poetki. Panegiryczne utwory poświęcone papieżowi Janowi Pawłowi II stanowią hołd wdzięczności, a zarazem wyraz uznania dla osoby Ojca Świętego – Polaka i głowy Kościoła. Wyróżniające się rytmicznością dziękczynno-pochwalne liryki w swej poetyce nawiązują do psalmów.

W zróżnicowanych tematycznie i formalnie utworach zawartych w tomie *Spadające gwiazdy* Rudawcowa odchodzi od dydaktyzmu, języka konsolacji, skupia się na problematyce egzystencjalnej z pobrzmiewającymi w tle reminiscencjami doświadczeń zesłańczych. Obecność wielu motywów, nawiązań i gier z tradycją literacką w połączeniu z silnym ładunkiem emocjonalnym świadczy o wielostronnym talencie poetyckim Rudawcowej i bogactwie jej dorobku twórczego.

Ewelina Zawielak



„Z dala widać już niestety, wieże kościoła Elżbiety...”
Kościół św. Elżbiety we Lwowie. Stan przed 1939 r.



Książka albumowa, twarda oprawa, format: 225×225 mm, 132 str.

Można zamawiać: **Wydawnictwo Kubajak**,
pl. F. Kulczyckiego 2; 32-065 Krzeszowice | tel. 12 282 62 65
e-mail: kubajak@kubajak.pl | www.kubajak.pl

Losy polskich dzieci przedstawione są na tle historii Kresów, od czasu, gdy Polska utraciła niepodległość do II połowy XX wieku. Historia dzieci została omówiona wielostronnie. Z jednej strony pokazane są:

- prześladowania jakie je dotknęły ze szczególnym uwzględnieniem martyrologii XX wieku;
- z drugiej strony – zwycięstwa dzieci np. w walce z ruską armią czy o niepodległość Polski w latach 1918–1920;
- dodatkowo pokazane są piękne przykłady pomocy jaką otrzymali Polacy od innych narodów w ratowaniu dzieci.

Japończycy pomagali w ich ewakuacji z Dalekiego Wschodu podczas rewolucji bolszewickiej. Amerykanie pod przewodnictwem H. Hoovera dostarczali, zrujnowanej po I wojnie światowej Polsce, ogromne ilości żywności ratując miliony dzieci i młodzieży od głodu. W książce poprzez obrazy, zdjęcia, poezję pokazane są Kresy. Rysunki N. Ordy przenoszą nas w XIX w. Możemy oglądać ówczesne dworki, zamki, miasta. Obrazy J. Brandta pokazują atmosferę stepów, W. Kossaka – walki Orląt w obronie Lwowa.

Zachęcamy do zakupu książki. Warto ją przeczytać.



Siostra japońska z polskim dzieckiem w Tokio

**„Dobroczynność jest nie tylko ważna,
lecz przede wszystkim radosna.”**

S. Kowalski, *Księga aforyzmów*

Do Czytelników „Zesłańca”

Tradycyjnie już zwracamy się z prośbą o wspieranie „Zesłańca”, który cieszy się zainteresowaniem Czytelników. Ich opinie dodają nam sił, by pismo ukazywało się regularnie. Sił tych nam jeszcze wystarcza.

Niestety brakuje pieniędzy! Często otrzymujemy z Rosji interesujące teksty, które w miarę możliwości finansowych, potrzebnych na ich przetłumaczenie, ukazują się drukiem. Ostatnio pismo zostało wsparte przez Oddziały i Koła naszego Związku oraz innych darczyńców z kraju i zagranicy. Dziękujemy im za ten wyraz troski.

Drodzy Czytelnicy!

Wydawanie „Zesłańca” to wiele czynności redakcyjnych oraz systematyczne dostarczanie go do Oddziałów naszego Związku w ilościach (± 1 egz. na 200 członków!). Niestety Oddziały zalegają z wpłatami, a przecież bieżące wpływy pokryłyby część kosztów wydawniczych. Prosimy zatem Oddziały by uporządkowały zaległości płatnicze za otrzymane egzemplarze.

„Zesłaniec” przynosi wiele ważnych informacji dotyczących historii związków polsko-syberyjskich dawnych oraz nowszych, aż po współczesność, bo ciągle przecież mieliśmy i mamy związki z Syberia, gdzie od lat mieszkają nasi Rodacy. Losy i dokonania Polaków w Rosji, aż po Władywostok, Kamczatkę i Sachalin, to pasjonujący i ciągle nierozpoznany temat. Ponadto artykuły ukazujące się na łamach „Zesłańca” to także rodzaj kroniki wydarzeń Związku Sybiraków.

Informując o tym, rodzi się refleksja, że gdyby co dziesiąty Członek naszego Związku wpłacił raz w roku pięć złotych, a każde Koło pięćdziesiąt złotych, „Zesłaniec” mógłby ukazywać się jako dwumiesięcznik. Prosimy zatem Oddziały Związku Sybiraków by rozważyły możliwość wspomoczenia pisma, by nie zalegały z wpłatami za przekazywane egzemplarze i zechciały skuteczniej go kolportować. Kwoty przeznaczone na ten cel prosimy wpłacać na konto:

**Zarząd Główny Związku Sybiraków
PKO BP S.A. I O/Warszawa
nr 85-1020-1013-0000-0502-0149-8617**

Wiesław K r a w c z y n s k i
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków